

K.TETMAJER



IANOSIK

ÓL TATR

INSTYTUT WYDAWNICZY „ZDRÓJ”

BIBLIOTEKA UCZELNI
CZYTELNI



syg.: KR/Pr

JANOSIK KRÓL TATR

K. PRZERWA-TETMAJER

JANOSIK KRÓL TATR

„LEGENDA TATR“

w opracowaniu dla młodzieży



INSTYTUT WYDAWNICZY „ZDRÓJ“ WARSZAWA

Czytelnia



827.162.1-3 | KR

14163

ROZDZIAŁ I.

Wrzało już, choć nie buchał jeszcze płomień. Chmielnicki gotował się do ostatecznej rozprawy z królem i Rzeczpospolitą. Gdy Jan Kazimierz rozsyłał wici na pospolite przeciw kozakom ruszenie, tysiące wysłańców Chmielnickiego pośpieszyło do dalekich ziem polskich, pod Poznań, Kraków, w zachodnie województwa. Mieli oni podniecić chłopów do buntu, gdy tylko szlachta pociągnie w pole.

Strach zaś był wielki. Olbrzymią armję zbierał Chmielnicki. Naprzeciw sił królewskich zgromadził przeszło trzysta tysięcy kozaków, czerni i ordy tatarskiej.

Chmielnicki zamierzał daleko: zamierzał zwalić całą szlachecką rzeczpospolitą, wywołać powszechne powstanie polskiego ludu, Rakoczemu ułatwić zajęcie Krakowa, szlachtę zdruzgotać raz na zawsze.

Rzucono i rozszerzano wieść, że szlachta buntuje się przeciw królowi, że wymordować chce chłopów, że kozacy na pomoc królowi i obronę chłopów ciągną. Judzeni chłopci, skorzy dla tyraństwa, ucisku i wyzysku panów dawać posłuch podobnym wieściom, łatwo burzyć się zaczęli. Buchnęły tu i owdzie pożary, w lasy chłopci na tajemne narady szli, zuchwalsi, odważniejsi wobec szlachciców i ich sług się stali.

Na Podtatrzu, w Beskidach, lud zdawiendawna do łupieży, zbójstwa, oporu był pochopny. Przez całe Karpaty

od zachodu do wschodu ich granic węgierskich raz wraz tworzyły się i dawały o sobie znać bandy grabieżcze.

W województwie krakowskim, w małym stosunkowo okręgu górskim, więcej było zbójów i napadów, niż na ziemiach całej Rzeczypospolitej polskiej, a typ życia górali podobny był do typu życia zaporoskich kozaków.

Rody sołtysie używały tej wolności w górach, jaką cieszyły się rodziny kozackie na Rusi, a młódź chadzała na zbój na obie strony gór, jak kozacy na wyprawy z Siczy. W owym czasie górale byli rozjadli.

Od trzydziestu lat trwał spór między dworem szlacheckim i ekonomjami duchownymi i królewskimi o czynsze za wypasy na polach, (na które jedni chłopci mieli przywileje i nadania z uprzednich czasów, inni nie mieli), z rozmaitszą słusnością, ale i z tem, że i słusność gwałcono. Prócz tego Lubomirscy, chciwi tytułów i majątków, wstydzący się już rodzinnego, małego Lubomierza, a piszący się hrabiami na Wiśniczu i Jarosławiu (Wacław Śreniawa Potocki: „Wojna chocimska“), jęli wydzierżawiać dla większego zysku żydom cła, myta i karczmy i wzbraniać palenia wódki i szynkowania, wbrew prawom osadniczym, warującym sołtysom i całym gromadom w kasztelanji krakowskiej własne karczmy i gorzelnie.

Za przykładem magnatów, szła okoliczna szlachta. Rozjątrzeni chłopci rwali się do oporu i odwetu, powstawały bandy po kilkudziesięciu ludzi, napadano dwory i podłoże pod bunt powszechny było gotowe.

W uczuciu pewnej trwogi i niepokoju opuszczała szlachta podgórska dwory i zagrody, aby do obozów królewskiego pod Sokal ciągnąć. Szczupłe, prawie nieistniejące, lub zgola nieistniejące załogi po starościch grodach i gródkach; strzec mający w czas wojny pokoju domowego, wojscy; prywatne poczty te, których przeciw Chmielnickiemu nie pchnięto, panów duchownych i świeckich: małą dawały

ochronę i skąpe bezpieczeństwo. Główną otuchą szlachty, wyciągającej z progów rodzinnych, była nadzieja, że chłopię się na nic większego nie waży, a także przekonanie, że nad ogólniejszym ruchem musiałaby stanąć jedna i nie chłopska, nie chamska głowa. Nie bez trwogi, ale wzgardliwie liczone, że się taka głowa nie znajdzie. Nie przypuszczano dwóch Chmielnickich równocześnie, gdy jeden już był i od lat całych nękał wojną i odetchnąć nie dawał.

W dumnej hardości z zamków swoich spoglądali naokół panowie małopolscy, ci, którzy dla wieku, czy niedomagania w pole na wezwanie królewskie nie wyszli, i plenipotenci pańscy, podczas dominjami rządzący; z umyślnem też lekceważeniem patrzyli na ruchy chłopskie urzędnicy królewscy. Starosta czorsztyński, pokojowiec królewski Platemberg, w zamku dzierzawców żydów pozostawiwszy, w zbroi szmelcowej ku wojsku odjechał.

Gdy Szymek Bzowski, czyli Aleksander Leon Kostka z Krakowa do Siworogu, zamku Joachima Herburt, pana na stu wsiach, u którego podówczas bawił, zakupiwszy odzienia, z sercem roz tęsknionem wracał: na każdym popasie, od Mogilan poczynając, tu o podpaleniu, tam o kradzieży, ówdzie o zabójstwie nawet słyszał, a gromadki chłopskie, nie budzące ufności, po drodze spotykał.

Ale jego strój szwedzki, bródka z szwedzka przycięta, łatwa do poznania najęta w Krakowie kolasa, czyniły na chłopach wrażenie, iż obcy to człowiek jedzie, a napadu lękać się potrzeby mieć nie musi, skoro go nawet na pacholka przy boku woźnicy nie stać, bez którego lada szlachetka za próg z domu nie stąpił. Mijano go też bez uwagi.

Ów zaś plany szerokie roił.

Beatę Herburtównę, jedynaczkę, poślubić, na stu wsiach panem się uczuć, rywala wojewodzica Sieniawskiego pogiębić, a potem — ? Król Jan Kazimierz bezdzietny był,

linja Wazów polskich gasła — on jeden krew z krwi, kość z kości króla Władysława Czwartego, wnuk jedyny Zygmunta Trzeciego, pierwszego z dynastji, w Polsce pozostawał... Po ojcu on jeden z królewskiej w Polsce krwi się wiódł... Gdyby jakiś wielki czyn, jakiś czyn znakomity...

Na dworze szwedzkim wiedziano, kim jest, gdy z listami króla Władysława, wzywającemi do wojny tureckiej, w 1648 r. jeździł i przyjmowano go odpowiednio; znał go także, jako królewskiego syna, książę Siedmiogrodu, Rakoczy, u którego po śmierci ojca przebywał; wiedział o nim Chmielnicki. Czuł w sobie zręczność, śmiałość, dar ujęcia ludzi, przyjaciół znaleźć się spodziewał. Wychowany też w magnackim domu Kostków z dzieciństwa, otarty o dwór jako paź królowej Cecylji Renaty, wiedział, iż niejednego z panów panicza dwornością, pańskim obejściem przewyższy i gdyby trzeba było, głowę wnieść i panem stanąć potrafi.

Rozumiał też, że król ojciec nic o nim nie myślał, gdy go niewątpliwie z królewską wolą do Kostków, których imię przejął, na wychowanie dano, gdy go później do fraucymeru królowej stamtąd wzięto i gdy nakoniec, jako wysłaniec królewski do Szwecji, miał kredytywy do wszystkich monarchów i książąt chrześcijańskich. Król Władysław IV jedynego miał syna, Zygmunta, i ten umarł. On był jedynym synem królewskim, dziedzicem...

Pycha pierś Kostce rozpierała, żądza wzniesienia oddech dławiała. Zgnieść, zdeptać, a znakomitym wojennym czynem błysnąć i ogłosić się światu!...

Pod króla znaki pociągnąć nie chciał — nie chciał służyć temu stryjowi, który go nie znał, który na tronie jego ojca siedział, nie chciał służyć i słuchać, gdy się do panowania i rozkazywania urodzonym widział.

Zawidził też panom polskim nad wyraz wszelki. Ci magnaci, którzy, jak Bogusław Radziwiłł, kiedy jechali

incognito, w tysiąc koni jechali; ci dawni, dumni z rodów Zborowscy, Chodkiewicz, Koniecpolscy, Tarnowscy, ci dumni z książęcej krwi Wiśniowieccy, Zbarazcy, Zasławscy, ci pyszni, rosnący przy pomocy łask królewskich zagrabiele dostojeństw, władzy i bogatych starostw, Lubomirscy, Potoccy: kłuli go w oczy aż do krwawych w nich światła.

A porówno z ambicją, miłością własną, zazdrością wrodzoną: wrzała mu w sercu miłość do Beaty Herburtówny.

Jej serca pewny był, lecz i tu naprzeciw niego stał szlachcic — pan polski, potomek przodka, który się na akcie unji lubelskiej podpisał, prastarego, potężnego, prześlawnego domu syn: Jan Sieniawski, wojewodzie krakowski.

Polak, rdzenny Lach, również z Herburtówny urodzony, w którego żyłach krew wszystkich polskich królewiatek płynęła.

Bogaty jak król, władny jak hetman, butny jak książę udzielne, urodny jak bożek słowiański.

Drobny, nikły, w obcisłych, szwedzkich pluderkach, często skrycie łatanych, karłem i nędzarzem czuł się syn króla Władysława naprzeciw tego dębaczaka, od złota i drogich kamieni lśniącego.

Gryzł Kostka pod cienkim, czarnym wąsem wargi i w palcach niecierpliwych pierścionek z włosów Herburtówny, ofiarowany mu jako zadatek miłości, obracał.

Kostka zaś, choć z mniej bogatego, mniej możnego domu, niż Sieniawski, od tego kasztelana rzekomo się wiódł, co również podpisał na akcie unji za Zygmunta Augusta położył. Świętego też w rodzie miał, a stąd osobliwe błogosławieństwo nad domem Kostków upatrywano.

Stary Herburt, pobożny nad miarę, ze czcią go i poszanowaniem, jako krewnego świętych gościł i niewątpliwie

przez samą pobożność związkowi z córką nie miałby się sprzeciwiać.

Do stanowczego punktu musiało przyjść. Sieniawskiemu na polowaniu kość niżej łokcia niedźwiedź przetrącił i stąd on, sześciuset husarzków i tysiąc piechoty własnego pokrycia królowi pod Sokal posławszy, sam w domu pozostał i do Siworogu, jako krewniak po matce i konkurent do panny zjechał.

Popierała go stryjna panny, kasztelanowa księżna Dymitrowa Koreckã, po śmierci matki matkę Beacie zastępująca, pani dumna i ubogim, choćby to był nie świętego Stanisława Kostki, ale samego świętego Piotra krewny, gardząca.

Gdy Kostka w nowem odzieniu na zamku Herburto wskim stanął, zastał on tam sprawy naprzód pchnięte. Oto księżna Sieniawskiego, który rzeczy aż do szczęśliwego zakończenia kampanji kozackiej odkładał, nastraszyła Kostką i ten się zdeklarował i o panny rękę tegoż dnia właśnie prosić się gotował.

Zacisnął Kostka pięście na te wieści i ledwo się z kurzu podróznego otrzepawszy i obmywszy, do Beaty szedł.

Już się ku zachodowi słońce miało. Pachniał ciepłym kwietniem ogród zamkowy, pełen kwiatów cennych i drzew odwiecznych.

Nad sadzawką zamyśloną napotkał Beatę.

Ośmnaście lat swoich i cudne lico uwieńczyła wianuszkami kwiatków polnych, zaplecionych zgrabnie i powabnie.

— Prawdali to? — zawołał Kostka, prawie witać zapominając — prawdali to jest?

— Co ma prawdą być? — zapytała Beata.

— Co słyszę, iż wojewodzie Sieniawski o rękę waszą, miłościwa wojewodzianko, prosić dziś jeszcze przed wieczorem ma?

— Prosić może, to nikomu nie wzbronno.

— A ja?

— A wy też o nią prosić możecie.

— Lecz jakaż wasza odpowiedź będzie?

Wojewodzianka uśmiechnęła się lekko i wzniosła oczy niebieskie ku górze.

— Gwiazd jeszcze niema — one wiedzą.

— Zatem je wydrzeć z nieba rękoma trza, aby rzekły!

— Wydrzejcie. I to wolno.

— Wojewodzianko! — krzyknął niemal Kostka. — Dawaliście mi próby przyjaźni waszej! Włosów waszych pierścionek mam!

— Gwiazd jeszcze niema — odrzekła Herburtówna z uśmiechem. — Nie wszedł wieczór.

I aleją dębową ku zamkowi jęła iść, a Kostka szedł za nią, tak gorejący ogniem, że trudno mu było chciwe usta i dłonie pragnące na wodzy trzymać.

Szli chwilę w milczeniu, z jednego szpaleru w drugi przechodząc. Wtem pierwsza gwiazda na błękitnie zatlała, błada jeszcze, ale już widoczna.

— Gwiazdy już są — szepnął Kostka, pochylając się ku Beacie.

Ona zaś odwróciła ku niemu nieco głowę i niewypowiedzianej łaski uśmiech posłała mu z ust i ze źrenic.

— Kto ma wiarę i nadzieję — zaczął Kostka pół nieprzytomny —

— Ten osiąść może miłość — dokończyła Beata Herburtówna, nigdy dotąd u niej przez Kostkę niesłyszalnym, drżącym od wzruszenia głosem.

— Mam rozumieć? — zapytał Kostka półszepem namiętnością zdławionym.

— Jak serce dyktuje.

Podeszli pod zamek.

W wielkiej sieni od ogrodu stał Herburt wojewoda, księżna Korecka, Sieniawski i dworzanin jego i druh, Michał Gozdawa Sulnicki, człek siły niezwykłej i rębacz w Małopolsce pierwszy, z twarzą zuchwałą i groźną, bez grosza majątności, z łaski Sieniawskiego żyjący. Z nim razem on się chował, pół sługa, pół przyjaciel.

Obaj strojni byli od stóp do głów — a Sieniawski na podziw.

Miał on na sobie kontusz szafirowy aksamitny, z brylantowemi guzami, z których każdy miasteczko żydowskie był wart, pod tem żupan z niebieskiego atłasu, a pas go opasywał niewysłowionej roboty, tak mieniący się przy blasku zapalonych już świeczników, iż się widziało, że się sztuką tęczy przepasał. Ku temu hajdawery karmazynowe i z żółtego safjanu łyskliwe buty, na złotych podkówkach u napiętków. U boku słynna Sieniawskich karabela o złotej pochwie, na rękojeści kołpak soboli z czapłą białą kitą, rubinami, szmaragdami, brylantami, szafirami i żółtymi topazami przypiętą. Lewa ręka, od niedźwiedzia przetrącona, na czarnym spoczywała temblaku.

Sulnicki, choć dworzanin, prawie niemniej od złota i kamieni świecił, aby znać było, co to za pan, co nietylko siebie, jak królewicz, ale i dworzanina swego nawet nad miarę niejednego posesjonata ubrać może.

Właśnie w imieniu Sieniawskiego Sulnicki deklarację o rękę Beaty czynić kończył, gdy oboje z Kostką nadeszli. Aliści Beata, która ostatnie wyrazy słyszała, a z nich i z wyglądu sceny snadnie treść dyskursu poznać mogła, zwracając się wprost ku Sieniawskiemu, z uprzejmem skinnieniem głowy rzekła:

— Wielki to honor dla mnie, gdyż, ile się domyślam, rzecz o mnie idzie, że potomek tak znakomitych przodków i sam niemniej od nich znakomity kawaler, którego mężem

swym nazwać za zaszczytby sobie najpierwsze w Polsce panny miały, ku mnie afekt swój zwrócić raczył. Iście srodze mi markotno, że afekt ten w tym momencie we-współdźwięku nie znajduje.

— Jakoż to? — zapytała księżna Korecka.

— Gdyż serce moje komu innemu oddałam.

Blask radości zajaśniał na twarzy wojewody, Sieniawski zaś przy tych słowach Beaty w bok się wsparł i płomieniem z oczu zaświecił.

— I komuż to, jeśli wiedzieć wolno? — zapytała księżna Korecka.

— Tu obecnemu panu Aleksandrowi Kostce — odpowiedziała Beata.

Naówczas zadarł w górę głowę Sieniawski i odpowiedział:

— Nie mam ja tu co dłużej porabiać, gdy mnie porówno serce córki, jak wola ojca odtrąca. Zbyt jednak umiłowaną sercu mojemu jest wojewodzianka Beata, w zbyt wielkiej czci mam jego wielmożność pana wojewodę, w zbyt wielkiej estymie przesławny ród Herburtów, abym, co wiem im przeciwnego, zmilczał. A iż do delacji nawet w świętej i obowiązkowej sprawie usta Sieniawskiego się nie zniżą, Sulnicki — czytaj list, który na twoje zapytanie kasztelan Janusz Kostka z Dębin ci odpisał.

Kostka drgnął, jakby złem przecuciem tknięty, a Sulnicki wielki arkusz z zanadrza dobywszy, czytać począł:

„Do Imci Pana Michała Sulnickiego, wojewodzica Sieniawskiego dworzanina:

Jako mnie waszmość, podejrzeniami pewnemi, jako piszesz, tknięty, pytasz i do odpowiedzi ze strony wiadomej osoby obligujesz, odpowiadam waszmości przez umyślnego, co następuje:

Sprawiedliwie szacuję miłość waszmości ku prawdzie i nienawiść szalbierzy i wiadomem czynię, iż ów Aleksander Leon Kostka ze Szternberku, za takiego się podający, z rodu naszego nie jest. Przed dwudziestu kilku laty do stryjecznego mego Rafała Kostki, kasztelana bełzkiego, zaufanego króla nieboszczyka Władysława, przywiózł hajduk chłopię, ledwie mówić mogące, bogato odziane i tam je wraz z oddanym sobie listem zostawił. Dom był bezdziejny i dziecko jak swoje chowano. Gdy chłopiec podrósł, zasię po niego przysłano i co się z nim później stało, nie wiem. Z naszego plemienia Kostków on nie jest, jeśli to ten za takiego się prezentuje. To wiem i słowem uręczam, a nawet, gdyby potrzeba w jakiej ważnej sprawie była, i przysięgą uręczyć mógłbym.

Życzę zdrowia Waszmości.

Janusz Kostka z Dębin,
kasztelan sieradzki.

Gdyby grom z jasnego nieba uderzył, większegoby efektu działać nie zdołał.

— Zaiste! Na palu pal — bo takie miał, gdy go co poruszyło, przymówisko — ręka to kasztelana, tak mi znana, jak moja własna. Któż więc waszmość jesteś? — zwrócił się ku Kostce.

Ten stał biały jak płótno.

— Ktoś waść jest? — zapytała porywczco księżna Korcecka.

Kostka milczał, a Sieniawski rzekł:

— Jakom rzekł, nie mam ja tu co dłużej porabiać. Atoli zdaje mi się, iż źłem nie uczynił, zezwalając zaufanemu memu, któren z gorliwości ku mnie, o cześć domu Herburców niemniej też dbały, podejrzenia powziąwszy, w najszlachetniejszą stronę, gdy kasztelan Rafał i małżonka jego nie żyją, z interrogacją się zwrócił. Cokolwiek stąd wyniknie, mnie wszelako jedno tylko: odejść stąd — pozostaje.

— Czekaj, wasza miłość, nie odjeżdżaj, póki się sprawa nie wyklaruje! — zawołał wojewoda i zwracając się ku Kostce: — Mów waszmość kto jesteś? — powtórzył.

Kostka milczał. Białość nie ustępowała mu z twarzy, oczy w ziemię wbił i stał, jak skazaniec. Byłby może słowa nie wyrzekł, gdyby nie prośba Beaty, która rękę, jak do pacierza, złożywszy, ozwała się błagalnie:

— Na Boga, proszę, powiedz waszmość nazwisko swe i godło!

Naówczas Kostka spojrział na nią zarówno z wyrzutem, jak z miłością nieopowiedzianą i wyprostowawszy się, iż, acz nieduży, prawie wysokim w tej chwili się wydał, spojrzenie w oczach obecnych topiąc, rzekł spokojnie i wyniośle:

— Imię moje jest w księdze dziejów zapisane nie tam, gdzie wasze będzie.

Znaczenia tych słów nie pojawiwszy, a najmniej się podobnych spodziewając, wszyscy stali chwilę, spoglądający po sobie, aż pierwszy ozwał się zuchwale Sulnicki:

— Nie o enigmata tu idzie, jeno o nazwisko waścine. Powiadaj je i basta!

Jeszcze dumniej wzniosł Kostka głowę w górę i odparł:

— Odpowiedzieć ci raczę, pachołku, iż pan twój mnie do kolan kołpakiem kłaniać się winien.

Splonił się na to Sieniawski i w okamgnieniu karabełę ze złotej pochwy wyrwał, ale go blisko stojący wojewoda za rękę chwycił i krzyknął:

— Jedno nie pozwolę krwi rozlewać w domu moim, drugie nie wiesz waszmość, kto zacz, a jak zbój mordować nie będziesz!

Zatrwożona i ze łzami w oczach Beata powtórnie się ku Kostce skłoniła.

— Mów waszmość, jak cię zowią — błagała — nie wystawiaj serca mego na próby ognia!



I wtedy ponownie Kostka — jako pierwaj, na nią popatrzysz — rzekł głośno i wyraźnie:

— Jam jest króla Władysława syn.

Znów oniemieli wszyscy, jeszcze dłuższą chwilę milczenie potrwało, niż uprzednio.

Przerwała je kasztelanowa Korecka, mówiąc w aluzji do nazwiska Wazów:

— Z tych pewnie wazów, co nie jabłko i wawrzyn, ale pierogi ze śmietaną naszały.

Huknął śmiechem Sulnicki, rozśmiał się i Sieniawski, a Sulnicki przez śmiech zawołał:

— U mojego szwagra jest fornał Władysław Król — zali nie ten? Nawet podobny z urody.

— Pacholku — odpowiedział Kostka wyniośle — jesteś mi jako pies, co na mnie szczeka. Obrazić nie możesz, ale obitym będziesz.

Porwał się wreszcie wojewoda, który stał, jak słup, bez słowa i ruchu.

— Dość! — krzyknął. — Ktokolwiek waść jest, iżeś śmiał pod nieprawdziwem wejść w dom mój nazwiskiem, próg mój przestąpić proszę!

— Panno Beato! — zwrócił się Kostka ku wojewodziance, która z twarzą zasłonią rękoma stała.

Słowa nie otrzymał, ale ruch głowy nic dobrego, owszem, źle mu wróżył.

— Beato! — rzekł jeszcze.

Lecz tylko ten sam ruch głowy uzyskał.

— Milcz, wasze! — rzekła księżna Korecka. — Jak śmiesz ozywać się jeszcze do tej, któraś zuchwałstwem twem i bezczelnością pokrzywdził i pohańbił!

— Tak jest! — krzyknął z kolei wojewoda. — Tak jest! Jak śmiałeś, fałszywego nazwiska używając, na dziecko

moje, na Herburtównę oczy podnieść! Powsinogo! Przybłądo! Precz mi z zamku! Precz!

Kostka na te obelgi i groźby ku Beacie się zwrócił, ta jednak, twarzy nie odkrywając, milczała jako pierwiej.

Naówczas gniew go ogarnął, ręką w zanadrze sięgnął i z kieszeni zwitek z pierścionkiem z włosów wojewodzianki dobywszy, pod nogi go jej rzucić chciał, ale się wstrzymał, zbyt bowiem ją jeszcze miłował, aby wstydzić zdołał.

Ta snąc odgadła, czy odczuła myśli jego, odsłoniła bowiem nieco lica i pełne strachu, przerażenia, wdzięczności spojrzenie padło na twarz Kostki.

— Precz! — huczał wojewoda. — Ty niewiadomy człeku, szalbierzu imienia królewskiego! Precz, bo na samą myśl, żeś na córkę moją patrzeć śmiał, krew mię zalewa! Fora! do kroćset djabłów, bo psami wyszczuć każe!

Za wiele tego Kostce było. Nie licząc się już z nikim i z niczem, choć wiedział, że zginąć musi, za szpady rękojeść chwycił, gdy nagle o niespodzianej godzinie dzwon kościelny we wsi pod zamkiem zabrzmiał i równocześnie dwaj dworzanie wojewody, Rajcerz i Szybka, w najwyższym pomieszaniu przybiegli, jeden przez drugiego wołając:

— Wasza miłość! Zbóje! Folwark Zgorzelicki płonie! Czerń pustoszy!

— Gwałtu! — krzyknęła kasztelanowa, wojewoda zaś o Kostce zapomniawszy, bo Zgorzelice tuż niemal obok zamku leżały, gębę na razie w zdumieniu i przerażeniu otworzył.

— Kupa chłopstwa! — wołał Rajcerz. — Dowiedzieli się snąc, że chorągwie nadworne pod panem Makowskim do obozu królewskiego wyprawione!

— Co jest ludzi w zamku! Do broni! Na koń — wrzasnął wojewoda mowę odzyskawszy. — Hej! Wasiutyński! — krzyczał oglądając się za marszałkiem dworu.

Poskoczył naprzód Sulnicki, a Kostka, trzasnąwszy szpadą w pochwie, wpadł za nim do stajni i nie mając swego, w zamieszaniu najlepszego z wierzchowców wojewody okulbaczył i za bramę na nim wypadł. Myślano, że ku Zgorzelicom leci, ale on w lesie nieopodal zamku na prawo skręcił i na gościniec myślenicki ku Rabie, co pary było w bachmacie, ruszył.

Wrzawę i dzwon larmo czyniące słyszał, wkrótce otoczyła go cichość wieczorna, łunę tylko widział na niebie.

O Beatę się nie lękał. Zbyt potężnem było imię wojewody, aby chłopci, choćby jak zuchwali, porwać się na zamek ważyli; zbyt wielu ludzi w zamku, aby najmniejsze niebezpieczeństwo rodzinie wojewody grozić mogło. Spalono już wprawdzie po dwakroć Bełz i zamek Ciechanowski, ale tam dowodził zorganizowaną bandą zuchwały i dostępny emisariusz Chmielnickiego, Jachowski. Uprzednio wstecz złupił herszt Bajus z towarzyszymi Januszkowice; zabito panów Trojanowskich, Bobownickiego, Bylinę z Leszczyn, splądrowano dwór Olszewskiego w Siarach, Domaradzkiego w Ropie, słynny Czepiec i Sawka napadli na Jamgród, choć obwarowany, Męcińskiego, zrabowali w Zyndramowy siedmdziesiąt siedm stadnych klaczy, zgrabieżyli dwór Delpacego w Glinniku, Cikowskiego w Żeglach, Michałowskiego w Rogach pod Iwoniczem, ale z podobnych napaści drwić mógł armatami strzeżony, podobny do twierdzy gród Herburtów. W Zgorzelicach były obory pańskie, tam też znęcili się zbóje.

Z łuną w sercu, niemniejszą, niż ta, która ponad nim świeciła, z huraganem gniewu, żądy zemsty, a zarazem bólu i rozpaczy w sercu, pędził Kostka gościńcem. Aż ubieżawszy więcej, niż milę drogi, koniowi zwolnił, aby go nie zapalić i nie zmarnować.

Olbrzymia łuna gorzała na niebie.

Wstrzymał Kostka konia, na kulbace się skręcił twarzą wzd, wznosił rękę z pięścią zwiniętą i wyciągnawszy w stronę pożaru, począł nią trząść złowrogo, mówiąc:

— Poczekajcie, magnaty! Zapalę ja wam lepszy ogień nad głową! Poznacie mnie! Psie syny!

Ku góróm konia skręcił. W tę dziką, zapadłą stronę wściekłość go i gniew skierowały, jak instynkt wilka, co się z łańcucha urwał.

ROZDZIAŁ II.

W gęstym lesie jechał wojewodzie Jan Sieniawski, na górskim, niewielkim koniu snujący popod Tatry.

Błędnym rycerzem przeżywała go rodzina i znajomi, albowiem z pół-przyjacielem, pół-sługą swoim Sulnickim i hajdukiem Tomkiem tygodnie, a czasem miesiące całe wędrował on przez lasy i pola, dróg nie pytając, upolowaną zwierzyną się żywiąc, po zamkach pańskich, albo i po chłopskich stodołach na sianie nocując. Sześć psów gończych przy koniu szło, tak tresowanych, że żaden bez znaku nawet na widok zwierza nie ruszył, prócz tego wyły dwa i cztery olbrzymie w Anglii zakupione dogi, któremi szcuć dzika było miło, a które i do obrony służyły. Albowiem w tem otoczeniu wojewodzie Sieniawski, półbóg z Sieniawy, jako go księżne i hetmanówny w Warszawie i w Krakowskiem zwały, przejechał świat od północnych bagien i jezior pruskich i litewskich, aż po Żelazne Bramy Dunaju, Dzikie Pola i goszczony przez grafów i furerów niemieckich aż po Ren.

Ale najraczej wędrował on przepastnemi puszciami Karpat, bijąc odyńce i walcząc z niedźwiedziami.

Sierotą był i samodzielny panem olbrzymiej fortuny, iż ledwie ostrogska ordynacja ją przewyższała, a ni Zasławscy, ni Radziwiłłowie, ni książę Jeremjasz Wiśniowiecki, któremu sam czynsz roczny z 39.610 poddanych zadnieprskich, nie licząc mnóstwa futorów, folwarków ekono-

micznych i 423 młynów, nie licząc podatku z szynków, zboża, miodu, bydła, zwierzyny, ptactwa po jego dobrach: milion dwakroć sto tysięcy złotych przynosił, nie byli bogatsi. Wydawało mu się też wszystko równo, jak mówili współcześni, i mało kogo za równego sobie z rodu poczytując, o książęcy tytuł, do czego go namawiano, dbać nie racząc, wszystko za dostępne i możliwe dla siebie miał.

Był Jan Hieronim Zygmunt August Sieniawski wzrostu wysokiego, w barkach szeroki, ale w postaci smukły, o włosach ciemnych w loki z przyrodzenia krętych, nos miał orli, pod nim wąsy młode z polska puszczone, a oczy jasno-błękitne, świetnie promienne, kiedy chciał ciepłe i słodkie, kiedy chciał srogie i straszne, z przyrodzenia dumne i nieulekłe. Twarzy był jasnej, pociągłej.

Z Herburtówny zrodzony dwie miał tradycje w pochodzeniu: jedną, że Herburtowie, gdy marli, dla dzielności w orły się siwe przemieniali i orłami opuszczali świat ziemski; drugą, że gdy się rodzi Sieniawski, piorun w najwyższego dęba okolicy bił, aby go nie zaciemniał korona.

W swej woli i potędze rosnący, ledwie się królowi Sieniawscy uchylali, a Jan Hieronim za kwiat rodu uważany, kwiatem się rodu swego znał.

Gdy Sieniawski towarzyszków odbiegłszy, Marynę Toporzankę z Hrubego, osiedla nieopodal Zakopanego, o kosę wspartą z pomiędzy jodeł i smreków ujrzał, psyknął na psy i harapem im pogroził, poczem konia pocisnął i naprzód ruszył. Na skraju lasu się zatrzymał. Nie chciał on przerazić dziewczyny, ani spłoszyć.

Po chwili z konia zeskoczył, psy na smycze wziął i do drzew poprzywiązywał i świsnąwszy nad nimi harapem, aby przestraszone nie rwały się za nim, nazad na konia wsiadł i z lasu powoli wyjechał.

Zdaleka kołpak zdjął i ku dziewczynie nim na powitanie, na dobrą wolę, powiewał, ale ta nie lękała się śnać,

lecz jak była wsparta o stylisko kosy, tak stała, z chustką żółtą na ramiona opadłą.

— Niech będzie pochwalony! — zawołał podjeżdżając Sieniawski.

— Na wieki wieków! — odpowiedziała Maryna.

— Dobrze jadę?

— A gdzie?

Rozśmiał się Sieniawski i rzekł nieroztropnie:

— Przed siebie.

— Starajcie się o nos, bo tam las — odpowiedziała dziewczyna.

— Tak twarde są wasze drzewa?

I najechał blisko koniem.

Ale dziewczyna zagroziła drogę do siebie kosą wpoprzek.

Sieniawski zeskoczył z siodła.

Maryna nie cofała kroku, tylko przesunęła szybko kosisko w rękę, tak, że ostrze znalazło się wzdłuż naprzeciw Sieniawskiego.

Przystanął i roześmiał się głośno.

— Zacięłabyś mię? — zapytał z góralska.

— Zatnę!

— A wiesz, kto ja jestem?

— A to mi wszystko jedno.

— Wiesz ty, że ja mam sześć tysięcy własnego wojska?

— Ale nie tu. A ja mam kosę!

— I że mam więcej niż sześćdziesiąt tysięcy poddanych gospodarzy?

— Ale ja wolna, królewska!

— Zamek mam z pięciu wieżami — chcesz w nim mieszkać? — ciągnął Sieniawski.

— Moje wieże wyższe i więcej ich tu — wskazała ręką Tatry.

— Uzłocę cię, ubiorę w perły, w diamenty!

— Ej ha! — przydrwiła Maryna. — Kiedy ja do wody do potoku wleżę, to po mnie pereł i diamentów dość!

— Kochać cię będę! — krzyknął Sieniawski.

Roześmiała się Maryna.

— Porwać cię każę! — dodał Sieniawski.

Maryna obejrzała się szybko, myśląc, że może ma on służbę za sobą i wymierzywszy sztych kosa prosto w piersi Sieniawskiego, rzekła:

— Gwizdnij na swoich ludzi!

Oczy jej przytem zaiskrzyły się tak, że można było uwierzyć, że uderzy.

— Jestem sam, nie mam nikogo — rzekł Sieniawski.

— No to wiedz pan: u nas co Topór to topór!

— Cóż to znaczy?

— Ja z Toporów mam ród, z Hrubego. Mój brat i nasi chłopi pod ziemią by mię znaleźli.

Roześmiał się Sieniawski.

— Jeść mi się chce — rzekł, aby jakoś rozmowę dalszą umotywić.

— No to jedźcie do nas, do chałupy. Bo tu niema nic — powiedziała Maryna.

— Ugościsz mię?

— Wdzięcznie.

— A gniewasz się o to, com ci mówił?

— Młodziście, toście głupi — rzekła Maryna, zamykając rozmowę. — Pójdźcie.

Ale gdy Sieniawski po psy ruszył w gęstwę, aby je zabrać z sobą, Maryna zawołała:

— O, to na nic! Ze psami! Bo by ich nasze owczarskie potargały!

— No, to jakże? Psów zostawić nie mogę.

— To nic. Zostańcie tu przy nich, a ja jeść dla was i dla nich przyniosę.

Zwróciła się i z kosą na ramieniu w las wstąpiła.

Sieniawski popręgu koniowi popuścił i wędzidło podpiął, aby się paść mógł, poczem na trawie nawznak się położył.

Wpół godziny, albo mało co więcej, wypadła Maryna z lasu okrakiem oklep na koniu, w pełnym galopie, z workiem i koszyczkiem w jednej ręce, w drugiej z siekierą. Gnała z leśnej drogi polaną, co koń, niski, krępy kasztan mógł wyskoczyć.

Sieniawski z trawy wstał, a Maryna zwłóczyła chróst na ogień zaczęła. Z pomocą jej siekiery i podróżnego toporka wojewodzica w mig olbrzymia watra buchnęła. Dobył Sieniawski wino i wódkę z troków, spyrkę nożykiem krajał i na patyku skwarzył; popijał. Za ten czas bób i fasola się gotowały.

Uczę miał smakowitą, w kłębach dymu, wśród iskier trzaskających z żywicy.

Gdy się posilił, Maryna z pustoty świeże smolne smreczki i jodelki ciąć zaczęła i na ogień je ciskać; skoczył i Sieniawski do tej uciechy. Wybudowali stos na człeka wysoki, że się zdawało, iż płomień i dym w niebo bije.

Ogary podrażnione jak na pożar wyć zaczęły.

Tak się poznali.

ROZDZIAŁ III.

Było to w początku wielkiego maja.

Wzięto się więc do mycia i czyszczenia sprzętu szafarnego, kotłów miedzianych, pucier, gieleł, drewnianych naczyń z pałąkiem do dojenia owiec, oboniek, płaskich okrągłych naczyń do zwozu mleka, skopców, czerpaków. Juhasi poczęli smażyć, w maśle i strugać strzały, naprawiać kołczany; kto miał, to opatrywał rusznicę, lub pistolety na krzemień. Powszechny ruch, powszechna wesołość nastąpiła. Już do Toporów, do Sobka, wnuka Janowego, po trzeci raz przez gazdów z Hrubego, z Olczy, z Ustupu, od Bachledów, z pod Kopy, od Sobczaków, od Walczaków od Tatarów, od Gąsienic wybranego bacą, poczęli się schodzić juhasi dawniejsi i świeżo nastali. Były rady, narady, nauki, a osobliwie udzielał ich stary Kret z Ustupu, juhas odwieczny, którego nikt młodym nieznał i któremu mogło być nawet wyżej stu lat.

Na wtorek trzy dni przed Zielonemi Świątkami naznaczył baca dzień mieszania. Ze wszystkich osiedli w pobliżu Hrubego zegnano owce na polankę przed domem Topora Jasicy, gdzie czekali już na nie baca Sobek i juhasi. Tam każdy gazda oddawał swoje stadko, a potem zmieszano wszystkie owce razem do wielkiego zagrodzenia, koszar. Jeden juhas wziął koronkę w rękę, drugi z zagrody owce puszczał, licząc, a gdy krzyknął dziesięć — juhas paciorek

różańcowy przesunął. Owiec było tysiąc dwieście, które bacy gazdowie na lato powierzali.

Osobno stały krowy z pasterkami i młode woły z wolarzami, do szałasów należącymi. Szalas nadawał nazwę tylko pastwisku owiec. Stało i kilkanaście koni, mających lato spędzić na hali.

Z mrocznej szarej mgły wylaniały się wierchy, bystro słońcem złocone, w pełnym obłoków niebie tonące. Liljowo-sine i fioletowe były te obłoki, które wiatr po szafirowym niebie gnał. Bo wiatr dał silny w to rano wygnania na halę.

Wierchy jakoby się ścigały z obłokami, to miały je przed sobą, to ginęły w nich; to znowu ponad szczytami skłębił się tuman kolorowy, a czasem rozbił się w strzępy i rozleciał właśnie w chwili, kiedy blask słońca ugadzał, jak gdyby złotawy ryś wpadł między stado barwistych cietrzewi, sinogarlic i dzikich gołębi na kępach podkrywańskich.

Mnóstwo bab, chłopów, dzieci zebrało się żegnać juhasów, pasterki i swój dobytek. Matki całowały córki, ojcowie upominali synów, ażeby trzody warowali przed wilkiem i niedźwiedziem, bacy słuchali, że zbójnikami, jakby przyszli w odwiedziny, byli grzeczni, co polecali tem więcej, że niejeden z nich sam zamłodu „za buczki“ chadzał.

Stara Baganta dawała dziewczkom ziela od uroku, od porobiska, tak dla człowieka jedne, jak dla bydłęcia drugie, nieodbyte, gdy się rozdętemu świeżą trawą bydłęcitu spałek, kawałek drewna w pysk kładzie, a boki gniece. Brali i juhasi ziela, srebrne pieniążki dając, choć klęte naszyjniki na szyjach nosili.

Ten ów na owce, na statek swój spoglądał, baby krowy po karkach głaskały, osobliwie cieleta przez zimę podrosłe; smutno się z nimi było rozstawać.

O pogodzie możliwej radzono, lato przepowiadano mokre zrazu, potem aż do jesieni suche i upalne.

Owiec zegnanych do kupy pilnowały już psy wielkie, kudłate, o wilczych mordach, białe, z obrożami kolczatemi na karkach, i obstawili je sobą juhasi zbrojni w ciupagi z brzęczącemi mosiężnemi kólkami na tylcu toporzyska, w kije opalone na czarno, śperulce, oblaki bukowe, sękowce ze smreka, siekańce nasadzone krzemieniami, buńkosie, maczugi obite mosiężnemi kólkami, wesoło brzękiem przy pochodzie, straszące owce, a straszne jako broń.

Na głowach mieli małe kapelusiki czarne, okrągłe, płytkie, z wąskiem skrzelem, wysmarowane tłuszczem, z kostkami z morskich muszelek białych naszytemi na rzymyk, lub z mosiężnemi łańcuszkami, owitemi dokoła dla oporu na wiatr; ten i ów w kołpaku baranim w kształt perski, kostkami, paciorkami, koralikami oplecionym, włosy wymaszczone; na ramiona, od uszu dwie kiecki, we war-koczyki plecione, w paciorki i koraliki zdobne, na szyi brembulce, naszyjniki z kamyków, kulek i kawałków mosiądzu; koszula spięta blachą mosiężną z łańcuszkami, trzpieniem przekłuta, od pasa do pachy pas z pięciu żółtymi mosiężnemi klamrami, z ciemnej bronzowej skóry, nabijany świecącemi mosiężnemi i srebrnemi guzikami, za pasem noże z trzema bulkami z mosiądzu na trzonku, u poniektórego pistolet. Koszula w maśle usmażona, czarna, połyskliwa, z rękawami rozszerzonemi ku pięści, że gdy chłop stanął, do kolan opadały kutaśnikami zdobne, krótką, że ledwie z pod pasa nad portkami rąbkciem wystawała, a często, gęsto chłop gołym bokiem i brzuchem błysnął. Portki białe, ze zaszczepkami niebieskimi i czerwonymi z włóczki, wąskie, obcisłe, w onycki wpuszczone i rzemieniem okręcone w pół łydki, na stopie kerpiec z jednego kawałka skóry. Przez ramię torby juhaskie z wełny czarnej i białej plecione, frombijami (frendzlami) zdobne, u niektórego rusznica na krzemień, ale zrzadka, zresztą łąki długie i kołczany strzał pełne, zręcznie z łyka smrekowego plecione.

Ten i ów zaś to kobza skórzana, to piszczałka z wierbowego drzewa, to fujera, lub trombita długa niezmiernie, czasem na półtora chłopa, rozszerzona u wylotu; tę osobliwie wolarze miewać lubili. Chłopy same rosłe, smukłe, gdzie niegdzie olbrzym dwie stopy nad sążęń, to znowu chłop, jak pniak, zebrany w sobie, krótki, a z plecami jak ława. Na ramionach serdaki, guńki białe krótkie, nijako nie wyszywane; ten i ów kozuch na plecy odział.

Przy juhasach młode chłopcy, gońcy, czyli honielnicy, uczniowie na juhasów.

Zaś pasterki miały koszule białe, cyfrowane czerwoną lub czarną grubą nicią na ramionach, spodnice ciemne, wytłaczane w białe kropki, zapaski różowe; nogi w kierpcach tylko nie rzemieniami, ale czarnymi grubymi wełnianymi sznurami, nawłokami, ówite, na ramionach chustki, zapaski, stare guńki ojcowe, stare kozuchy macyne. Mało która piechotą, ale okrakiem na koniu na drewnianem siodle, na niem przewieszzone obońki, garnki, skopce, rajtoki, worki z mąką. Tu znowu koń objuczony kotłami żelaznymi do gotowania strawy, sprzętem juhaskim, przyodziewą męską, dziewiecką, zapasami we workach. Przytroczona do siodła tu i owdzie rąbanica krótka z szerokim obuchem, wygodniejsza od ciupagi do domowej roboty. Dziewki, co pieszo szły, na długim lejcu konie trzymały.

Ruch był. Juhasi oganiali owce do kierzela, a raz po raz który z radości, że już w hale idzie, pokrzyknął, gwizdnął, lub ciupagę zberczącą mosiądzem wysoko ponad głowę rzucił, że zawarczała młyńcem w powietrzu i w rękę mu z brzękotem spadła.

Stał baca, Sobek, Topór, od Jasiców Toporów, Janów wnuk, Marynin brat, jak buk pomiędzy gromadą. Ruszać już trzeba było, bo słońce wychodziło coraz wyżej.

Wzrostu nie był nadludzkiego, jak kilku olbrzymów, ale imponująco głową ogół przenosił, barków potężnych,

a ciemna jego wąska, orla twarz z nosem zgiętym ku wąskim ustom, harda, miała zuchwały wyraz, jakby z magnatów i rycerzy pochodził. Podobne do Maryninych szafirowe oczy z pod ciemnych włosów z ciemnej twarzy świeciły jak ognie.

Bacą był już trzeci rok na wspólnych halach pod Kopą Królowej i przy Stawach, choć dopiero dwadzieścia pięć lat sobie liczył, gdyż rozumem, odwagą, męstwem, siłą, a przytem rzetelnością wszystkich przewyższał. Starzy chłopci na bacostwo go wprowadzili, a starsi juhasi chętnie słuchali i poważali.

— No czas! — rzekł popatrzawszy na stado uporządkowane i na słońce i niebo.

I skinąwszy na starego Franka Buńdę z Kotelnicy, który mu kropidło podał i kotlik miedziany ze święconą wodą, co po nią aż do Szaflar biegał, bo jej bliżej nigdzie nie było, podstawił: szedł przed nim dookoła owiec, kropiąc je i modląc się o błogosławieństwo i zachowanie od nieszczęścia, poczem, na czoło pochodu wyszedłszy, krzyż ciupagą przed stadem na drodze uczynił i do góry ją ostrzem wznosił.

Błysnęła stal pod słońce, a to był znak.

— Ostajcie z Bogiem! — krzyknął Sobek do pozostałych.

— Boże prowadź! Żegnaj Panbóg! Z Panem Bogiem! — odpowiedziały mu setki głosów.

Zadęli juhasi i wolarze we fujery i trombity, zabręczeli na kobzach, gwizdnęli na piszczałkach, zadźwiczeli na gęślach, zaberczały metalowe kółka przy ciupagach i obijane metalowemi obrączkami maczugi; huknęli ci, co nie grali, krzyknęły na krowy pasterki i klasnęły w bicze wolarze. Szczeknęły psy i zatętniał tupot racic owczych i bydłych i tętent kopyt końskich. Ale cudownie, melodyjnie, uroczyście zagrały tysiące spiżowych dzwonków u szyi trzód. I pochód ruszył. Konno i pieszo otoczone stada, wiedzione

przez bacę, naprzód w olbrzymiej wydłużonej gromadzie, potem krowy, potem woły, poczęły się sunąć drogą przez Toporową polanę. A wraz rozległo się wyskanie, wysoki krzyk, pasterek i młodych gońców i kilkanaście głosów, przy jęczeniu fujer i trombit, rzępoleniu gęśli i piszczałkach, przy basowaniu kóbz zawiodło:

Hej baco nas, baco nas, podź s nami na sałas,
popod białe skole na ślebodnom wole!
Hej baco nas, baco nas, powiedź ze nas hore,
bo my uzdajali w turnickak obore!
Hej baco nas, baco nas, kielo baranów mas,
kielo mas owiecek, kielo mas dziéwecek?

Rozłamał się chór — mężczyźni zaśpiewali:

Hej baco nas, baco nas, nie załuj nam mléka,
my ci przywieziemy z pod Krzywania byka!

Zaśpiewali mężczyźni, a dziewczki odpowiedziały:

Hej baco nas, baco nas, nie załuj nam syra,
co jo cie niebedem do rania budziéta!

I znowu chłopci:

Hej baco nas, baco nas, nie załuj zynytyce,
my ci wybieremé uherskie piwnice!

I znowu chórem wszyscy:

Hej w polany, w polany — kosiar murowany,
murowany kosiar — baca jako cysar!..
Huuahahauuu!

Ale cudownie, melodyjnie, uroczyście grały tysiące spiżowych dzwonków u szyi trzód.

Oni zaś szli, juhasi, pasterki, trzody, konie z hukaniem, brzękiem, muzyką, śpiewem i cudowną grą tysięcy dzwonków. Rzucane w powietrze i chwytane w rękę migotały ciupagi. Tonęli w lesie.

Waż jakoby olbrzymi, łuskami migocąc i brząc, wsuwał się w nieprzejrany, prawieczny las.

Idom...

Aż wchłonał ich głęboki mrok drzew.

Z coraz dalsza, z coraz dalsza słyhać było jęczenie dalekonośnych trombit i zbyrkotanie spiżowych turlików i kłapacy.

— Idom — rzekł stary Topór, uczynił za pochodem ręką krzyż w powietrzu, schylił się, urwał garść trawy z pod nóg i rzucił w stronę lasu, szepcząc:

— Bóg daj! Bóg daj! Bóg daj! Dadźbóg, wielgomożny boże! Panie dobrego losu!

*

Wiodła droga jeszcze lasem kęs pod górę, a potem się z niej Sobek wziął na prawo, w perci.

Tam się owce poczęły wydłużać w nieskończony sznur, bo było wąsko, po boku się ledwie juhas pod smreczki przeciskał, albo też w stadzie pomiędzy owcami z psem szedł. Gęstwa była straszna, drzewo nigdy nie cięte, chraścią, smędlakami zarośnięte i zatrzepane. Tysiąc dwieście owiec wyciągnęło się w biały sznur, kozy w nim, a za niemi jedna za drugą szły krowy i woły wielkie rogi między gęstwiną przedzierały. Od turlika pierwszej owcy do kłapaca ostatniego wołu dźwięczał i dzwonił spiż na ogromnej śródleśnej, błędnej w zakręty przestrzeni.

Bystrzej i bystrzej pod górę, między stary, choć coraz niższy las, gdzie się już wszelkie inne drzewo traciło, a tylko smreki coraz wyłącznie zostawały, koło potoku, co z Czarnego Stawu szedł, podbijając się począł pochód ku wąwozowi poza Kopą Królową, ku Królowej Hali, od Maćka Króla, co tam pierwszy pasać zaczął, nazwanej. Aż sięgnięto kosodrzewiny i po kilku godzinach cienia leśnego ujrzano słońce i wierchy i ostry górski powiew przyplynał.

Naówczas taka radość owładła serce Sobka Topora z Hrubego, że zabrzczał nabijaną ciupagą swoją nad głową i wznosił głos:

Hej idom se owiecki tom stawiańskom pyrciom!

drugi wiersz dziesiątki męskich, kobiecych i chłopięcych głosów rzuciły na las:

Hej juhasa, niewidać, ino zwonki zbyrcom!

i powtórzyły raz drugi, jak zwykle.

A Franek Marduła przeskoczył stopami przez własne toporzysko, prawą ręką za siekiere, lewą za koniec drzewa ujęte, i rozdarł się, aż zgiełcało po hali:

Ani jo nie juhas, ani jo nie baca,
sama mi dziewcyzna owiecek nawraeo! Huuuuuuu!

*

Wkroczone w dziedzinę szczęścia.

Poruniło się pięknie, gdzie okiem spojrzeć, zielono tylko na turniach, śniegu płaty olbrzymie, w żlebach, gdzie do cienia, hrubo go jeszcze na chłopca zwyżć.

Jasne białe mgiełki kołysały się nad wierchami.

Zmęczone bydło poczęło się rozglądać, rozpoznawać, przypominać sobie, wdychać, chylić łby, wachać bystremi nozdrzami, poszcypywać i skubać trawę koło szałasów i szóp.

Wiatry halne, a osobliwie ten wielki, co z końca grudnia (z początku listopada) wiał, porobiły szkody, postrząsały kamienie z dachów, a śniegi wielkie, co w zimie, w jagwieńcie przed gody (w grudniu przed Bożym Narodzeniem) i potem drugi raz w godniku (styczniu) ku końcu miesiąca spadły, zgmiotły szopy dwie krówskie do imentu. Trzeba było naprawiać, ale to się duchem przy telik chłopach i wszelkim sprzęcie potrzebnym z domu zabranym zrobiło. Osobliwie olbrzymi Bartek Gałajda, wolarz, i Franek Marduła z Nad Potoka cud dokazywali, bo Gałajda na dachy kamienie wykładał, coby trzech ludzie mieli co dźwigać, a Marduła tak obuchem dzwonił, co się widziało, że w pięciu kuźniach kują. A co raz to se pokrzyknął: Hoba hop!

Koszary jęto stare naprawiać, nowe stawiać, strągi, miejsca do dojenia owiec, w nich grodzić. Ożyła hala.

Zapłonęła watra w szałasie bacowskim; gruby zawat-
ternik, kłat drzewa ztyłu watry tlał, a smolne drzewo raz
po raz dorzucane, trzaskało iskrami i miły, znany, gryzący,
gęsty dym szalaśny napełnił wnętrze. Na jadwidze, długim
kiju, uwieszanej u żerdzi poprzecznej, pod dachem szałas
z dwu stron przymocowanej, wisiał kocioł, a w nim wa-
rzyła się kluska z owsianej mąki, bo jeszcze nie dojono.
Filarowego Józka Bronka od Cajki ją gotowała. Na od-
wiecerz, kiedy owce zegnano do koszarów, poszedł bacia
do szałas
po żarzące węgle i wsepawszy węgle, ziela
zbierane na Matkę Boską Zielną i żywicę ze smreków,
uzbieraną w lesie w łubek z kory smrekowej, wrócił z tem
ku owcom, zdjął kapelusz, przeżegnał się i kadząc od za-
chodu ku wschodowi trzy razy obszedł je w milczeniu,
z powagą wielką.

Po trzecim razie wysypał węgle na ziemię przed stragą,
korą przykrył i ukląkł, a za nim pokłękali na jedno kolano
juhasi, w oknach, otworach zagrodowych, stojący i odmó-
wili pacierze do Opatrzności, aby się owce dobrze pasły
i doły i aby im rzucone przez złych ludzi uroki, porobiska,
nie szkodziły, osobliwie przeciw zwartogłowianiu, sko-
lerzeniu, chorobie skurłata, czyli wymienia, i tracelinie, gu-
bieniu się w górach.

Gdy się pomodlili, powstał Sobek i krzyknął na goń-
ców: Goń! Ci zegnali owce ku oknom, a juhasi wzięli się
do dojenia i wypuszczali po jednej ze strągi. Gdy podojono,
gońcy zawołali: Dość! Nieg bedzie pokfalony Jezus Hrystus!
Juhasi przeżegnali się i chuchnąwszy w ręce ruszyli ku
szałasowi za Sobkiem bacą. Ten uchylił skrzypiących drzwi
i przestąpiwszy próg pozdrowił pustkę: „Nieg bedzie
pokfalony Jezus Hrystus!“

Potem nad naczyniem, w którym się mleko na żentycę
przygotowywało, Sobek, zakasawszy szerokie rękawy ko-
szuli, rozciągnął czystą, cieniutką lnianą satę, położył na

środku jej mały, gruby woskowy krzyżyk święcony i drobnej cetyny, gałązek smrekowych, aby mleko szło z gielet bez brudu i poświęcone.

Gdy zaś i krowy wydojone do szóp zaparto, woły, konie i capy polegały na trawie, psy koło nich: zeszli się pasterze do bacowskiego szałas.

Było tam towarzystwo przebrane, chłop znał do chłopu sposób, wiedział, co drugi chłop wart, a i dziewczki były nie płone, bo każda obuchem wilka ubić mogła.

Byli tam oprócz bacy owczarze zawołani, Michał Jesionek Wyćwicki ze Suchego Ogrojca, Wojtek Brzega Gdowin, bo matkę wdowę miał, Drzewiany, albo Drzewiarz, bo rad z drzewa strugował, Jędrzek Mocarny ze Starej Polany, Staszek Bulcyk z Cichego, Byrnas, stary ale jary, byli baraniarze dwaj, Pieter Topór od Gacka i Józek Pycior, dwaj wolarze Paweł Michna Sawicki, co go nazywano Dąbrowskim, i Bartek Gałajda, ku temu gońców młodych kilku; było pasterek siedm, a pośród nich Maryna Toporówna i jej siostra cioteczna Teresia, Jadwisia i jej siostra Zośka od Kohutów.

Tam oni koło watry siedzieli w dymie dusznym, wędząc w nim gibkie, mocne ciała i pasterskie odzienie.

Na hali zbyrkotały dzwonki, to tu, to tam, to owcze, to wole, to z krówskich szóp, ale nieczęsto, bo stace było zmęczone drogą, więc spoczywało spokojnie.

ROZDZIAŁ IV.

Niemało się zdziwił Sobek, czytający owce przy koszarze na schyłku słońca, gdy spostrzegł, iż z wielkiem ujadaniem psy się ku perci przychodniej rzuciły. Rozległ się strzał — jeden, drugi i trzeci.

— Zbójnicy, czy co? — pomyślał Sobek, ale zbójnicy zazwyczaj z głośną muzyką na hale szli.

Pobiegli gońcy i psy przywołali i niedługo ukazało się czterech ludzi, z których tylko jeden, po pańsku ubrany, nie był Sobkowi znajomy. Na czele on szedł, czekaniem się wspierając, obok postępował sołtys z Czarnego Dunajca, ogromnej postaci, siwobrody i siwowłosa Stanisław Łętowski, za nimi zaś torby płócienne na plecach dźwigali dwaj chłopci z Ustupu, Stasel Wojtek z synem. Wszyscy zbrojni byli, jak do podróży w górach.

Zdaleka się sołtys Łętowski baranem kołpakiem Sobkowi pokłonił. Znać go poznał, że baca.

Łętowskiego Sobek widział tylko parę razy w życiu, ale jego znano na całym Podtatrzu. On był jakoby księciem góralszczyzny marszałkiem zwany, bo wszelakich buntów i rozruchów naczelnikiem bywał. Lat temu dwadzieścia trzy, w 1628 r., zasłynął on szeroko, kiedy jakoby hetman stanął na czele poruszeństwa przeciw staroście nowotar-skiemu, Mikołajowi Komorowskiemu, ciemniejszy ludu, na którego sołtysi Czarnego Dunajca chłopów pospolitem ruszeniem pozwali. „Marszałkował“ on wtedy ze sławą

wielką i wielką już wówczas swoją powagę potężnie wzniósł i utrwał.

Zbójnicy zaś, sam nawet Jano Nędza Litmanowski z Nędzowego Gronika ku Kościeliskom harnaś nad harnasie, dolin i dziedzin strach, „oreł halny“, „ryś leśny“ i „stryła z chmur“, najzuchwalszy z zuchwałych, najbutniejszy z butnych, najhonorniejszy z honornych, Łętowskiego szanował i „straśnie miał za co“, tak dla chwały, jak znaczenia, mądrości i bogactwa.

— Niech będzie pochwalony! — zawołał Łętowski, zbliżywszy się.

— Na wieki wieków. Amen! Witajcie! — odkrzyknął Sobek.

A gdy sobie ręce wstrząsnęli, rzekł Łętowski do pana: — Sobek Topór, baca.

Poczem z godnością głowę wznosząc, wskazał na przybyłego:

— Pan Kostka, pułkownik królewski.

Sobek odkrył głowę.

Ale Kostka żywo przysunął się ku niemu, rękę z kapeluszem ku głowie mu podźwignął, dłoń potem uściśnął i rzekł:

— Cieszę się, że was poznaję, mój baco. Siła o was słyse, kędy się popod Tatry obróćę. Widzę, że was nie przechwalono.

— Młody jest, ale przy sile — rzekł Łętowski.

Sobek zaś, rad i z grzeczności i z komplementu pułkownika, ręką wskazał szafas, mówiąc:

— Proszę, niech pan raczy do szafasu.

— Sobek — począł odrazu Łętowski — my tu przyszli do was nie po próżnicy. Pan ma rezolucję królewską. Król każe na nogi wstać i panów bić. Chce, żeby nad krajem był sam, a w kraju chłopci. Pan pułkownik jest wysłany powstanie zrobić. Uniwersały, rozkazy królewskie ma,

z podstarościm nowotarskim Wiktorynem Zdanowskim, jak go znacie, i z panem rektorem Martinusem Radeckim, bakałarzem w szkole w Pcimiu, jest w porozumieniu, ja z nimi od Dunajca, z Witowa, z Hohołowa, z Długopola, z Ludźmirza, z Czerwonego, z Koniówki, z Maruszyny, gdzie jaka wieś, chłopci za mną, a wy zaś tu Podhalańów, a osobliwie swoją rodzinę sprowadzić macie. Bo co Topór, to topór, a wyście nad Toporami głowa! Mardułów, Galićów, Chowańców, Łojosów z Poronina, Gąsieniców, Sieczków, Walczaków, Sobczaków z pod Kopy, Gadejów, Matejów, Mocarnych, Stopków, Pitoniów z Polan trzeba ruszyć!

— Ruszy się — odpowiedział Sobek.

— No, nie powiedziałem panu? — zwrócił się Łętowski ku Kostce z zadowoleniem. — Ja ludzi znam. Jak ja stary i oni młodzi zawołamy, rozgłos się stanie po wszystkich dziedzinach dokoła — chłopcy staną jak jeden! Za wszystkie krzywdy, ucisk, samowolę, łupiestwo i ciemństwo szlacheckie się mścić! Mnie tylko o to szło, żebyście wy, Sobek, stanęli przy nas!

Rad był Sobek niewymownie, gdy przed samym pułkownikiem i posłem królewskim sam marszałek Łętowski tak go wysoce cennym mianował i z pewnego radosnego zawstydzenia ozwał się:

— Warto-by było z Janem Nędzą Litmanowskim się porozumieć.

— E! — odpowiedział Łętowski. — Jan chłop butny, ale pędziwiatr! A i złodziej straszny! Jakbyśmy szli kraść — niemasz nadeń lepszego, ale tu o większe i inne rzeczy idzie. Jego byś nie utrzymał, boby pierwszą noc na rabunek poleciał.

— O! Jak tylko o to idzie, to mnie go tu nie trzeba szukać! — roześmiał się Sobek. — Jest tu u mnie na sza-

łacie Franek Marduła, możecie go znali, z Cichego z Nad Potoka?

— Ten, co miał powiedzieć księdzu z miasta: jabym Panu Bogu gwiazdy kradł, gdybym skrzydła miał? Słyszałem. Bo to szeroko gadali, jako z księdzem mówił.

— Ten, ten, ten.

— Już chłopci het po górach poruszeni — rzekł Kostka. — Koło Grybowa, Sącza, Myślenic, Limanowy. Wiecie, baco, że wojsko i szlachta w obozie daleko przy królu na wojnie kozackiej?

— I wybranieccy chłopci tam poszli.

— Uda się łatwo — wojska niema.

— Jabym wolał, jak się mam bić, żeby się miał z kim — odparł Sobek.

— Czekajcie jeszcze! To dopiero początek! — rzekł Kostka, bystre i zuchwałe rzucając spojrzenie.

W takiej rozmowie szli do szałasu, gdzie ich już juhasi i pasterki z ciekawością oczekiwali.

Na Liljowe, na przełęcz wysoką, wybiegła od krów Maryna. W głowie jej huczało, w sercu wrzało. Ostawiła krowy swoje przy innych pasterkach, co tam pasły, sama szła jak koza po czerwieniowych tam piargach, aż się wydarła na górę.

Z biczem w rękę wybiegła Maryna na przełęcz, sama nie wiedząc kiedy.

Noc całą w szałasie przesiedziała, słuchająca mów mężów, co przybyli. Siedzieli na stołkach i na ławach brat jej Sobek, stary Kret i stary Byrnas, Marduła, Gałajda i inni juhasi co starsi, Łętowski i ów pan młody w kusej czarnej katanie. On mówił najwięcej. Mówił o strasznych krzywdach chłopskich, o strasznej doli chłopskiej tam, niżej, po wsiach dólskich, gdzie z krwawego potu chłopca panowie żyją, gdzie pod batogami pańskimi chłopci konają, gdzie

się im najświętszych, odwiecznych praw i przywilejów przeczy.

A wśród tych nazwisk, które najczęściej na usta Kostki wracały, najęściej brzmiało nazwisko Sieniawskich z Sieniawy, wojewodzica, który w chłopskie brzuchy i babskie tyły podkówkami kopał, aż odciski podkówek znać było.

Wrzało i huczało w sercu Maryny.

Był ten złoty panicz katem, krwiopijcą, zdziercą i okrutnikiem...

Był potworą, widmem, na której wspomnienie ludzie się żegnali...

I tego ona kochała?

Krew burzyła się w żyłach Maryny i na biczysku zatrzaśły się jej palce...

Słuchała całą noc, sama jedna z kobiet, nie odzywając się nic, w kącie szafasu o ścianę plecami oparta.

Do pomsty, do powstania, do kary i zrzucenia pęt, do otrząśnięcia z siebie szlacheckiego jarzma wołał ten człowiek, którego pułkownikiem królewskim tytułowano. Tłumaczył, że król, zmuszony przez szlachtę, na wojnę przeciw chłopom ruskim ruszył, hetmana kozackiego Chmielnickiego jako wybawiciela ruskich chłopów malował, sam się takim wybawicielem w Polsce mianując. Mówił, że szlachta przeciw królowi, który ludowi dobrze życzy, zbuntować się zamyśla, pokazywał pergaminy i opowiadał, że król w nich chłopów do obrony swej osoby i do dźwignięcia się przeciw szlachcie pozywa. Wymieniał miejsca, gdzie chłopci, a osobliwie beskidowi górale już powstali, i nazwiska dowódców ogłaszał. Raczył winem, które za nim na grzbiecie we worku Stasel ze synem przynieśli i na zdrowie chłopskiej wolności w ręce marszałka Łętowskiego i Sobka pił.

Mieszało się w głowie podczas słuchania Marynie,

myśli w niej wirem latały, jak woda w stawie wiruje, kiedy w nią wiatr halny uderzy.

*

We mgle, poniżej, wpoprzek uboczy, nad przepaściami, trzymając wzajem zarzucone ręce na swoje karki, szli, śnać przynapici, stary Sablik i Janosik Nędza Litmanowski, z rusznicami na plecach. Śnać skądś z Cichej, albo z Ciemnosmreczyńskiej Doliny czy z polowania, czy z jakiejś może dalszej wędrówki z Węgier przybywali.

Zataczali się obaj ze Sablikiem, ale dzierżyli się na nogach mocno.

Nędza Litmanowski, właściciela wielu polan pod Hrubym Reglem, wielu gruntów i licznego stada, syn, zbójnik nad zbójniki i hetman zbójceki, bogato chowany, tak, że nigdy nic twardo nie robił i białymi rękami jaśniał, skąd pieśń o jego białych „rucach“ powstała, rabuś tak butny, że ze swemi towarzyszami: Tomkiem Gadeją, Stopką od Cajki, Wojtkiem Stopką Mateją i Wojtkiem Stopką Mocarnym bodas co nie kradł, ale na kupieckie „truchlice“ (skrzynie) po miastach i królewskie prawdziwe składy się porywał.

A chodził Nędza Janosik Litmanowski w czapce twardej, wysokiej, czerwonej ze złotymi lampasami, z kutasem ze sznurków złotych po prawej stronie, w koszuli czerwonym jedwabiem haftowanej, ze złotą spina z łańcuszkami pod szyją, złote klamry do pasa dał zrobić, było ich pięć, i portki zawsze białe i nowe, czerwoną i szafirową nicią grubo w kółka i piękne desenie koło szafirowej zasceпки w pięcioro wykwintnie złożonej cyfrować sobie po boku kazał, a od parzenic aż w oczy biło. Mnóstwo na nim łańcuszków, blach i guzików dygotało, że gdy szedł, jako dzwon dźwięczał.

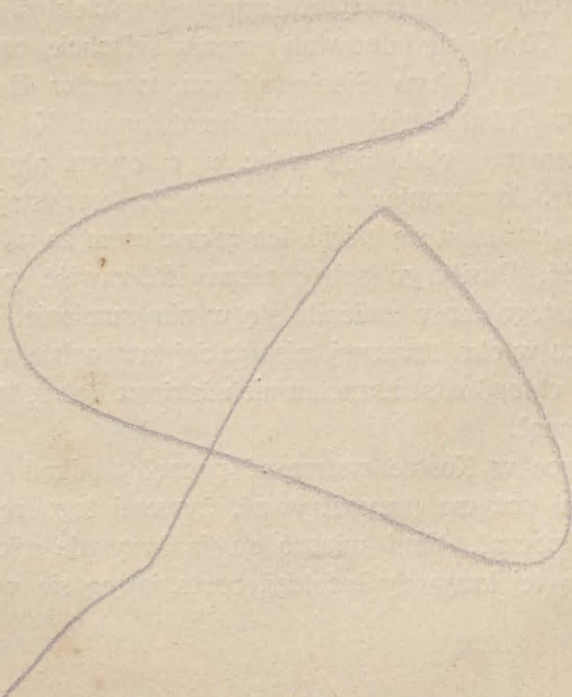
— Kie tego djabli bedom brali — mawiał stary Krzys

— to będzie Lucyper myślał, że wóz do piekła z miedzianymi garkami wiezom, telo będzie zbyrku.

Minęli Marynę poniżej po mglistem stoczysku góry nad przepaściami idący Janosik z Sablikiem, a ona wbijała oczy w tego hetmana, jakby się w nim całe góry i cały lud zbiegały. Oni ginęli w mgle, aż się z niej tylko dobył górny mocny zaśpiew:

Ozwijaj się bućku syćko po malučku,
po ciémnej dolinie, po ciémnym wirsycku!
Ozwijaj się bućku syćko po malučku,
jak sie ty ozwinies, syćkik nas przykryjes.
Ożlégoj sie głosie syroko po lesie,
ożlégoj sie wkoło pokiel mi wesolo!..

śpiewali, zataczając się we mgle po upłazie, stary Sablik i białorucy hetman zbójecki złotem malowany.



ROZDZIAŁ V.

Kiedy się Kostka na cetynie w szalasię obudził, dzień już świecił i sołtysa Łętowskiego, który obok spał, dawno już niebyć musiało. Członki Kostkę bolały, częścią, że nieprzywykły był on do górskich dróg, które przewędrował, częścią od twardego legowiska. Przeciągnął się, nawznak położył, rękę pod głowę podścielił i rozpamiętywać począł.

Pędzącemu w noc, z łuną folwarku Herburtowego nad głową, z bólem i targającym wstydem w sercu, gościńcem myślenickim: żądza tylko zemsty i wściekłość pobudkę grała. Chłopi się buntowali przeciw szlachcie, zatem przeciw wrogowi jego Sieniawskiemu, przeciw Herburtowi, przeciw Sulnickiemu, przeciw kasztelanowi Kostce, który go listem pognębił, biegł więc ku chłopom, aby przy ich pomocy, korzystając z ich pomocy, korzystając z ich zemsty, samemu się mścić, ich ręką ciosem za własną ranę zapłacić. Dusił go gniew, nienawiść, zawiść, gdy pędził. Ale od tego czasu zmieniło się w nim sumienie.

Oko w oko strasznej, nieludzkiej krzywdzie mieszczaństwa i chłopów, strasznemu nieludzkiemu łotróstwu i zbrodni stanął.

Serce w Kostce wstrząsać zaczęło, odkąd się temu żywemi oczyma przypatrywać, żywemi tego rękami dotykać począł. Czuł własną swoją krzywdę niknącą pod nawałą tej krzywdy ludzkiej, roztapiającą się w niej bez

śladu niemal, jak kropla wody w morze wpuszczona. Biegł ku Myślenicom siebie mścić, a nim z Myślenic do Nowego Targu się dostał, już się czuł chłopów mścicielem.

Z Chmielnickim porozumiał się. Znał on Chmielnickiego nicwartość moralną, ale i potęgę i genjusz wojenny i przede wszystkim znaczenie jego nazwiska dla chłopów. Chmielnicki to był bohater, który się porwał ocalić uciemiężony lud. Chmielnickiego imię było dla nieszczęsnych poddańczych chłopów symbolem wybawienia, wolności — czem był istotnie, nie wiedzieli.

W głowie Kostki wichrzyły się plany. Gdy uniwersały Chmielnickiego, wzywające chłopów do powstania, otrzymał: Rakoczego z Węgier pozwać postanowił, przy jego pomocy Kraków zająć, a potem dalej iść, aż po koronę w Warszawie...

Traf chciał, iż uciekwszy od Herburtów i w góry zapadłszy, w Pcimiu koło Myślenic popasał, gdzie się z rektorem Martinusem Radockim, anabaptystą, od 40 lat nauczycielem pocimskiej szkoły zetknął.

Srogi to był wróg szlachty, a jeszcze większy duchowieństwa. Naukę wielką miał i znaczenie u chłopów ogromne i mir, wrogiem ciemństwa wszelakiego, wyznawcą Chrystusowego pokoju i bogomódlcą o mesjasza ludu będąc.

Ten w Kostce zesłannika niebios ujrzawszy, biegłość mając w sztuce i naśladowaniu pisma, dla świętej sprawy oswobodzenia chłopów z pod katowni szlacheckiej na wzór przypowiednich listów królewskich, wydanych rok przedtem niejakiemu Napierskiemu pułkownikowi na zaciągi dla Wiśniowieckiego, gdy się w swaty do Multan wybierał, Kostce przypowiednie listy na jego imię wydał i pieczęciami je z poprzednich listów zdjętemi zatwierdził, pułkownika tytuł i nazwisko przysądżając.

On Kostce podstarościego Zdanowskiego w Nowym Targu, jako człowieka największe zaufanie wśród sołtysów mającego, wskazał, wskazując zarazem wodza całej góralszczyzny, „marszałka“ Łętowskiego, z którym porozumienie kum Zdanowski ułatwić mógł.

Podstarości, wielce pobożny, uproszonym i ochotnym opiekunem miejskiego bractwa kościelnego św. Anny patronki był i do kościoła codzień rano z długim różańcem chadzał, nad którym zawsze w połowie zasnął, tak, iż go baby budziły:

— Stajcie, panie podstarości, bo już czas!

— Albo co? — pytał się, budząc.

— Bo już nos kolanom dzień dobry powiedział!

A mieszczanie nowotarscy zawsze z tego jednakową uciechę mieli.

Siedział podstarości w kożuszk w jednej ze swych dwu izbinek wieczorem w sam dzień Feliksa Kapucyna i kabałę kładł, dwie sroki chowane, kłójące się z kawką na ramie otwartego okna, bo dzień był ciepły, od ogródka mając, gdy mu dziewczka pułkownika królewskiego zameldowała.

— Co? Kto? He? — słyszał Kostka zapytania niezbyt chętne z za drzwi.

— Jakiś pan. Powiada, że jest pułkownik królewski.

— Jak powiadasz?

— Pułkownik.

— Pułkownik?

— Że dyć mówię: pułkownik! — krzyczy dziewczka zniecierpliwiona.

— Pułkownik! Pułkownik! Ciekawym jakiby tu mógł być, kiedy wszyscy na wojnie, nawet pan starosta czorsztyński Platemberg żydów na zamku zostawiwszy, pojechał. Pułkownik! Ciele! Może całownik, he co, nie pułkownik? Ciele jedno! Proś!

Kostka wszedł.

Sam bez sługi, w zakurzonem ubraniu, snąc, że nie z konnej podróży, niepokaźny z twarzy i postawy, Kostka podejrzliwie i niedowierzające spojrzenie staruszka spotkał. Nie czekając też żywo listy przez Radockiego sfalszowane z zanadrza wyjął i wręczając je podstaroścemu rzekł:

— Aleksander Lew Kostka Napierski ze Sternberku, pułkownik królewski, mający rozkaz po odejściu pospolitego ruszenia werbować lud na obronę granic województwa krakowskiego przeciwko Rakoczemu.

Gdy staruszek nazwisko Kostka usłyszał i pieczęć królewską ujrzał, zachłysnął się ze wzruszenia, a potem listy obok na stół położywszy i ręce z rozczapierzonymi palcami wzniosłszy, przed Kostką stojąc bąkał:

— O rany Boskie! Kostko Świętego Stanisława, patrona czystości, potomek, senatorów syn, króla najjaśniejszego pułkownik — do mnie... Rany Chrystusowe... Do mnie? Cóż ja? Krzesło...

I z nieoczekiwanem impetem nagle z góraliska wrzasnął:

— Jagniś! Krzesło dla pana pułkownika! Polewkę z wina! Z cynamonem! Wartko! Gdzie Agata? Półgęska przynieść! W okamgnieniu!

Obaczył się odrazu Kostka, z kim ma do czynienia, i chyląc się Zdanowskiemu ku ramieniowi i w rękaw sieraczkowego kożuszka go całując, rzekł:

— Wielki to honor dla mnie pierwszą autoritatem nie tylko Nowego Targu, ale i całego Podhala poznać. Pewnym jest powodzenia, z czem przybywam, jeżeli tylko wasza miłość, mości panie podstarości, względów mi swych i pomocy nie umkniesz.

Staruszek Kostki już nie puścił, mieszkać go do siebie zaprosił, karmił, poił, czem mógł raczył, gościem się swoim pysznił i całe mienie swoje i osobę swoją gotów był oddać na jego usługi. Po sołtysa marszałka Łętowskiego posłał,

a Kostka krótko z nim na uboczu podczas poobiedniej drzemki Zdanowskiego pogadawszy, prawdę mu poco i z czem przybył, powiedział, że chce w imieniu króla chłopów nie na obronę granic przeciw kozakom, ale przeciw ciemnącej chłopów i buntującej się przeciw królowi szlachcie werbować i jako drugi Chmielnicki mścicielem i obrońcą ludu roboczego stać się.

Uchylił Łętowski staroświeckiego kołpaka na nazwisko Kostki od Świętego Stanisława, uchylił na tytuł pułkownika, uchylił na imię króla, ale najchętniej uchylił na wspomnienie Chmielnickiego.

— E, to to to mości panie pułkowniku — rzekł. — To wej człek! Kieby u nas taki był! Taki hetman chłopski na Małopolskę!...

Marszałek Łętowski ciupagę swoją, którą wszyscy znali, z orłem, rytym przez kowala Stanika ze Starego Bystrego na prawej stronie, z niedźwiedzią głową na lewej i krzyżem Pańskim na obuchu, gońcem po sołtysach i wójtach w Nowotarszczyźnie z zawołaniem swoim posłał, a Kostka na sfalszowanych listach królewskich wsparty, mandaty odnośne mając w ręku, werbował otwarcie w krakowskiem województwie i aż na Śląsk werbowników posyłał, glejty bezpieczeństwa, gdy trzeba było, po polsku i po niemiecku pisząc.

Milczał Kostka o swem pochodzeniu, nie chcący podejrzeń żadnych, ani hałasu tem wzniecać, wszędzie się jako poramiennik królewski przedstawiając.

Tymczasem zaś z polecenia jego rektor Martinus Radocki i sołtys Łętowski porozpisywali listy po wsiach i sołtystwach okolicznych, wzywając lud, aby się gromadził pod wodzą pułkownika królewskiego Kostki, ze świętej pochodzącego rodziny, przeciw żydom i szlachcie w Imię Chrystusa, którego żydzi zamordowali, i najjaśniejszego króla, przeciw któremu szlachta bunt podnieść zamyśla.

Starostą czorsztyńskim postanowił się ogłosić Kostka—
w imię króla przeciw królowi, niewolnikowi szlachty.
A co starosta czorsztyński góralom, to kasztelan krakowski
małopolskim chłopom miał zwiastować, a potem król —
całej Polsce.

ROZDZIAŁ VI.

Wrzało 13 czerwca, w zły dzień, 1651 roku w wielkiej karczmie Icka Hammerschläga na rogu rynku i ulicy Szaflarskiej, którą zbójników podhalańskich w kajdanach często do miasta na stracenie prowadzono.

Ze stu chłopów zgromadziło się tam, a byli to przedstawiciele dziesiątków tysięcy górali, przy panu pułkowniku Kostce się opowiadających.

Urada szła, wino, piwo i gorzałka sprawiedliwie potokami się lały, którą bogaci sołtysi i gazdowie dawać kazali. Naleciało się bab i mieszczanek, baby także od wsi przybyły za chłopami, a Podhalanki skalne wierzchowały nad wszystkimi wysoką głową i jasnym licem, szafirowemi jak z ognia oczyma i wysokimi, pełnemi dumy i siły ramionami. Szyję też pojedna całą w dukaty węgierskie obwieszoną miała, że gdy kroczyła, to jak złoty dzwon dźwiękła.

Pośród nich Maryna Toporówna podobna do jodły bujnej królowała.

Dziesiątki tysięcy ciupag i kos do stóp Kostki kłoniono. Potężnym się czuł, królem już prawie.

Róg jego z czorsztyńskich murów jak grzmot uderzy. Wtem chłopci, Podhalanie, ryknęli ogromnym chórem:

Wto pije, to pije piom Podhalanie,
dali se powiesać ciupazki na ścianie!

Polana, polana niejednego pana,
polane skosili, pana obwiesili!

Panowie, panowie, budzicie panami,
ale nie budzicie przewodzić nad nami!

Panowie, panowie, wyście nas trapiли,
i my was budziemé jyno powstaniemé!...

Panom béto wolno po kobiercak bieżec,
a nam béto wolno w grobie ciho lezeć!...

Złowrogo huczała pieśń. Rozgorączkowane, rozgadane, rozjaśnione twarze chłopów ściągnęły się i stały drapieżne, głuche i twarde. Twardość, zaciętość, suchość okrutna i złowieszcza jęła się ryć w znanych sobie, przez siebie wyźlobionych bruzdach na licu. Orle nosy, wąskie wargi, blade i suche policzki z wystającymi kośćmi stały się kamienne nieomal, w żelazo zastygłe. Tylko oczy niebieskie i bure płonęły, podobne do ognisk na dzikich kamiennych polach jesieni.

Kostka, wysławszy Sobka Topora na Podhale, marszałka Łętowskiego do Czarnego Dunajca na tworzenie pułków chłopskich, z kilkunastu ludźmi pod zamek czorsztyński ruszył.

Starosta czorsztyński, młody i piękny Platemberg, w szmelcowanej zbroi i w lamparczej skórce na ramionach jako szambelan królewski ku osobie królewskiej w czas wojny wraz z całym swym pocztem wojskowym się wybrał, pozostawiając, wbrew prawnemu przepisowi, miast załogi ochronnej żydów dzierżawców.

Kostka pod zamek podstąpił i gdy główny dzierżawca, żyd Jozue Zbarazki, w rozwianym hałacie, z pejsami u wielkiego okrągłego łba, z cebulastymi oczami, w białych pończochach i pantoflach bramę otwarł o świcie, zaczajony ze swymi w lasku pod murem Kostka przez bramę wpadł, żydów i żydzięta powiązać kazał i stał się panem Czorsztyna.

Na mur zamkowy wkroczył i poglądał po ziemiach.

Na skale, nad spienionym Dunajcem wyniesiony, dzielił zamek czorsztyński Węgry od Polski. Posiadłości Rakoczego tuż za Dunajcem leżały, a droga z Węgier do Krakowa przez Czorsztyn wiodła. Był to klucz, który wrota Wawelu od Spiżu zamykał.

Lecz mógł i otworzyć. Rakoczy, księżę Siedmiogrodu, przeciw któremu pozornie Kostka wojska werbował, przez Czorsztyn na Kraków patrzył...

Niesłychanie, gwałtownie, nad podziw szybko niedawne jeszcze chęci tylko Kostki, przybrały ciało. Uczynił krok na przepastnym moście, lecz wierzył, że przejdzie. Czy nie teraz spełnia się wróżba cyganki siedmiogrodzkiej, iż wysoko umrze? Czy nie jest już wywyższony nad innych?

Ze swojego zamku w Siwym Rogu, ze swoich baszt w Sieniawie, czy Brzeżanach, nie dumniej, nie wynioślej, nie wspanialej pozierają Herbut, lub Sieniawski. Dziesiątki tysięcy otaczają ich nienawidzących ich poddanych — jego setki tysięcy ubóstwiających go górali. Sześć tysięcy żołnierzy ma Sieniawski, cztery tysiące Herbut — on kilkadziesiąt tysięcy siekier, kos, maczug, rusznic i pistoletów podniesie. Gdyby dzisiaj chciał, mógłby niebawem ruszyć stąd, w proch zetrzeć Siwy Róg, z ziemią zrównać Sieniawskich gród hetmański, Beatę na rękach chłopskich, jak wydarła z ogrodu nurtem powodzi brzoskwiniowe drzewo, gdzieby chciał ponieść — ale nie chciał. Nie był już zakochanym ubogim młodzieńcem — był odnowicielem Polski u progu czynu.

Ale że chytrze, zwłaszcza w początkach, nim się górale, wiedzeni przez Sobka Topora i Łętowskiego zgromadzą, poczynać trzeba było: do księdza Piotra Gębickiego, biskupa krakowskiego, wysłał umyślnym list donosząc, iż za rozkazem królewskim zajął Czorsztyn „z obawy, ażeby forteca ta pograniczna, nie mająca żadnej załogi i opatrze-

nia, nie dostała się w ręce Węgrów“. Prosił też biskupa o posłanie mu kilku armat przewoźnych, prochu i kul, bo nic w zamku, oprócz nadartych z chłopów pieniędzy i nagromadzonej przez żydówki obfitej żywności, nie zastał.

Gdy biskup Gębicki otrzymał w Krakowie Kostkowe zażądanie działek i amunicji do zajętego Czorsztyna, wlot zrozumiał, iż ów obrońca całości Rzeczypospolitej wysoce jest podejrzany, a zapowiedziane zaciągi Bóg wie naco posłużyć mogą, odpisał więc Kostce, że „nie w taki sposób zajmuje się królewskie zamki do obrony zlecone“ i że radzi mu, aby dobrowolnie Czorsztyn opuścił, sam zaś zwołał radę panów krakowskich, którzy w mieście obecni byli, sześćdziesięciu dragonów pod panem Michałem Jordanem, dobyteczkim starostą, na odebranie Czorsztyna wysłał, ku którym się spory poczet wolontariuszów szlacheckich przyłączył.

Zmieszał się srodze Kostka list biskupa otrzymawszy i w pierwszej chwili gorąco i zimno mu się zrobiło, a łydki pod nim zadygotały.

Wydawało mu się, iż potrzebował tylko rękę wyciągnąć i brać, że zajmwszy zamek nogę jakoby w strzemienu postawił i tylko drugą przełożyć musiał, aby w siodle sieść, ale przekonał się przy pierwszym kroku, że się łudził i mylił. Przeraziło go także własne młode niedoświadczenie, którego sobie pisząc list do biskupa jaskrawy dał dowód.

Jednak chwilę tylko zniechęcenie i przerażenie trwało. Odwagą i męstwem niedoświadczenie i nierozwagę wyrównać postanowił, a i czasu na myślenie nie stało, gdyż pan starosta Jordan swego brudnego kasztana ze strzałką, dragonów, oraz ochotną szlachtę tak pędził, że już naza jutrz po liście biskupim pod Czorsztynem stanął.

Kostka naonczas spał, a spali i chłopci, krzątaniem się po zamku i plondrowaniem znużeni.

W nocy przybyły dowódca hufca biskupiego Jordan przekonał się, że jednak Kostka zamek w osobistych celach zajął. Powziął więc decyzję i do szturm uderzyć kazał.

Odpowiedziano strzałami. To odebrało ducha Jordanowi, tem bardziej, że obecny ksiądz z Maniów powtarzał: Spieszmy się! Spieszmy się! — Obawiał się on bowiem mających rzekomo nadciągnąć zbuntowanych górali z odsieczą. Po krótkiej bitwie Jordan cofnął się od zamku i z wojskiem swem zwrócił się ku Krakowowi.

Drwił Kostka sam ze siebie, że się tak łatwo dał był narazie listowi biskupiemu nastraszyć i że go tak szybko zwątpienie opadło. Zetknął się, starł z nią i zwyciężył przeciwność tak łatwo, że aż śmiechu to było warte, bez jednego skaleczonego w zamku człowieka.

Radowała się i weseliła młodość pana Kostkowa. Na zamku starościńskim na wyniosłym ostrogu siedział, listy wojenne pisał, w hardości stał. Na wspaniałem karle szambelańskim rozparty, nogi przed się na niedźwiedzią podestaną pod kantorek skórę wyciągnął i ręce w kieszenie szwedzkich rajtuzów wsadził, głowę przez poręcz przewiesiwszy.

Schylił się ponownie przy kantorku Platemberga i manifest swój, zaczynający się od „Pokój Chrystusa!“ — pisał, gdzie w imieniu króla „wszystkie wolności tym wszystkim, którzy teraz stać przy nim będą i dwory szlacheckie i co w nich“ w obszernych słowach obiecał. Dodał też „aby (jako ma poleczone od króla IMci) żadnym uniwersałom choćby i z pieczęcią i z ręką króla IMci były, wiary nie dawali, gdyż te musi wydać, bojąc się szlachty“.

Na Kraków zapowiadał pochód i do Czorsztyna „pod swe skrzydła garnąć się“ kazał, kościołów polecając nie tykać, „gdyż o Boga i krzywdę ludzką wojować będziemy“.

Dan w Czorsztynie 22 czerwca 1651.

Szczęśliwa i radosna młodość pana Kostkova na zamku się cieszyła. Potęgą się czuł, sławę nieśmiertelną przed sobą widział. Cieszył się jak dziecko.

W ręce byłby klaskał, a cebulooki, kłapouchy, minogogęby, mały, gruby, krostowaty i finezyjno-ironiczny Jozue Zbarazki śmieszył go nad wyraz. Sam nie wiedział, czy się bawi w rewolucję, czy to prawda? Jest li mesjaszem chłopów, panem Czorsztyna, wodzem setek tysięcy — czy paziem królowej Cecylji w Warszawie, w wojnę turecką z towarzyszami grającym? Krótko, nagle, jakby przez sen się działo...

Wpadł Kostka po napisaniu swego uniwersału z kancelarji Platemberga i na Józkową Nowobilską trafiwszy, pod boki ją chwycił i kręcić babę zaczął, a pokrzykiwać: hop! hop! — że myślała, iż oszalał.

Aliści niedługo miał się czas cieszyć sobą młody pułkownik.

Z krzykiem: Żołnierze idą! Żołnierze idą! — przybiegł wysłany po jaja na wieś chłopak, co przy Kostce służbę pacholka pełnił. Wpół godziny później dragoni, piechota, puszkarze z dwoma działami zamek otaczać poczęli — w tysiąc ludzi blisko pod wodzą pułkownika biskupiego Jarockiego.

Ksiądz biskup Gębicki, po niesławnym odwrocie Jordana z pod Czorsztyna, wielki alarm podniósł. Wysłał 250 piechoty pod Czorsztyn, a do podstarościego i sędziego grodzkiego krakowskiego list pchnął: „Z Krakowa d. 30 Junii 1651. Czorsztyn ubieżono i zbójcami osadzono! Posłani ludzie nic nie wskórali i ten ogień tli się. Dla miłości i ratunku ojczyzny, przybywaj, przybież W. M. Pan, bo to straszny ogień!“

Popędził goniec do króla, rozesłano do wszystkich proboszczów po wsiach, aby z ambon przeciw buntowi wołali i lud powstrzymywali, a za 250 wyprawionej piechoty wy-

ekspedjował przerażony biskup jeszcze 200 siewierskiego swego regimentu, 60 harników, zwanych tak od harnisza, albo zbroi, a także świstakami, od komendy świstaniem na wzór zbójecki, strzelców górskich wybranych i dwa działa. Starosta z Lubowli otrzymał rozkaz i przywiódł również dwa działa i 150 żołnierzy. Z pod Muszyny przybyli dragoni biskupa. A gdy na dzień 27 czerwca podstarości krakowski Śmietanka wszystką szlachtę, starych, chorych, sługi, faktorów i urzędników królewskich i duchownych do Krakowa przeciw buntownikowi Kostce powołał: miał on 22-go czerwca naprzeciw tysiąca oblegających 27 górali i 5 kobiet w zamku.

Ale miał pewność odsieczy. Z Podhala z Sobkiem, z Beskidów z Cepcem i Sawką, od Czarnego Dunajca gromady Łętowskiego przybyć miały lada godzina. Cepiec i Sawka donieśli, iż pod Lanckoroną, pod Melsztynem stoją całe kupy czerni, iż całe wsie z pod Krosna, jak Żeglce, Budzyn, ciągną z wójtami na czele, iż pod Babią Górą, w Ochotnicy nad Nowym Targiem, w Porębie, w Niedźwiedziu, w całej okolicy bliskiej i dalekiej dziesiątki tysięcy pod bronią stanęły.

Więc choć się nie spodziewał oblężenia i 27 tylko chłopów i 5 bab w zamku miał, nie uląkł się i bronić postanowił, a wici smolne na alarm palić kazał. Rozgorzał Czorsztyń na wsze strony i dymem się osłonił.

Tymczasem gdy się zamek na wezwanie nie poddał, bombardować go z dział i szturmować piechotą poczęto.

Rusznic i armat kilka w zamku było, ale nie było prochu i kul.

Kostka za czasu manifesty pisał i z Jozuego Zbarazkiego kpinkował, ale o amunicję się nie był postarał. Zębami zgrzytał teraz i paznogie w dłonie wciskał, ale to się na nic nie zdało.

Wierny pacholek jego do Lubowli w nocy po proch i kule do rusznic chyłkiem wysłany, w ręce dragonów wpadł i pod zamkiem na widoku rano 24-go czerwca ćwiczony był batami.

Wstało to rano złowrogie. Smolne wici płonęły na murach dzień i noc, gorzał Czorsztyń na wsze strony i dymem się osłaniał, na alarm buntownikom, ale nikt nie przybywał.

— Cóż będzie? — zapytał Kostkę Łętowski w kuchni, gdzie ogień płonął.

— To! — krzyknął Kostka i wybiwszy czekaniem szybę z ramy ołowianej, wydarł ołów i na tygiel rzucił. — Będą kule!

Zaczem za jego przykładem wszelki metal w zamku na kule przetapiano, gwoździe z gontów darto, baby marmury z posadzek łamały, smołę warzyły, kamienie z bruków wyważały; czem kto mógł, raził, prażył, tłukł dobywających fortecy.

Dobiegło południe — pomoc nie przybywała.

— Cóż będzie? — zapytał sołtys Łętowski, patrząc ku wojsku biskupiemu, które obiadało.

Ale Kostka, ranny draśnięciem kuli w czoło, nic mu nie odpowiedział. A że krew mu oczy zalewała, poszedł ranę zawiązać.

W tej chwili kula armatnia okno zdruzgotawszy, nad głowami im w pułapie cegły krusząc utkwiała.

— Aby tylko dotrzymać! — rzekł Kostka. — Zresztą mnie nie wezmą. Nie damy się wziąć!

— Niech się dzieje, co chce — rzekł chwiejąc głową. — Już drugi dzień na murze na nogach jestem, oka dwie noce nie zmrużyłem, morzy mnie taki sen, że wytrzymać nie mogę. Chwileczkę pośpię.

— Niech będzie, co chce! Za ten czas może Sobek nadciągnie, albo Cepiec i Sawka, sławni zbójnicy.

I rzucił się na łożę Platemberga.

Tymczasem działa biskupie i starosty lubowelskiego grzmiały bez przerwy i mury zamku kruszyły. Gorączkowo dobywał Czorsztyna pułkownik Jarocki, bo się nadciągnięcia chłopskiej odsieczy bał. W piwnicy zebrali się obłączeni chłopcy i zaczęli medytować nad losem swoim i pozostałych rodzin swoich w domu. Nastało milczenie. Wtem zagrzmiało i z muru za plecami Łętowskiego gruz się od uderzenia kuli działowej posypał. Porwał się Szczepan Kuros z bliskiego stołka.

— Co tu długo medytować! — krzyknął. — Zamek trza oddać i basta! Na to chłopcy czekali.

— Zamek trza oddać! Słusznie gada! — zawołali, zrywając się z miejsc.

— Chłopi! Bójcie się Boga! — krzyknął Łętowski. — I zamek oddać i pod nóż iść! To lepiej zginąć w murach!

— Ja już wiem, jako zrobić — zawołał Maciek Nowobilski. — Mnie nie trza uczyć. Ja przy wojsku bywał.

I porwał się biec.

— Gdzie lecisz? — zatrzymał go Łętowski we drzwiach.

— Na mur! Zamek dać!

— Bez pana pułkownika nie wolno!

— Pytaj się go sam.

— Nie pójdziesz!

— Pójdę!

— Marszałku, puście nas! — krzyknęli chłopcy, którym Łętowski drogę z piwnicy we drzwiach zagrażał.

— Bez pana pułkownika nic!

— Bajto! — wrzasnął zuchwale Kuros i starca wpół uchwycił, by na bok szarpnąć.

Gdy się ten ośmielił, ośmielili się i inni. Ubezwładnili Łętowskiego, a Józek Nowobilski rzekł:

— Zamkniemy was tu, w piwnicy, do czasu.

I wpełchnąwszy Łętowskiego do lochu, drzwi zatrzasnęły.

Maciek Nowobilski zaś na mur wbiegł, powiewając białą cuchą nad głową na znak, który, jako dawny wojskowy, znał.

Dostrzegł pułkownik Jarocki cuchę i pod mury się posunął.

— Co chcecie? — krzyknął.

— Za Kostkę i za Łętowskiego puściecie nas swobodnie? Jarocki się czerni bał, odpowiedział więc:

— Puścimy!

— No to ustańcie strzelać!

Armaty ucichły.

Kostki chłopci nie szukali. Nie chcieli mu spojrzeć w oczy. Wiedzieli, że spał. Wtenczas Maryna weszła do komnaty i ujrzała Kostkę na łożu Platemberga nad chęćsnem zmorzonego.

Wstrząsnęła go za ramię.

Zerwał się: — Co!? Sobek z Toporami?

— Nie — odpowiedziała Maryna. — Chłopi zamek oddali.

— Jakto!? Co !? — krzyknął Kostka skacząc na równe nogi.

— Kto oddał!? Gdzie Łętowski? Ustrzelon?

— Nie, zamknięty w piwnicy!

— Prawdę mówisz?

— Prawdę.

Kostka opadł na łoże.

— Słuchajcie, jak nie wierzycie — rzekła Maryna. — Armaty cicho stoją.

Kostka poczekał na chwilę.

— Prawda — rzekł.

— Szkoda was — powtórzyła Maryna.

Strasznem wydało się Kostce milczenie obłędniczych armat.

— Jak śmierć — rzekł jakby do siebie.

Nagle porwał go gniew, wściekłość, tupnął nogą, cisnął przez zęby przekleństwo, porwał się bieć... bronić się jeszcze godzinę, jeszcze dwie... pomoc nadejdzie!

Skoczył w drzwi, chciał wypaść na podwórzec zamkowy — ciężkie drzwi dębowe, na schody wiodące, znalazł zamknięte od zewnątrz. Snać czemś zaparte. Skręcił ku oknu, ale z okien apartamentu Platemberga nie było widać podwórca, tylko wdali Tatry, a przed nimi okolicę podgórze. U dołu był wysoki stok skały zamkowej. Niepodobna się było wydostać.

— Zamknęły mnie psiewiary! — krzyknął stojąc bezradnie.

W mgnieniu oka, jak tonącemu przesunęło mu się przed myślą wszystko, sfalszowane listy królewskie, werbunek i buntowanie chłopów, uniwersał przed dwoma dniami wydany, zajęcie zamku — jawna zdrada i rewolucja... czekać go mogła tylko śmierć...

Siadł na łóżku i głowę na rękach na stole wsparł.

Nagle coś zahuczało.

— Strzelili! — krzyknął radośnie, dźwigając głowę.

— Nie to mur gdzieś kulami zdziurawiony gruchnął — rzekła Maryna.

Kostka naprężył uwagę, podniósł oczy i począł mówić powoli:

— Słońce się nade mną wzniosło, jak nad młodym dębem, królem drzew, i koronę mi uzłociło... zacoż tak rychło, tak zaraz chmury miały wzejść, piorun się nade mną miał zakołysać?... Wywyższon chciałem być — ale nie jeno własnej chwały — ludzkiem szczęścia pragnął...

Wieki miną nim się pełnić pocznie, co się za moją sprawą, co się przeze mnie pełnić miało... Królem chłopów,

królem małych chciałem być, jako on król Kazimierz Wielki...

Rozżalił się Kostka i łzy mu w oczach stanęły.

— Czemu chłopci nie przyszli! — wybuchnął. — Czemu nie przyszli! Zdruzgotali moje życie młode, sobie powróż na szyi zmocnili! Obaczą teraz! Ogień i miecz ich karać będzie. A mnie jeno śmierć.

O Beato, Beato, Beato!...

— Świętom Beate wołacie?

— Świętą, mnie najświętszą na ziemi! Miłowałem ci ja, miłowałem, aż serce tajało we mnie! Miłowałem dziewicę aniołowi niebieskiemu podobną i ona mnie też miłowała. Myślałem z nią szczęśliw na szerokich majątnościach, albo i więcej jeszcze, być, a dziś co? Na suchej skale zamknięty, wojskiem obleżony, od wszystkich odstąpion — krzyż mnie, mesjaszowi chłopskiemu, z cierni korona, włócznia do boku i gąbka octowa! A o szatę moją, o myśl moję, o cnotę moję szlachta z księżmi kości rzucać będą i niedolę chłopską wydzierać sobie będą, jak krucy kości i ścierw, szponami go każdy we swoją stronę ciągnący!

ROZDZIAŁ VII.

Zezwał Sobek chłopów ze Skálnego Podhala. Z pod Osobitej od Orawie pod Murań do Zaru rozlecieli się jego wysłańcy po wsiach podtatrzańskich...

Zeszło się przeszło trzystu zbrojnych chłopów przed chałupą Topora Jasicy do Hrubego. Stanęli gromadą, w kosy, łuki, maczugi, ciupagi, często w rusznice i pistolety zbrojni. Było wielu starych, byli chłopcy nieletni, bo młódź parobska w polu przy królu była.

Wyprostował się stary Topór Jasica, że się o głowę wyższy, niż zwykle zdał i zieloną, gałęzią smrekową, krzyż nad wojownikami w powietrzu uczyniwszy, silnym wyrzekł głosem:

— Bogu Przemajświęszemu was oddaję, Panu Jezusowi i Matce Boskiej Ludzimirskiej! Niech was prowadzi.

— Jezus i Maryja z nami! — krzyknęli chłopci.

— Boże prowadź!

Wyszedł Sobek na czoło, a Marduła obok niego, z wielkiego męstwa wyrzucający młyniec w powietrze zberczącą obrączkami ciupagę. Chciał Sobek Janosika Nędzę Litmanowskiego pozwać ku sobie, aby się z nim spotkał i posłał doń Krzysia z Mardułą na Nędzów Gronik. W ciepłe piękne południe tam zaszli.

— Widzisz, widzisz, jak leży! — ukazywał Krzyś Mardule Janosika Nędzę, wyciągniętego pod jaworem do słońca. Z podziwem nań popatrzeli, choć go dobrze znali,

a podziw ten w Mardule był tak wielki, że nawet nie budził zazdrości.

Mały dwunastoletni chłopiec, czeladniczek, siedział za Nędzą na pniaku jaworowym, bo od wieków jaworami Nędzów Gronik zarośniony był i grał mu na gęsiolkach.

Nędza w krzesanice Czerwonych Wierchów błękitno bielejące między ciemnymi lasami na reglach patrzył. Białe i różowawe obłoczki ukazywały się i nikły. Krzyś przybrał uroczystą minę, a Marduła począł drobne kroki stawiać. Podchodzili niezauważeni przyłaskiem rzadkim, dom od wschodniej strony oceniającym. Krzyś ruszył kapelusz nad czołem i ozwał się:

— Niech będzie pochwalony! Co się tak tam patrzycie?

— Niechże będzie! Witajcie! — odrzekł Nędza, wstając z trawy na widok gości.

— Patrzajcie dobrze — rzekł. — Strasznie tu u nas w Polanach dzieci na coś mrą. U samej mojej siostry umarło dwoje, a trzecie konające. Patrzajcież dobrze! W rzece mgiełka. Tam za lasem, popod turnie — widzicie?

— Widzę — rzekł Marduła. — Obłoczek.

— Obłoczek, wpatrzaj się dobrze, a przysłoń oczy, bo słońko razi. W białej szacie Cicha, bogini moru dziecięcego chodzi, a wianek ma na głowie z czerwonego polnego maku i krwawiącą chustką włosy obwija. Ja tu już uważałem, i że ona chodzić ma, bo kwiaty schły i trawa miejscami tak jakby powypalana: Ona to tam!

— E? — zawołał Marduła z przestraszonym niedowierzaniem.

— O, ona będzie — powiedział Krzyś z dwóch powodów: raz, że we wszystko nadzwyczajnie wierzył, powtóre, że skoro tak potęga Janosikowa widziała i mówiła, to tak musiało być.

— No, to ją widzicie — rzekł Nędza. — Ona tam już dość dawno miga. Czeka pewnie na Kanie, co te dzieci, co

jej uciekały, przywabi ku sobie, pochwyci i tu je na obłoku przywiezie.

— E jakoż to? — zapytał chłopczyk co gęśle trzymał.

— Cicha jest, czerniata na gębie, a oczy ma wylupione, jak u sowy i takie, jak mróz. Powietrze koło niej jak z grobu, zimne, wilgotne, zatęchnione. Białą ma szmatę na sobie, taki płaszcz opleśniony, a pręt czarny trzyma w ręce i ka na dziecko trafi, to go tym prętem tknie i dziecko mre.

— A te dzieci, co jej uciekną, to zaś ściga, piekielna bogieńka nieszczęścia, Kania. Ta się obróci każdemu dziecku w jego matkę, kiedy się z niem zetknie i wabi go ku sobie. Dzieci leżą, jak głupie, to je potem na obłoki posadzi, siądnie ku nim i leci.

— Dokąd? — zapytał chłopczyk.

— A któż wie? Cicha służy u Marzanny, Kania zaś Cichej dopomaga.

— No, aleście tu do mnie z czemś przyszli? — zapytał Nędza.

— Maciuś, powiedz matce, że są goście. Coby mleka przyniosła i oscypka i spyrki i placka.

Wyniosła zatem gaździna poczęstunek: popod jaworami legli, jedząc i pijąc. A chłopczątko przygrywało im na gęślikach, raz po raz przerażonemi oczyma ku białoróżowym mgłom pod krzesanicami Czerwonych Wierchów pogładając.

A gdy się najedli i napili i Marduła z Krzysiem, po co ich Sobek Topór posłał, opowiedzieli, wstał wtedy Janosik, do chałupy poszedł i wkrótce stamtąd do czekających z darami powrócił. Rozdał je przybyłym chłopom i przybocznym swoim ludziom.

ROZDZIAŁ VIII.

Sobek ruszył do Czorsztyna. Jednak nie wprost, jak było najbliżej, na prawo w stronę Pienin, lecz wdół nad dunajeckie koryto, wsiami większemi, bo się spodziewał po drodze ludzi zagarnąć.

Aliści biskup krakowski, Gębicki, do kogo mógł, listy słał, a wojewodzie Sieniawski, zdrową już niemal lewicę czując, zaopatrzenie zamku w Sieniawie pozostawiwszy, mimo, iż tak znaczne hufy królowi pod Beresteczko wyprawił, jeszcze dwieście siedmdziesiąt koni z sześciu działami polowemi pod Czorsztyn na wezwanie biskupie mógł ruszyć. Żołnierz każdy w strzelbę i pistolety w olstrach był uzbrojony.

I ci się ze Sobkowymi chłopami, ku którym się już niewielu przyłączyło, bo w Szaflarach wszystkich chłopów ksiądz zatrzymał, narówni pod Nowym Targiem o południu zesзли. Nagle jak na zaklęcie, z mrocznego lasu wypadli Sieniawskiego żołnierze.

Siły były te same, ale uzbrojenie i sprawność bojowa inne. W mig obiegli dragoni chłopów i z koni, z rusznic ognia do nich dali, gdy sześć dział prosto w kupę karta czami bluznęło.

Jęk się podniósł, strach górali ogarnął.

Spotkanie było tak nieprzewidziane i niespodziewane, atak tak gwałtowny, że się chłopci odrazu zmieszali i bezład się wszczął. Napróżno Sobek ciupagę wzniósł i ze wściekłym przy boku Mardułą z nożem Janosikowym w rękę,

ku najbliżej stojącym dragonom, pędem ruszył; napróżno kilkanaście strzelb chłopskich huknęło i kilkadziesiąt strzał furknęło przez powietrze. Ten i ów dragon zachwiał się i spadł z konia, ale palba ich i armaty, przez ćwiczonych artylerzystów Sieniawskiego kierowane, waliły chłopów, jak burza las. Rozbiegli się w ucieczce.

Sieniawski, rannych chłopów z placu ruszać zakazał, aby zażywa dognili, i dragonów na straży tego czynu kilku zostawiwszy, sam pod Czorsztyn, co pary w koniach kłusował, aby przybyć, nim go wezmą bez niego.

*

Z oczami w sufit wlepionemi, uwięziony w komnacie Platemberga, leżał Kostka na łożu drugą już godzinę z rzędu.

Wtem otwarto drzwi przedpokoju i kilku ludzi weszło; zastali podwoje do sypialnej komnaty Platemberga zamknięte i zapukali silnie.

— Kto? — zapytał Kostka.

— My.

Poznał głos Maćka Nowobilskiego.

— Łotry, tchórze i zdrajcy!? — krzyknął.

— Niech pan odeprze. Potem będziemy gadać.

Kostka porwał się i klucz w zamku przekręcił.

Weszli obaj Nowobilscy, Kuros i trzech innych chłopów.

— Daliście zamek!

Potęźni chłopi przeciw niskiego Kostki zmieszali się, aż Kuros zuchwale rzekł:

— Kupiliśmy życie i wolność za wasze głowy.

— Za czyje?

— Za waszą i Łętowskiego.

Rozśmiał się wówczas Kostka. Rozśmiał się szeroko. I śmiał się długo, długo, serdecznie. A potem ręce naprzód wyciągnął i rzekł:

— Wiążcie mnie!

— Tego nietrza, jak pan dobrowolnie pójdzie — odpowiedział Maciek Nowobilski, nie patrząc Kostce w oczy.

— Dobrowolnie pójdę — dobrowolnie narażalem się na śmierć dla was, to i dobrowolnie pójdę na śmierć przez was. Idźmy. — I Kostka postąpił przed siebie.

— Gdzie marszałek Łętowski? — zapytał.

— W piwnicy jest — zaparty. Zaraz go wywieziemy.

Otwarli Nowobilscy drzwi od piwnicy i wyszedł z niej Łętowski.

Z łękiem spojrzał nań Kostka, ale chłop był spokojny. Nie rzucił mu ani jednego spojrzenia wyrzutu, czy żalu.

Przystąpił do Kostki i wyciągnawszy ku niemu twardą, zmarszczoną od pracy, rękę, rzekł bez wzruszenia:

— No to już my tam!

Wszyscy zdrowi i lżej ranni chłopci otoczyli Kostkę i Łętowskiego.

Maryna szła ztyłu, jak nieprzytomna.

Okropności, które słyszała była o kochanku swoim, Sieniawskim, a które jej z myśli nie ustępowały, szturm do zamku, w którym walczyła, lejąc na żołnierzy, smołę, gruz strącając i widłami wdzierających się po drabinach prac na dół, godzina, przepędzona z Kostką w komnacie Platemberga, nieprzyjście brata, zdanie zamku i wydawanie Kostki na śmierć i spokój jego, podobny do spokoju drzewa na walącym się urwisku w czas ciszy: wszystko to oszołomiło ją, jakby zamroziło krew.

I chłopci milczeli. Nawet zuchwały i zawzięty Kuros odwrócił głowę w bok i oczy przed siebie w ziem puścił.

Stali tak — w chwili wydawania ludzi na śmierć.

W tej chwili przez otwartą bramę zamku wjeżdżał na siwym dzianecie pułkownik Jarocki, a obok na roslym, złoto-gniadym tureckim bojowym bachmacie, w bok buławką pozłacaną wsparty, wojewodzie Hieronim Sieniawski. Za nimi dragoni. Wpadli też i chłopci czorsztyńscy i zaraz

widząc zmianę fortuny, przypodobać się wojsku chcieli i Kostkę jęli szarpać za długie włosy i pomstować mu. Przerażony jęknął rozpaczliwie, lecz Jarocki dragonom chłopów precz odpędzić kazał.

Wtedy Sieniawski podjechał bliżej i krzyknął drwiąco:
— Tuśmy się spotkali, panie Kostka!?

*

Wojsko zrabowało zamek do cna, potem Jarocki zostawiwszy w nim załogą piechotę biskupią z armatami, Kostkę i Łętowskiego na luźne konie wsadziwszy, co tchu, w obawie przed mogącą nadciągnąć od Czarnego Dunajca, lub Białej Góry czernią, ku Nowemu Targowi z dragonami ruszył.

Gnał przez Luboń, Myślenice i Mogilany i na drugi dzień pod wieczór do Krakowa docierał. A tam, gdy się o prowadzeniu buntownika Kostki wieść doniosła, wyjechała naprzeciw druga dragonja na Kazimierz, za staw królewski w towarzystwie panów szlachty Siewierskich pod chorągwiami. Tam wsadzili go na kolasę i stojącego przywiązali do drabinek, ręce związawszy. Stał w kolasce, że go mógł każdy widzieć. Stał i wesoło, śmiało, swobodnie po tłumie ludzi, bo lud srogi wyszedł na Kaźmierz, pozierał. Łętowski siedział za nim w kolasie, z rękoma wtył związanemi w magierce i brudnej koszuli. Przez Grodzką bramę koło wału, przez miasto, przywieziono ich przed pałac biskupi, stamtąd odwieziono na zamek i wpakowano Kostkę do wieży szlacheckiej, Łętowskiego do złodziejskiej.

Zebrał się na gwałt sąd krakowski i na gwałt strażnik grodzki przedłożył protokół, akta, listy i uniwersały Kostki, raporta zaciągów niemieckich i wniósł oskarżenie. Śpieszono się, bo słuchy szły, że górale odbić Kostkę ciągną.

Nie chciało się to panom krakowskim, a osobliwie biskupowi Gębickiemu pomieścić w głowie, żeby jeden jakiś mło-

dy człowiek, bez bogactw, bez znaczenia osobistego, bez potęgi, Kostka, czy nie Kostka, choćby jak śmiały, porwał się sam na szlachtę i to w tak bezczelnie zuchwały sposób, gdyby kogoś za sobą za plecami nie miał. Agentą czyjegoś w nim podejrzewano.

Samo porozumienie z Chmielnickim, przed którym bądź co bądź wielkie wojsko Rzeczypospolitej w tej chwili stało: wydawało się niewystarczającym. Jedni mówili: Rakoczy, inni: cesarz niemiecki, inni imię samego nawet króla, którego ogół szlachty nienawidził, w grę wciągali. Mógł on o przygnięcie żywiołu szlacheckiego skrycie się starać. Inni rachub nawet pomiędzy sobą szukali. Wiedziano, że Kostka po dworach pańskich bywał. Mogły być czyjeś ambicje, zemsty, zamysły poruszone... Kostka mógł być podstawioną figurą jakiego magnata, dążącego do zrujnowania i unicestwienia rywali, detronizacji gasnącej dynastji Wazów i sięgnięcia po chłopską koronę... Ksiądz biskup Gębicki zaś, któremu pełniący cnoty Św. Franciszka z Asyżu opat tyniecki dawno już pod oczy padł, a który, jak wiadomo było, Kostkę nietylko ostatnim czasem gościł, ale nawet glejt bezpieczeństwa, w oskarżeniu przedłużony, od niego otrzymał: tam podejrzania swe zwrócił.

Nie mógł sobie biskup wyobrazić, czegoby opat w związku z buntem chłopskim szukał, coby zyskał, ale faktem było, że gdy się wszyscy tego ruchu bali, on się go nie potrzebował bać. Za nic, dla świątobliwości opata i jego cnót miłosiernych, Kostka by był listu bezpieczeństwa tak starannie stylizowanego nie dawał. Ręka rękę myje — myślał ksiądz Gębicki — też kruczego tylko oka kruk szczeni... Mógł opat w razie potrzeby schronienie obiecać Kostce, mógł mu i pieniędzy dostarczyć... Kto wie, co on tam, chodząc po swoim tynieckim ogrodzie za murami mógł myśleć...

Kostka wyznać prawdę i wyjawić wszystko musiał. Po-

stanowiono przeprowadzić z uwięzionymi śledztwo na mękach.

Ze zamkowego okna szlacheckiej turmy pozierał Kostka nad Wisłę w stronę Tyńca. Było rano, świt. Ślicznie wschodziło ogromne słońce, złocąc niebo odrazu zuchwałym blaskiem. Na Wisłę zazieleniła się i zasrebrzyła fala.

Jak okiem sięgnąć, zboża i łąki, pełne kwiecica białego sady, ogrody kwitnące i naokoło puszcze. Góra Świętej Bronisławy zielona, białe dwie wieże kościoła kamedułów bielańskich z czarnymi dachami, jakby pochylone nad Wisłą. Szeroka, zielona przestrzeń Błoń, na które już stada miejskie, ze Zwierzyńca, z Półwsia Zwierzynieckiego, z Woli, z Czarnej Wsi, z pod Łobzowskiego Kazimierzowskiego pałacu wyganiano — stada krów i konie.

Pod zamkiem i naokół cicho — cicho aż het poza pola ku błękitnym wzgórzom Beskidu, ku dalekim, majaczącym w szezodze rannej ostrym lśniącym widziadłom Tatr.

Szły drobne z wysoka postacie bab krakowskich w jaskrawych chustach, jasnych spodnicach i czerwonych butach, z koszykami na rękach i plecach do Krakowa na targ. Szły po dwie, po trzy, czasem grupką — drobne, kolorowe jak w jasełkach dla dzieci.

Na zamkowej górze pod murami śpiewało mnóstwo ptaków wiosennych, czyniąc świegot i wesołe, radosne dźwięczenie w powietrzu.

Świat cały obudził się ze snu i otwarł barwne, świetne, dźwięczne źrenice.

W taki czas opat ksiądz biskup Pstrokoński chodził po swym tynieckim parku i pacierze poranne odmawiał.

Kwitły koło niego jabłonie i czereśnie, zieleńiła się winnica benedyktyńska, kwitły starannie hodowane i pielęgnowane róże, lilje, narcysy, fuksje, piwonje i tulipany.

Pachniał mu w spokoju ogród, w pogodzie i rozmodleniu porannem.

I wydaje się opatowi, iż Bóg widzi jego modlitwę — jego i klasztornego ogrodu; iż odwieczne dęby, lipy i klony, wśród których w surowym swym habicie się przechadza, wspólnie z nim się modlą, jakoby kopułę nad ołtarzem, baldakim splecionych konarów nad jego pacierzem czyniące.

O ojcie, ojcie Pstrokoński!...

Czemuż nie chciałeś krzyża w rękę wziąć i z murów klasztoru twego, z Tyńca bram wyjść i chłopom polską chłopską wiarę powiedzieć i krzyż im w zboża, w bławaty polne, w trawę łączną owity wynieść?...

O Beato!

Beato Herburtówna, piękna, oto przez twoje ręce w ręce sądu wydany!...

Bolesnie, żałośnie, patrzył Kostka przed siebie.

Otworzyły się drzwi żelazne.

Wszedł dozorca więzienny i dwóch drabów z krótkimi, szerokimi tasakami w rękę.

— Na sąd? — zapytał Kostka.

— Nie, na męki — odpowiedział dozorca.

— Jakto!?

Nie odpowiedziano mu nic, jego zaś zimny pot oblał od stóp do głów w jednym momencie.

— Na męki!? Czemu!? Zaco!? Możecie mię zabić, lecz poco męczyć macie!?

— Nie wiemy. Przywieść rozkazano.

Opanował się Kostka. — Idźmy — rzekł, podobnie, jak kiedy go wydać miano w Czorszynie.

Powiedli go na dół po wąskich schodach kamiennych, wywiedli w ciemny korytarz i wprowadzili w niskie sklepienie, kształt piwnicy mające.

Tam na ścianach czarnych ciosowych tliły się kagańce czerwone i słaby blask dnia przez kratowane okna zazierał; obok stołu, nisko płonęła w tyglu siarka żółtym płomieniem.

Siedział za wielkim stołem, czarnem suknem okrytym

sędzia w kapturze zapadłym na oczy, w opończy długiej. Obok stał kat i jego pomocnicy.

Stawiono Kostkę przed stół.

Stanął prosty i sztywny, jakby wyniosły.

Królewski syn, ludu wódz i zbawiciel...

— Ktoś jest — zapytał sędzia.

— Aleksander Leon Kostka Napierski ze Sternberku.

— Kłamiesz! — rzekł sędzia.

— Kłamać nie będę. Jam Władysława Czwartego króla syn.

— Z kim byłeś w zмовie?

Nie rzekł nic.

— Bierz go kat.

Zbliżył się kat i jego pomocnicy. Zwleczono z Kostki odzienie do pasa. Do obręczy żelaznych, w podłogę wbitych, przywiązano mu nogi, do podobnych obręczy, wtwierdzonych w powalę, ręce i przewleczono sznury, które ujął kat w dłonie.

— Z kim byłeś w zмовie?

Nie odpowiedział.

— Włócz go kat!

— Raz!

Kat wyprężył sznury. Zatrzeszczały kości w stawach w ciele Kostkowem.

— Z kim byłeś w zмовie?

— Dwa!

— Trzy!

— Pał go kat!

Dwaj pomocnicy kata przytknęli pochodnie do płonącego tygla i zapaliwszy, przybliżyli je do wytężonego, wyciągniętego w strunę ciała Kostki do boków. Skóra poczęła swędzić się.

— Z kim byłeś w zмовie?

Milczenie.

— Raz!

— Dwa!

— Pal go trzy!

Kat zanurzył żelazną warząchew w tyglu i bryznął płonąca siarką na obnażone piersi Kostkowe.

Ze ściętych jego zębów wydarł się krótki, dziki jęk.

— Będiesz mówił? — zapytał sędzia.

— Będę! — stęknął Kostka.

Cofnięto płomienie, sfolgowano sznury.

— Chłopów zbuntować chciałem, Chmielnickiego pomoc przyrzeczoną miał — jego włóczę! Rakoczy zjednany był — jego pal! Werbować Niemców posłałem, Kraków rabować, kościoły palić, dwory szlacheckie w popiół mienić, szlachtę tępemi nożami rżnąć chciałem! W zgliszczu, w perzynę, w kurzawę dawną Polskę obrócić chciałem, nową z polskiego dębu i polskiej pszenicy postawić! Jak mór, jak Boży gniew, jak wulkan i trzęsienie ziemi, jak deszcz ognia piekielnego Gomorę duchowną, Sodomę szlachecką przejść, zniweczyć ślady i pamięci imienia nie pozostawić chciałem! We krwi i ogniu utopić i zatopić was, księża, panowie, szlachta, biskupi, rycerze, sędziowie, katy: tegom chciałem!

Runął i zemdlał. Ocucono go wodą. Sędzia wzburzony, więcej go już nie pytał, rozkazał pod pachy wziąć i do celi odwlec, a co Kostka mówił, spisał.

Zkolei przyprawiono Łętowskiego.

Ten, wchodząc, przeżegnał się i westchnął.

— Nazywasz się? — zapytał sędzia.

— Stanisław Łętowski, sołtys z Czarnego Dunajca.

— Z kim w zмовie byliście?

A Łętowski odpowiedział:

— Z Panem Jezusem, co ludzi wszystkich równych stworzył.

Wkręcono mu palce w śruby i obcęgami żelaznymi szczypano ciało, ale nawet nie jęknął. Powiedział tylko:

— Choćbyście mię tu umęczyli nie powiem nic, bo nic do powiedzenia nie mam.

— Chyba to jedno: nie dziś, to jutro! Zresztą wicie wszystko!

Ale biskup Gębicki miał list proboszcza z Lubnia w ręku. Posłano pięćdziesięciu dragonów do Pcimia i ci na siodle rektora Martinusa Radockiego rzemieniami umocowawszy, przywieźli go do Krakowa, gdzie był przed sąd stawion, męczon, lecz, tak samo jak Łętowski, mówił, że nic nad to, co wiadomem jest, do powiedzenia nie ma.

Wyrok sądu zapadł: osądzono Radockiego na ścięcie, Łętowskiego na ćwiertowanie, Kostkę na pal.

Jechał ksiądz opat biskup Pstrokoński do Krakowa wstawiać się za Kostką, ale gdy mu powiedziano, iż wydany dla klasztoru tynieckiego list żelazny powagę powszechną zwrócił, uląkł się. Uląkł się tem więcej, że stosunki Kostki z sekciarzem Radockim, wrogiem panującego Kościoła, podejrzenia jakowe i na niego zwrócić były mogły.

Zgłosił się tylko na zamku, iż jako dawny obwinionego znajomy i wychowawcy jego, nieboszczyka kasztelana Rafała Kostki przyjaciel, wypowiadaćby go chciał, naco pozwolono.

Było rano wczesne w dzień egzekucji, kiedy go do celi Kostki puszczono.

Kostka leżał na słomie, oczy miał otwarte, w słup stojące, nieruchome.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — ozwał się opat próg przestępując.

— Niech będzie na wieki wieków. Amen. — odpowiedział skazany, nie patrząc kto wchodzi.

— Synu, niosę ci ostatnią pociechę przed śmiercią — rzekł opat.

Kostka wzniósł głowę i poznał przybyłego.

— A — rzekł, dźwigając się z pościeli — to ty, ojcze? Bądź zdrów!

— Przyniosłem ci Ciało i Krew Pańską.

— Ojcze, jam chciał kościoły palić!

— Ciało i Krew Pańską ci przyniosłem.

— Ojcze, jam chciał dobra duchowne chłopom rozdać!

— Ciało i Krew Pańską ci przyniosłem — rzekł po raz trzeci opat.

— Rzym mi przyniosłeś, ojcze! Jesteście, jako śmierć! Cokolwiekby się robiło, jakkolwiekby się broniło: przyjdzie! I wy przychodzicie, jak śmierć: pewni, w godzinę śmierci! Ale niema was tam, gdzie jest życie!

— Chrzcimy — powiedział opat.

— Chrzcicie! Woda wasza i sól — to żelaza!

— Bluźnisz synu i grzeszysz w ostatnim momencie życia.

— Bluźnię i grzeszę!? Zali ciebie, ojcze, nie okuto w żelaza w zaraniu, abyś, gdy przyjdzie pora, ręce i nogi pod pętami uczuł? Nie powstałeś, nie wyszedłeś z krzyżem przed prosty lud, ten lud, którego Chrystus był mesjaszem!

— Świętego Franciszka z Asyżu naśladujesz, który Chrystusa naśladował. O zaiste! Gdyby się Chrystusowi podobało w te dni z nieba zstąpić, byłby on cię rozgrzeszył, ojcze, przed nami z krzyżem spotkawszy! I świętym byłbyś we większym kalendarzu, niż ten, którym rok rachujemy! Świętym byłbyś w kalendarzu milionów dusz nieszczęśliwego narodu uciemionych! Nie kadzidła za tynfy u kupców nabyte by cię, ojcze, okadzały w ołtarzu, ale by ci błogosławił tłum ciemionych i łzy niewoli obmyłyby ci stopy i ręce wodą świętą, jak woda chrztu!...

Pod ten czas wypowiedawszy się i komunję przyjmawszy od zamkowego księdza, sołtys Łętowski pisarzowi, do celi mu przyprowadzonemu dyktował testament.

W Imię Pańskie Amen! Roku Pańskiego 1651 Dnia 24 lipca.

Ja Stanisław Marsiałek alias Łętowski widząc się być z dopuszczenia Pana Boga Wsechmogoncego blizszym śmierci, nizeli żywota, takie osporządzenie cyniem: naprzódzi duse swojom oddajem Panu Bogu Wsechmogoncemu w rence jego święte, a ciało ziemi... Siostrze Kajsce becka kapusty, co pod oknem w carnej izbie stoi i dwoje cielont od cisule. Jantałek śrybelnyk wielgik talarów wengierskik na nowy ołtarz w kościele w Dónajcu legujem, kotlik dukatów nieg dzieci pomiendzy się ozdzielom. Jyno coby się przy tem nie kłopotili. Brat Franek do równości sprawiedliwie ozdzielić ma. Jest je showany w ogródku za izbami, blisko studnie, między skalami, pod takom wielgażnom skrzizal, tak, jako w murze. Jyno trza przódzi renkom miejsce przezegnać i trzy razyj przepedzieć: w Imię Ojca i Syna i Duha Świen-tego. Amen. — bo ig inacy nie dostanie. Śmiertelny jest cłek i śmierci się zawdy spodziewać musi. Nie zał mi umierać, bok długo żył i Panu Bogu się nie prociwiem, jyno mi to zał, co nie w doma ka ojcowie marli, umrem, ba na mękak, cemu ja się nigda za żywobycia nie spodziewał.

Ale skoro taka wóla Boska, nieg będzie. I to mi zał, co się ze swojemi ludziami, ze zonom, z dzieciami, z bratem, ze siestrom i ze sytkiem nie pozegnam, ani co się jesce na swoje rolom i na sad, choć ta w nim płono rodziło, na łąki i na las, na całe gazdowstwo, a beło z łaski Pana Boga niemale, nie uspozieram, ocy ś niem nie uciesem, ba trza obdalno od swojego kraju odpytać świat. Bóg zegnaj sytkim i sytkiemu, co po mnie ostaje, i bądź miłościw mnie grzesnemu teraz i w samej istej godzinie śmierci mojej, co nieg się stanie w Imię Ojca i Syna i Duha Świętego. Amen.

Rektor Radocki odmówił księdza i ostatniej spowiedzi. A gdy przedstawienia, namowy, prośby i zaklęcia nie

nie pomogły i suchy, żyłasty starzec niewzruszonym pozostał, wzburzony ksiądz wyszedł, krzyknąwszy: Idź więc, przeklęty heretyku, samochcąc w ogień wieczny! Na stosie by cię spalić należało!

Wówczas powiadomiony o tej zatwardziałości sąd głowę jego na palu wystawić rozkazał.

Na Krzemionkach za Wisłą, troistą szubienicę wzniesiono i pomocnicy kata ostrz żelazny na pal sosnowy wbili. Jedenaście chorągwi konnych w pełnym rysztunku, miejskich, biskupa i panów okolicznych, wyjechało, a gawiedzi miejskiej masy ogromne poza Wisłę przez most, na promie i łódkach rybackich się przepawiły. Ze strachem, który z niecną i podłą ciekawością walczył.

Wieść, iż Kostkę pojmano, iż go do Krakowa dragoni „pod siablami“ wieźli, rozeszła się falą po góralszczyźnie. Żony mężów, matki synów, siostry braci, a dzieci ojców za szyje, czy pod nogi obejmowały i wołały, aby go szli bronić. Ku wieści tej przymieszała się wieść po śledztwie, na którym się Kostka wyznał, iż był królewski syn. Starzy chłopi pamiętali wielkie wojny za Zygmunta III i Władysława IV, walczyli pod nimi przeciw Turkom i Rosjanom, pamiętali bunty i rokosze szlacheckie, królów udrękę, i chwalili w duszach miłość i cześć dla rodu królewskiego i królewskiej krwi. Dlatego „cała siła województwa“, jedenaście chorągwi, otoczyła plac egzekucyjny.

Pod ten czas też Beata Herburtówna, na rekolekcjach w klasztorze klarysek w Nowym Sączu przez ojca osadzona, usłyszawszy, iż Kostkę na pal wbijać mają, po prześcieradłach związanych w nocy po murze się spuściła i jak szalona przed się w habicie, w który ją przyodziano, biegła. Biegła ku Krakowu gościńcem, napadana przez psy, które jej habit darły, różańcem się im ametystowym opędzając.

Biegła przez noc z tą myślą, aby Kostkę ratować, lecz ku ranu sił jej braknąć zaczynało i z wycieńczenia ślaniała się, gdy w polu nieopodal dym i ogień dostrzegła. Czując, że padnie i krwawymi stopami nie pójdzie dalej, tam się zwróciła.

Traf chciał, iż obozował to Sieniawskiego oddział, z pod Czorsztyna przeciw chłopom wiedziony.

Sieniawski jeszcze do nikogo nie przemówił był; jechał na czele i szukał band chłopskich, które, o ile się wily w okolicy, przed jego dragonami pierzchały.

Przy osobnem ognisku, na derach i kobiercu leżał Sieniawski pół drzemiąc, kilkadziesiąt kroków od żołnierzy, gdy ku niemu Beata Herburtówna przypadła.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — zawołał oczy podnosząc.

— I ja go chwale! — odpowiedziała Beata i w tej chwili poznali się nawzajem.

— W takim stroju!? Wojewodzianka!? Tu!? Sama jedna!? Pieszol!? — mówił zdumiony Sieniawski.

— Pana Kostkę ratować biegnę! Na pal go w Krakowie wbijać mają!

Zerwał się Sieniawski z leżenia na równe nogi. Złe ognie na twarz mu wybiły. Przytknął trąbkę do ust i zagrał na alarm. W mig porwali się pobudzeni już dragoni.

— Konia luzem! — krzyknął.

Usłyszeli dragoni i duchem wierzchowca przywiedli, w zdumieniu na pannę spoglądając.

— Mości wojewodzianko, oto koń — wybaczaj, lecz damskiego siodła nie mamy z sobą — rzekł Sieniawski.

— Dokąd? — zapytała Herburtówna.

— Kostkę odbić! — odpowiedział Sieniawski dziwnym głosem.

Beata ustami do ręki mu przypadła. Rycersko odsunął ją Sieniawski, na konia w rękach prawie podniósł, burkę

swoją na nią zarzucił i na ogiera swego skoczywszy, ostrogi mu wbił i krzyknął: Naprzód!

Wichrem pomknęli. Wszystko stało się tak szybko, że dopiero teraz na koniach w pędzie żołnierze mieli czas na dziwienie się i nierozumienie. Odbiegli lanckorońskich lasów.

Nikt nie przeszkadzał egzekucji u troistej szubienicy na Krzemionkach. Na wielkim drabiniastym wozie, w otoczeniu eskorty wojskowej z dobytą bronią, wieziono trzech skazanych przez Stradom, Kaźmierz, na most, i przez Podgórze nad Wisłą na Krzemionki. Dzień był dżdżysty wiosenny, to chmurny, to świecący słońcem, pełen wilgoci.

Kostka jechał blady, jak trup, ze ściętymi ustami i z oczyma tak zimno surowymi, że gdy na kogo spojrział, mróz szedł po członkach. A patrzył po ludziach ciągle, na prawo i na lewo — czy chciał się im przypatrywać czy szukał kogo? Wyprostowany siedział, nieporuszony. Ale od czasu do czasu garbił się, kurczył, strach śmiertelny i zgroza osiadały mu twarz, smutek, ból i rozpacz ściągały mu głowę wdół — i znów prostował się i znów jechał wyprostowany, zimny i surowy.

Radocki oczy w przestrzeń miał white, jakby nie istniało naokół niego nic. Łętowski wypił w kaźni konewkę wina i jechał obojętny na śmierć, która, tak czy tak jest nieuchronna.

Wtem ujrzał Kostka troistą szubienicę i pod nią pal we mgle.

Wówczas szyja wstąpiła mu w ramiona, a broda wpiła się w pierś, oczy skołczały, pot wypłynął na czoło, zaczął się trząść i dławienie poczęło mu ramionami podrzucać. Nieopisana trwoga osiadła mu twarz. Ale trwało to krótko. Opanował się, nie wzniósł, ale poderwał głowę wgóre, wyprostował się i ukazał twarz tak spokojną, stężoną,

własnowolną, jak gdyby ta śmierć, której naprzeciw szedł, była od lat oczekiwana.

Podjechano pod szubienicę, wysadzono skazanych z wozów. Stał kat z pomocnikiem; jeden miecz ciężki trzymał w ręku, drugi przy palu z nabitym szpicem żelaznym stał. Pień na głów ścinanie był przygotowany.

Urzędnik grodowy, wśród grobowego milczenia tłumu i żołnierzy, odczytywać począł wyroki: spokojnie ich skazani wysłuchali.

Poczem podprowadzono rektora Martinusa Radockiego; i on i Łętowski ręce mieli wtył związane.

Dwaj pachołkowie opuścili Radockiego na klęczki, obnażyli mu szyję; Radocki milczał i oczy miał wzniesione w niebo.

Dopiero, gdy ukląkł, westchnął i dużym głosem zawołał:

— Przyjdź Królestwo Twoje!

Ciężki miecz spadł: głowa potoczyła się wśród strumieni bluzgającej z arterji krwi.

Poczem kat podjął ją za długie siwe włosy i otwartymi ustami bluzgającą jeszcze krwią i łypiącą oczyma, jął przybijając do jednej z szubienic.

Pomruk zgrozy przeszedł przez tłumy.

Następnie przyprowadzono do pnia Łętowskiego.

Nie rzekł nic, tylko:

— Skoro się tak Panu Bogu Najwyższemu podobało...

Ukląkł i został ścięty. Potężne jego ciało, z odzienia odarte, kat mieczem na części ćwiartował.

Kostka patrzył na te egzekucje bez drgnienia powieki. Twarz miał białą, bez kropli krwi. Nie drżał, tylko chwiało się wtył i naprzód, jakby zgoła ruchu swego nieświadomy.

Raz po raz zwracał twarz w stronę Tatr — odsiecz nie nadeszła...

— W godzinie śmierci swojej powiedz, jak się nazywasz — ozwał się sędzia.

— Szymon Bzowski, Władysława króla syn — odpowiedział Kostka cicho, ale wyraźnie.

Pomruk, głosy różne, współczucia, żalu, szyderstwa, nienawiści, zawziętości, litości odezwały się.

Kat kazał się Kostce położyć na ziemi.

Legł.

Dwaj pachołkowie ukłękli przy nim tak, iż każdy jedną ręką rozszerzył mu nogi i przytrzymał, drugą ramię do ziemi przyciskał.

Naówczas kat uniósł koł zaostrzony i co miał siły, uderzył.

Jęknął Kostka. Dał się słyszeć płacz i śmiech spazmatyczny kobiet.

Kół nie wniknął w ciało należycie.

Drugi więc i trzeci raz ugadzał nim w ciało Kostkowe niezręczny kat rękami drżącymi, wśród okrzyków, klątw, wyzwisk, łkania i przeraźliwych pisków mieszanego tłumu; pot ściekał mu po twarzy, dygotał cały. Z Kostki zaś piersi wydzierały się jęki nieludzkie.

Za którymś razem rozpruto ciało Kostki, jak należy; szpic utkwiał we wnętrznościach. Wówczas z żygającym z podbrzusza krwią ciałem, czerwony cały od krwi pal z Kostką pomocnicy kata wzniesli i w przygotowany zawczasu dół wstawiwszy, ziemią go okopywać zaczęli.

Trupią, ale żywą twarz Kostki z oczyma raz wraz przyomykającymi się i otwierającymi ujrzano ponad sobą. Głos snać zamarł mu w piersi z cierpienia.

Nagle tłum się zakołysał i rozstępować począł — przeraźliwy, przerażający wrzask niewieści przeszył i wstrząsnął powietrze, łby końskie sapiące wydobyły się z tłumu i na miejsce egzekucji osypani kurzem Sieniawski we zbroi,

Beata Herburtówna w burce Sieniawskiego i Sulnicki za nimi przypadli.

Beata konia wstrzymała i jak gdyby zastygła w sobie nieruchoma. Sieniawski zaś w bok się wsparł i zawołał:

— Cóż, panie Kostka? Spotkaliśmy się? Ha zaiste! Imię twoje jest w księdze dziejów zapisane nie tam, gdzie nasze będzie! Rywalu!

Tłum i wojsko, a nawet urzędnicy i dygnitarze w pierwszej chwili, nim Sieniawskiego poznali, myśleli, że to może gońce królewscy z ułaskawieniem, spóźnionem już, lecą. Słowa Sieniawskiego zdumienie i zgrozę wywołały; wtem Beata Herburtówna zeskoczywszy z konia i nie krzycząc, ale skrzeczając okropnie, pod pał Kostkowy podbiegła.

Burka osunęła jej się z ramion i spadła na ziemię — poznano kobietę.

Nikt jej w pomieszeniu drogi nie zastąpił — objęła słup z ciałem Kostkowem ramionami i usta do buchającego krwią żywą tułowia przycisnęła.

Z obecnymi poczęło się dziać coś nieopisanego. Kat i pomocnicy uciekli między wojsko, tłum uchodzić począł niemy, unosząc omdlałe kobiety. Nieprzytomnie stojącemu na koniu Sieniawskiemu Sulnicki cugle z dłoni wydarł, przez łeb koński zdarł i parł się z nim ku sieniawskiemu dragonom, choć im nie grożono, gdyż wszystkim tysiącom ludzi mowa została odjęta.

Chorażwie wojewódzkie mieszać się zaczęły i zwracać konie ku miastu bez rozkazów. Jedna za drugą ruszyły kłusem wzdłuż Wisły, dążąc ku podgórnemu mostowi. Naówczas ogarnęła tłum paniczna trwoga przed zapowiedaną odsieczą czerni. W niewypowiedzianym strachu, tłocząc się, kotłując, przewracając, obalając i depcąc jedni drugich wiele tysięcy uciekało wślad jazdy rycerskiej, lub biegło, gdzie stał prom i przewoźne łódki. Dygnitarze i urzędnicy wskakiwali na wózki, gdzie kto mógł, i pędzili

galopem za wózkiem kata, który ze swymi pomocnikami pierwszy na przodzie na wozie egzekucyjnym za wojskiem, biczem konie smagając, gnał.

W kwadrans nie było na Krzemionkach nikogo, tylko ze straszliwie rozdziawionymi powiekami głowa rektora Radockiego, przybita do szubienicy i krwawe jego ciało, głowa sołtysa Łętowskiego, twarzą leżąca do ziemi i czerwone ćwierci jego korpusu, i na pal nadziany Kostka, a pod nim Beata Hebertówna, pal obejmująca.

— Pić — szepnął Kostka.

Herbertówna oderwała się od słupa — spojrzała wokół: wody nie było. Opodał, daleko płynęła Wisła, lecz w czym przynieść?

— W czym ci przyniosę!? — krzyknęła z rozpaczą.

Kostka uczynił ruch rękami w znak, iż rozumie, że mu jej podać nie może; ruch to był chorego dziecka.

— O Boże! — jęknęła Herbertówna. — O Boże! — zawołała. — Ludzie! Pomocy!

Nie było nikogo.

Kostka stulił dłoń i pokazał, aby mu tak przyniosła.

— Jakże ci podam, choćbym doniosła!? — krzyknęła Herbertówna.

Ponowny ruch zrozpaczonego dziecka wykonał Kostka.

— Cierpisz!? — wydarło się z łona Herbertówny.

Nie odpowiedział, snąć serce w nim pękło, gdyż skonał.

ROZDZIAŁ IX.

Tymczasem zwycięstwo pod Beresteczkiem zgmiotło do cna chłopskie bunty. Wieści o szerokich pogromach chłopskich, karach i zemście szlacheckiej dochodziły coraz gęstsze i straszniejsze. Rozpoczęły się pożary, mordy, łupiestwa; co noc płonęły domy w wielu miejscach, łunę olbrzymią na niebo rzucając. Łunami pozdrawiali się wzajem Lanckoroński, później od chłopów zabity, rotmistrz Cikowski i Sulnicki sieniawczyk.

Chłopi popadli w rozpacz. Ogarnął ich szal. Jak nieprzytomni uciekali z miejsca na miejsce, wszędzie ścigani, napróżno wyglądając pomocy i ręki, która by ich broniła.

*

W jedną taką noc obudził się Krzyś, muzykant stary i wytrębus wielki, i rzekł do żony swojej Byrki:

— Ja znam chłopą, co nas obroni.

— Któż to taki?

— Janosik Nędza Litmanowski.

— Ten bohater?

— Ten. To sęk! Jak ten nas nie uratuje, to nikt inny. Kiedy on tupnie nogą, to mu siedemset djabłów z pod buta wyskoczy! To orzeł! Ja idę do niego.

I ruszył pod Kopę, na polany i osiedla Zakopane, do Nędzów. Żadnej karczmy nie minął i w każdej się napił, ale w miarę, aby trzeźwo do Janosika zejść. Tego się obawiał, że go w domu nie zastanie, jakże się jednak zdziwił,

gdy pod chałupą Nędzową ogromną gromadę bab, chłopów i dzieci ujrzał.

Wszyscy mówili do siebie szeptem, a gdy Krzyś gwarę podniósł, aby się zapytać, co się stało, dano mu znaki, aby milczał.

— Janosik? W domu jest?

— W domu. Ale śpi.

— A po co się was tu zeszło tylu ludzi, jak na odpust?

— My ku Janosikowi przyszli.

Przepchał się Krzyś przez ciżbę ku izbie, gdzie przed progiem oboje starzy Nędzowie i dwie stryjeczne siostry Janosika, Jadwiga i Krystka, stały, obok zaś na ławie stary Sablik siedział i po strunach gęślików palcem cicho dzwonił. Kobieta jakaś starą matkę Janosikową po twarzy gładząc pytała właśnie:

— Ruszy się?

A Nędzowa odpowiedziała z wyniosłą dumą:

— On się ruszy.

W tej chwili otwarły się drzwi i z sieni domu wyszedł Janosik Nędza w koszuli tylko i w portkach, bosy, i odgarniając włosy z czoła powiódł po obecnych pytającym, sennym jeszcze wzrokiem. Najbliżsi zaś chłopi, baby, dzieci do nóg mu padli z krzykiem i jękiem:

— Ratujcie nas!

— Przez co? — zapytał Janosik spokojnie.

— Przez gwałt, przez ozbójstwo, przez ogień, przez katostwo!

I kobiety pod nogi Janosika pochwyciły, wołając:

— Co mamy to wam damy! Ja płótna! Ja krowę! Ja miodu!

Tłum ludu otoczył Janosika, on zaś dłonie położył na głowach dwóch kobiet, co u nóg mu klęczały, szlochając, i rzekł:

— Kiedym ja od Żelaznych Bram na Dunaju z rabunku

przez Żelazne Wrota w Tatrach do Polski szedł, widziałem ja czerwoną od ognia noc. — Czy to dlatego?

— Dlatego! Dlatego! — krzyknęli ludzie.

— Całe wsi uciekają!

— Całe wsi spalone!

— Bydło, ludzie, majątek, wszystko ginie!

— Ratuj nas! Ratuj!

— My tu ku tobie, hetmanie zbójecki, jak ku archaniołowi Michałowi przylecieli!

— Pod skrzydła Twoje!

— Broń nas od panów!

Rozległ się powszechny jęk i płacz bab; chłopci ze zwieszonymi głowami w milczeniu rozpaczem stanęli.

Janosik Nędza poważnie ozwał się w te słowa:

— Kiedy mię matka, będzie temu sześć lat w Czarny Dunajec do spowiedzi wyganiała, mówili mi ludzie po drodze, że tam strasznie zły ksiądz i że bije. Taki duch przyszedł do mnie, ani zły, ani dobry. Myśle sobie, że jak mię będzie bił w kościele, to jak tobie wolno, to i mnie.

— No, no, zawsze tak trza — rzekł stary Nędza, przytakując głową.

— No, to jak panom wolno bić chłopów, to i chłopom panów — skończył Janosik.

— To to wej! — zawołał z tłumu Krzyś z zachwytem. — Terażeście wej, Janosiku, dobrze powiedzieli! Wy macie głowę!

— Haj — rzekł stary Nędza, do syna. — Trza cobyś się ruszył.

— On się ruszy — odpowiedziała matka Janosikowa z wyniosłym spokojem.

— Możecie iść do domu — rzekł Janosik. — A kto ma wolę z chłopów, niech zbrój z domu zabierze i tu przyjdzie na wieczór.

Do rąk, do nóg, cisnęli się hetmanowi zbójeckiemu ludzie, że się ograć nie mógł; całowali go po twarzy, po ramionach, głaskali po włosach.

— Do domu! Do domu! Pośpieszcie się — rozpędzał ludzi stary Nędza.

Błogosławiąc, we łzach jeszcze i już w radości odchodzili.

Pozostał tylko stary Sablik i Krzyś.

Wtem Janosik włożył dwa palce w usta i gwizdnął przeraźliwie, aż powietrze zadrgało.

— Je kiz to sto djabłów!? — zawołał przerażony Krzyś.

— He, he, he, — zaśmiał się stary Sablik i oparłszy głęśle o żebro, zgrzypnął po nich krótkim, kabłąkowatym smykiem.

Krzysiu w uszach dzwoniło, że ani nie słyszał Sablikowego grania. A myślał: co to będzie? na co to takie gwiznięcie, że od niego, aż w pępku zadrga? Niedługo z lasu, skąd dym snać nad chałupą widać było, wynurzył się wysoki chłop i zbliżyć ku Nędzowemu domostwu począł.

— Już idzie jeden — rzekł Sablik.

— E! — rzekł Krzyś, który już wiedział.

Przyszedł potem drugi towarzysz Janosikowy i trzeci. Snać od domowej roboty szli; na jednego odzieniu trzaski pouczepiane były.

— Nie daleko mieszkają — objaśnił Sablik Krzysia.

— Je dy ten i djabła w piekle obudzi, kiedy gwizdnie! — rzekł Krzyś z zachwytem i począł podziwiać Janosikowych towarzyszy, pięknych, wysokich i potężnych, co gdy „staneni do prostej leniji, to jaze pachło!“ Jak buki na wiosnę.

— He, ci narobią mątu — szepnął do Sablika.

Sablik zaś pokiwał głową i zgrzypiał dalej na głęślach.

— Hej, krzesny ojcz — ozwał się Janosik Nędza —

zagrajcie nutę o tym jakimś Janosiku, co przede mną był, bo się mi wtedy dobrze myśli.

Przykręcił Sablik kołki, posmarował smyczek smołą, z kieszeni od serdaka dobył, i począł zaraz z polską z orawską śpiewać i na gęślach sobie nisko wspartych wtórować, stryjeczne zaś siostry Janosika, Krystka i Jadwiga, w głos za nim poszły. Słuchał Krzyś pieśni zbójckiej, której nie znał jeszcze i cudował się jej piękności. Oni, patrząc na Janosika, który na ławce pod jaworem siadł, ręce w przypory od portek założył i bosc nogi szeroko rozstawione na trawę przed siebie wyciągnął, podczas gdy trzech towarzysze jego za nim stojąc na ciupagach się wsparli, śpiewali:

Pod Jaworkem, pod zelenym,
orze Hancia wółkiem ciemnym.
Jesce skiby nie zorała,
matka na niom zawołała:
Hanciu, Hanciu pójdź sem dómu,
wydajem cie nieznom komu,
wydajem cie Janickowi,
i hroznemu zbójnickowi!
We dnie idzie, w nocy przydzie,
on nigdy nic nie przyniesie,
lem sabličku okrwawionom
i kosulke uznojonom.
Jano, Jano, kajeś ty był,
coś se sabličku zakrwawił?
Wyrubałek tu jedlicku,
co stojała w okienecku.
We dnie, w nocy hurkotała,
mnie smutnemu spać nie dała.
Kazoł Hanci kosulke prać,
nie kazoł jej bardzo płukać.
Hancia prała i płukała,
prawom rąkę ś niej wyjena.
W tej rucyce pięć palusków,
a na małym złoty piestrzeń,
w tym piestrzonku troja wrótka —
dyć to mego brata rućka!...
Nikomiu nic nie pedziała,
do matusie pob ezała.
Matko, matko, maci moja,

cy som bracia wszeczy doma?
A nie syčka. A pre keho?
Pre Janicka nomłodsego.
Juz w Luptowie wyzwaniajom,
Janosika łapać majom.
Juz w Luptowie wyzwonili,
Janosika ułapili.
Ułapili, juz go wiedom,
trzy dziewcatka za nim idom.
Jednej Hancia, drugiej Marcia,
trzeciej malowana Tercia.
Hancia płace, Marcia kwili,
Tercia sie mu trzymie syji.
Nie płac Terciu, serce moje,
co ty widzis, wszecko twoje!
Nic nie widzem, te horičku,
te niesczęsne siubienicku!
Kieby jo bęł dawno wiedział,
ze jo budziem na niej wisiał,
dałbyk jo jom odmalować,
srybłem, złotem wybijać.
Ode spodu talorkami
a od wierhu dukotami,
a na wierhu złotu kawku,
gdzie położem swoje hławku!

Janosik Nędza pozierał przed siebie w mgły, snąc kędyś daleko myślą będąc. A gdy ustali śpiewać rzekł do trzech swych towarzyszy:

— Lećcie po dobrych chłopów, co bliżej. A najprędzej do tych, co się ku mnie wpraszałi, powiećcie im, że im teraz nie odmówię, ale ich wdzięcznie przyjmę. Kto chce się mścić, niech idzie, a kto chce rabować, niech idzie też. Na dziś wieczór niech tu będą. A ja teraz idę spać.

Podniósł swą wspaniałą siłę i poszedł do domu legnąć na wygodnej pościeli, za nim zaś poszli ojciec i matka co trzeba było przygotować.

Trzej chlōpi po krótkiem porozumieniu ruszyli każdy w innym kierunku.

ROZDZIAŁ X.

Wieczór był jesienny. Przez przymkniętą okiennicę karczmy w Zaborni szparami błyskało światło; to Sieniawski siedział zamknięty w wybitej kobiercami, makatami i adamaszkami żydowskiej izbie i wiersze pisał.

Pod ten czas zaś lasami na czele kilkudziesięciu zbrojnych Podhalańców kroczył hetman zbójceki, Janosik Nędza Litmanowski. Obok niego szedł Sobek Topór milczący, jakby mu mowę odjęto, Marduła Franek i Nędzowi zbójcecy towarzysze nieodstępni, Gadeja, Mateja i Mocarny, wszyscy z rodu Stopków, siłacze, gwałtownicy i rycerze. Sablik i Krzyś postępowali w pochodzie, ale już nie grali. Kroczone cicho. Cicho, jak wilki, podsuwali się pod karczmę. Za przewodnika służył chłop z okolicy, a pochod umiał Janosik, jak ryś prowadzić. Karczma w Zaborni stała u dróg rozstajnych, samotna zupełnie.

Gdy światła dały się już zdala widzieć, Janosik rozdzielił swą bandę i oddał pojedyncze jej oddziały pod dowództwo swych towarzyszy, tak, ażeby równocześnie ze wszystkich stron śpiących dragonów i sługi napaść.

— Tylko śmiało, chłopcy, a bić! — polecał.

Sieniawski nie kazał stawiać straży, wzdawały mu się nietylko niepotrzebne, ale nawet uchybiające jego potężde. Wokół wojowano z chamami.

Dragoni, służba nocowali w skleconych naprędcie ba-

rakach. Otoczono ich pocichu, Janosik zaś, Sobek Topór i kilku innych podeszli pod karczmę.

Drzwi od sieni były niezamknięte. Janosik szedł na palcach, w prawej ciupagę, w lewej ręce kaganek dzierząc. Uchylił lekko drzwi od izby i ujrzał Sieniawskiego snem zdjętego.

Zawahało się jego mężne i rycerskie serce. Ale tuż za nim szedł Sobek, który rzucił się ku łożu z podniesioną siekierą w rękę.

Ciupaga Sobka Topora, w mig ciupagą Janosika ztyłu poderwana, stał pod osadzenie, zastanowiła się w powietrzu; siepnął Sobek toporzyskiem, ale Janosik Nędza Litmanowski dzierżył jego siekierę na uwięzi.

Obudzony krzykiem Sobka Sieniawski zerwał się ze snu i usiadł na łożu. Ale nim Sieniawski do pistoletów, co obok łoża na stole leżały, ręką sięgnąć zdołał, Sobek, nie zdarłszy ciupagi swojej z ciupagi Janosika, z gołemi rękoma nań się rzucił i pod gardło chwyciwszy na poduszkę go obalił, a ciupaga z brzękiem na ziemię padła.

Charczęc począł Sieniawski zdławiony. Moc mu zaraz członki odeszła.

— Sobek — rzekł Janosik, który stał zboku w izbie — nie rób mu nic! On mój, nie twój.

— Mój — ryknął Sobek.

— On mi dziadka zabił, dom okradł!

— Sobek — rzekł Janosik spokojnie — abo mnie słuchać musisz, abo się wróc, skądś przyszedł.

Sieniawskiego, bladego i wysiłonego, chłopci trzymali na łożu. Janosik wskazał chłopom trzymającym Sieniawskiego, kazał go strzec i wypadł w pole, skąd gwar walki go doszedł, chwyciwszy za rękę Sobka i ciągnąc go we drzwi. Na podwórku i wokoło karczmy bito się, a raczej dworzanie i dragoni bronili się przewadze górali w ciemności.

Trudno było rozeznąć człowieka od człowieka w nocy i we mgłach. Lecz Janosik kilkadziesiąt pochodni w kącie sieni stłoczonych spostrzegłszy, pochwycił jedną, drugą złapał Sobek — zapalili od kaganka.

— Podpalmy karczmę — krzyknął Janosik. — Będzie widniej!

Przytknęli więc pochodnie do słomy poszywającej dach karczmy, w której zaszli znienacka Sieniawskiego i jego śpiących żołnierzy i pachołków. Płomień się dał ujrzyć prędko; poszycie było suche od spodu.

Skoczyli w drugie; w trzecie, w dziesiąte miejsce — ze wszystkich stron podpalony dach buchnął płomieniem. Rozległ się wrzask i lament żydów arendarzy.

Z płonącej karczmy wybiegli chłopci i wywiedli Sieniawskiego.

Jak straszne odyńce, co kłami prują stado wilków z nimi sparte, mordowali dworzan i żołnierzy sieniawskich Gadeja, Madeja i Mocarny Stopkowie, Janosikowe towarzysze, a obok nich gruchotali im ciupagami kości Sobek Topór i Franek Marduła. Stary Sablik, gęśliki do rękawa od czuchy wpuściwszy, niedużą swoją na długim toporzysku ciupagą raz wraz w łeb dragona, czy dworzanina przebiegającego mimo szybko śmignął, a Krzyś z boku za płotem stał, skrzypce pod pazuchą, a ciupagę w garści trzymając i podziwiał. Podziwiał on nieopodal walczącego Janosika Nędzę, który zdał mu się być djabeł, nie chłopem. Janosik zresztą nie walczył żadną bronią — walił on ludzi człowiekiem. Ujawszy pod gardło i za brzuch dragona, grzmocił sieniawskich to nogami jego, to głową, jakby snopem bił. Padali sieniawczycy od uderzeń krwawego trupa żołnierza, któremu mózg na hełmie czymś wyprysnął.

— Jezus Maryja! — myślał Krzyś w zachwycie. — Jedy by ten człekiem młócił, jak drugi cepami!...

Niedługo bitka trwała. Janosik w łunie karczmy triumfował.

— Zbierajcie zdrowych! — krzyknął na górali.

Zabitych i ciężko rannych z pięćdziesięciu ludzi Sieniawskiego było przeszło dwudziestu, reszta się poddawała, broń rzucając.

— Ustawić zdrowych i takich, co iść mogą — rozkazał Janosik. — Zamglonych wodą lać!

Najwięcej zemdlnych od ciosu, ale zdrowych, lub lekko rannych, było tych, których on sam dragonem na ziem zwalił. Ci stanęli prawie wszyscy, gdy ich spędzano do kupy.

— Chłopcy! — zawołał Janosik do sieniawczyków. — Idźcie wszyscy swobodnie i z panem waszym! Powiecie światu, że ja się ruszył z pod Tater, Janosik Nędza Litmanowski, hetman zbójceki z Nędzowego Gronika w Polanach.

Poczem obrócił się do obok stojącego Mocarnego i rzekł:

— Ja wiedziałem, czemu ich nie bił ciupagą, tylko chłopem! Wyście ich pobabrali żelazem, a ci pójdą i powiedzą, który zaś jest dzielny zbójceki, tak się zwiastuje, jako ja!?

Kto szedł przy Janosiku, olśniewał. Albowiem nieporównany był to chód. Na całą Małopolskę rozniosło się imię Janosika Litmanowskiego, a całe Podgórze trzęsło się od jego imienia. Mścił on się jak szatan, raz się z pod hal ruszywszy, za to, że szlachta karając chłopów za rebelję Kostkową w zemście „od zmysłów odchodziła“.

Janosik chciał, aby mówiono, że znalazł swój swego i za okrucieństwa panów na poddanych z nawiązką płacił. Dwory i stodoły szlacheckie płonęły, często gęsto, naza jutrz po napadzie rano zgłiszczą zabudowań, trupy szla-

checkie w zgłiszczach znajdowano. Były pochody nocne, były i walki zęb w zęb, oko w oko.

Chłopi owiśle w rozpaczy głowy dźwigać zaczęli, a imię Janosika powtarzać jak święte.

Wesoły, swobodny, zuchwały i butny wojował Janosik. Nigdy przy nim nie brakło na obozowisku z pieśnią, gęśłami i opowiadką Sablika, nigdy ze skrzypcami Krzysia, a Gadeja, Mateja i Mocarny byli przy nim, jak wichry przy płomieniu. I tak się w kupę zbili z Toporami z Hrubego, co nie mówili do siebie i on ku nim, Franek Marduła.

Zarabiał on na pochwały Janosika. Bo bił się jak djabel, a kradł jak lis, jastrzęb i kuna razem wcielone w wilka.

I wszystko dobrze szło, póki chodził w Krzysio wych portkach.

Ale że się z niego śmiano, że ciasne i krótkie, a i Krzyś, swoje starsze drąc, o zwrot się pożyczonych nowszych przymawiał, postanowił Marduła o portki się postarać.

Uszyć nie było czasu dać, nie pozostawało nic, tylko ukraść.

Tak też Marduła namyślił i tak się zdecydował. Ale że i wybredny był i nie wypadalo jemu, tak pierwszorzędnemu rabusiowi i tak pierwszorzędnemu elegantowi byle czego kraść i w byle czem chodzić, ruszył na portki, od bandy się oddaliwszy, do samego bogacza sołtysa pod Kalwarją, gdzie się rzecz nie powiodła, gdyż Mardułę schwytano, jako podejrzanego o należenie do nieopodal grasującej bandy Janosika, choć się Marduła zapierał, oddano, aby go do Krakowa, do grodu zawiedli. Ale pan Rzeszowski lubił więźniów i Mardułę u siebie w zamku do lochu wrzucić kazał.

Gorzko i w smętku mu tam płynęły dni i noce.

Od strażnika jednego, człeka dobrego, dowiadywał się tylko od czasu do czasu, iż to w tej, to w innej okolicy Janosik Nędza Litmanowski się pojawił, dwór spalił,

szlachcica powiesił, zarząbał, lub za piątą granicę wystraszył, a wówczas żałość niewypowiedziana ścisłała Mardule serce na myśl, ile się tam nabito, ile dobra złupić musiano i miano okazję.

Dni i noce biegły Mardule w smutku i strapieniu. Sam on nie wiedział, jak długo już świata Bożego nie oglądał. Siedział ze spuszczone między kolana rękami, albo przez małe zakratowane okienko w lochu na skraweczek nieba spozierał.

Że był poetą, począł wiersze składać. On to w przystępie autoironji uzdał tę gorzką śpiewankę:

Dobry hłopiec, dobry zbój,
padnie listek, to sie bój!

(bo las prześwieca).

Padnie listek bukowy,
jużci zbójnik gotowy!

(bo z lasu zima wypędza).

Padnie listek z jawora,
hybaj Janko do dwora!

(bo w jasnym lesie złapia).

Zrazu składał wiersze krótkie o swej niedoli, aż raz pewnej nocy począł nucić cicho, żałosliwym głosem, — głośno nie było wolno — sam nie wiedząc, skąd się mu słowa i nuta snują:

Uświadczy teraz w więzieniu
po swyk uciehak, radości...
O jak w okropnem nudzeniu
ozmyśla teraz o wolności...
Stracił wolność z młodości,
jakże jej teraz załujem!
Narzekać musem, bo cujem...
Skowronek leci do góry,
a słowik w gaju nuci,
za coż mie kraty i mury
odłączać majom od ludzi?

O Boże, mój Boże, wyzwól ze mnie stela,
wyzwól ze mnie, z biętego kastela,
cobyk tu niesiedział, nik o mnie niewiedział,
jyno jeden Pan Bóg, Panienska Maryja...
Dała mie tu wsadzić jedna kanalija...

Za portki — dodał z goryczą.

Pewnego dnia usłyszał Marduła jakiś gwar i ruch. Weszło do kaźni trzech hajduków z latarnią, kazali Mardule wstać i przeprowadziwszy go przez loch, wewiedli w inne miejsce, wepchnęli i zatrzasnęli za nim drzwi żelazne.

Ciemniej tam jeszcze było, niż uprzednio. Słaby blask księżycy wmykał się skądś z pod sklepienia, zgóry. Mardułę taka rozpacz zdjęła, że miał płaczem wybuchnąć, gdy jakoby oddech czyjś posłyszał.

— Jest tam kto!? — zapytał pół z radością, że nie jest samotny, pół ze strachem: czy to nie duch sapi w ciemności.

Nic nie odpowiedziało.

— Jest tam kto? — powtórzył, ale również odpowiedzi nie otrzymał.

Zląkł się Marduła strasznie i począł pacierze odmawiać, do ściany przyciśnięty. I tak usnął.

Nazajutrz rano, gdy się obudził, dzień już był i było widniej w więzieniu. Marduła ujrzał w mroku starca z brodą białą do pasa, z włosami niżej ramion, siedzącego na wiązce słomy, rzuconej więźniom do spania. Odziany był lachmanami, przez które kościane ciało przeglądało.

Marduła wzdrygnął się na ten widok, ale i ucieszył. Nie był przynajmniej sam, co mu było straszne.

— Hej! — zawołał.

Starzec się nie odwrócił.

Głuchy je — pomyślał Marduła.

Zbliżył się ku starcowi, przed oczy mu przyszedł, ale starzec się nie ruszył.

I ślepy jest — pomyślał.

Dotknął go ręką.

Starzec drgnął lekko, ale się nie ozwał.

Niemowa, cy co? — pomyślał Marduła.

Jaki jest, taki jest, zawdy lepsi, cok nie sam...

Poprzednio Mardule strażnik jeść przynosił, tu chleb i wodę na lince zgóry spuszczo. Starzec, który nieruchomo siedział, śnać porę i miejsce znał, bo równocześnie, gdy bochenek chleba i dzbanek z wodą przed nim się zakolysały, on ręce po nie wyciągnął. I Mardule podobnie strawę przysłano.

Probował Marduła zwrócić na siebie uwagę starca, ale nadaremnie. A gdy się dobry strażnik, który dbał o to, aby Marduła za żywa nie zgnął, pojawił, opowiedział, że gdy on do więzienia nastał, lat temu trzydzieści, już człowiek ów tu siedział tak dawno, że nikt nie pamiętał, kiedy go zamknięto, ani zaco. Podobno za dziada obecnego dziedzica do lochów go wtracono. Skąd był, kto, już nie wiadomo. Panowie Rzeszowscy zawsze lubili więźniów.

— Nie słyszy? Nie widzi? — pytał się Marduła.

— Zdaje się, że nie.

I znowu Mardule począł biec czas jednostajnie, tyle tylko, że na starca patrzył, który znać zupełnie sprawy sobie nie zdawał, iż towarzysza niewoli mu dano.

Aż raz Marduła z rozpaczy śpiewać na całe gardło zaczął. Nie śpiewał on, ale wył, ile mu sił w piersiach starczyło. Chciał się zawyc na śmierć — skrós Krzysiowyk portek...

I wówczas wydało mu się, że starzec drgnął i głowę wzniosł nieco.

Marduła śpiewał dalej: śpiewał o górach, o lasach, o zbójctwie i kochaniu, o bitwach, o kopalniach srebra i żelaza i o juhastwie w halach, o ptakach i zwierzętach, o wodzie i ogniu, o robotach w polu i ścinaniu drzewa — śpiewał wszystko, co było życiem górala i ubrało się

w pieśń. Starzec jakoby słuchał i słyszał, a gdy Marduła, jak wilk raniony zawywszy na końcu, na garść swojej słomy się prasnął, starzec pół jęknął.

Zerwał się Marduła na równe nogi.

— Mówicie!? — krzyknął.

Lecz starzec milczał.

Marduła przypadł ku niemu, za rękę go uchwycił. Starzec zdawał się nie czuć. Jął teraz śpiewywać Marduła na cały głos często. Snać go z lochu nie słyszano, darł się więc wniebogłosy. I razu pewnego usłyszał słowo starca: dawno...

Wydało się Mardule, jakby mu kwiat na ucho padł. Przyskoczył ku starcowi i ujrzał dwie łzy, płynące mu po twarzy.

— Żyjecie!? Czujecie!? — wrzasnął rozradowany.

Starzec jakby mocował się z sobą i wykrztusił znów: dawno...

A potem wysilił ze siebie:

— Śpiewaj...

I czas biegł, dni, tygodnie, miesiące, czy lata — — Marduła nie wiedział. Śpiewał w kaźni, a starzec śnać słuchał, na słomie siedząc.

Aż razu pewnego ozwał się chrapliwie:

— Skądś ty?

— Z gór! — krzyknął Marduła.

— Wiem — ale skąd?

— Z Olczy.

— Z Olczy... — powtórzył starzec. — Woda...

— Jest woda — zawołał Marduła.

— Las...

— Czy znacie?...

— Znam — wykrztusił starzec.

Marduła jak długi do kolan mu przypadł.

— Dziadku! — krzyknął. — Wyście z gór!?

— Z pod Tater — odpowiedział starzec.

— Skąd!?

— Z Leśnice...

Więcej tego dnia nie mógł mówić. Snać gardło odwykło od wydawania głosu i język od składania wyrazów. I po tym jednym momencie jęki tylko niezrozumiałe przez długi czas z ust starca się wydobywały, aż znów pewnego dnia ozwał się:

— Lato...

Rany Boskie! — pomyślał Marduła. — Czy ja tu od jesieni już do lata przesiedział!? Czy może więcej roków!?

— Lato — powtórzył starzec — owce w halach...

— W halach...

— Dziewięćdziesiąt roków...

— Tu siedzicie?

— Tak!

Mardule się tak serce ścisnęło, że nie zważając na wstrętne ciało starca, za kolana go objął.

— Dziewięćdziesiąt roków nie mówiłem.

— Nic!?

— Nic.

— Ja myślałem, żeście niemowa i głuchy!

— Ja był głuchy i niemowa, aleś ty mnie pieśniami obudzil... Ja się słowa po słowie uczył... Jak dziecko...

— Boże jedyny!

— Tak! Uczyłem się. Zrazu nie mogłem nic rozróżnić... Słyszałem jeno głos... Ale nie rozumiałem nic... Takie uszy były, jak ze żelaza... Potem słowo... Jedno... Dru-gie... Mąciło się... A coś mi się przypominało... Świat... Las — drzewa... Słońce — jasno... Woda — płynie, szumi... Ciupaga... Hala — owce, pies, juhasi, turnie... Tak mi się przypominało jedno po drugim... Słowa i świat... Bo ja dawno nic nie widział... Dziewięćdziesiąt roków... Tak...

— A widzicie?

— Widzę chałupę swoją... Wóz... Konie dwa—cisawe...

— Ale mnie tu? Przy was? Wiedzicie?

— Nie.

— A zaco was tu zaparli?

— Zaparli?... Do lochu?... Zaco?... Drzewo ścinać zgodzili... Dziewka była panowa... Zakochała mnie... Dawno... Już nie wróci do Leśnice...

— Ile wam roków?

— Ja rachował czas... Dni... Po jadle... Raz do dnia... Co urachował rok, tom doliczył... Pierszy dziewięćdziesiąty idzie... Miałem trzy dwadzieścia...

— No to wam, poczekajcie, sto trzynaście roków?

— Będzie...

— Jezus Maryja!

Mardułę przeszedł dreszcz lęku, jak od trupa.

A starzec mówił:

— Ona była tu!... Za ścianą... My się słyszeli... Płakała... Trzydzieści roków i dwa...

Umilkł starzec i Marduła umilkł od zgrozy.

I znów milczenie ogarnęło Mardułę, starzec mówić przestał, aż po paru tygodniach w nocy poczuł Marduła, że go coś za ramię ciągnie.

Zląkł się i krzyknął:

— Kto to?

— To ja — odpowiedział starzec w ciemnościach. — Gadaj...

— Co?

— Jak tam — — u nas... Ja tu dziewięćdziesiąt roków gnił... W lochu... Ja tu drzewo ścinać przyszedł... panu... Nie wróciłem... Jak tam... u nas?... Jaby tam na kolanach szedł... Ziemie całował... Jaby na ziemi legł, piersiami przywar... Jaby tam — — wodę widzieć chciał... Drzewa sumiom — — jedle — — smreki — — lipy... Zwonki gra-

jom... Gwary pełno... Wszędy — gadajom... Jaby na ziemi
leżał, piersiami przywar... Jaby na kolanach tam szedł...
Ziemia cudowna... Świat...

Marduła jał płakać.

— Gadaj mi... Zielono... Trawa zielona... Otawa...
Jak pokosisz... otawi sie... Owies siać... Pług... Jeździli-
śmy do jarmaku... Zboże kupować... Zarno... Dawno...

Łuk... Strzelajom?... Z łuków?... Niedźwiedz w gar-
dło... Z proce w oko... Gęsie pierza na strzale... Ja umiał...
Bez oko w móżg...

Gadaj... Kijaniom chusty prać... Peu, peu, peu, pac!
pac!... Baby pierom... Pierujom?...

Białe rańtuch na niej... Kyrpocoski... Chustka jedwa-
bna — — z odpustu... Gorset... He... Dziewczęta — —
w polanie... Kiej kwiaty... Niebo — — tam... Turnie...
Skały... Wysoki... Het...

Podniósł rękę nad głowę.

— Het... Wysoko... Słońce...

I runął na barłóg. Marduła poskoczył ku niemu. Sta-
rzec się rozśmiał i skonał.

Naówczas Marduła ukląkł nad nim, przeżegnał się i mó-
wić począł:

— W Imie Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen. Dzię-
kujem Ci, Panie Boże, cok się bez portki Krzisiowe tu do-
stał i ze skroś tych portek ten stary człowiek śmiejący sie
umarł. W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.

ROZDZIAŁ XI.

Ksiądz opat tyniecki, biskup Pstrokoński, spokoju od śmierci Kostki Napierskiego nie miał.

Brzmiały i grzmiały w myśli słowa Kostkowe: kędyś trucizna jest, co duszę i ciało polskie zatruiła... od stóp do głowy rak toczy — Orzechowskiego słowa, przez Kostkę powtórzone onego wiosennego dnia w Tyńcu...

A rak toczył Rzeczpospolitą, toczył ją od podeszwy stopy do wierzchołka głowy. Aleksy Michajłowicz aby przeszkodzić, by Chmielnicki z kozakami miast jemu, nie poddał się sułtanowi, ruszył „w obronie wiary prawosławnej“ i pobiwszy przez kniazia Czerkaskiego i kozaka Zołotarenkę hetmana polnego litewskiego pod Wilnem, do Wilna wjechał i wielkim księciem litewskim się nazwał. Wycięto Swisłocz i Kojdanów, zajęto Mińsk, Połock, Dyneburg, Kowno, Grodno; Chmielnicki z kniazem Buturlinem oblegli Lwów; Lublin zajęli kozacy.

Karolowi X Gustawowi poddali się i przysięgli bez dobycia szabli wojewoda poznański, satyryk Krzysztof Opałiński i wojewoda kaliski Grudziński pod Ujściem z dwudziestu dwu tysiącami pospolitego ruszenia przeciw siedemnastu tysiącom, które wiódł ze Szwecji graf Wittenberg i zdrajca Radziejowski. Owszem — gdy Poznań bronić się chciał, wojewodowie wymusili murów otwarcie. Radziwiłłowie na Litwie poddali się Karolowi Gustawowi i przysięgli. Warszawski magistrat zbudował nową bramę i usta-

wił na wałach dwadzieścia sześć armat, ale za trębaczem szwedzkim z listem wysłanym ruszył konno i wożno i za Wolą klęczący królowi szwedzkiemu się przedstawił. Stefan Czarniecki w Krakowie nie zginął, jak Leonidas, ale kapitulował Koniecpolski, Dymitr Wiśniowiecki i Stanisław Rewera Potocki z piętnastoma tysiącami żołnierzy poddali się Szwedom i przysięgli.

Fryderyk Wilhelm II, elektor, za hołd, złożony w 1640-ym, Wielkopolskę chciał zabrać.

Jan Kazimierz uciekł na Śląsk z ojczyzny.

Rzeczpospolita ginęła w odmętach.

Zalali wrogowie kraj. Łupiono miasta, rabowano dwory i pałace, obdzierano mieszkania królewskie, nie było kąta ziemi polskiej niedeptanej stopą najeźdźcy. Lecz broniła się Jasna Góra i wieść o tem po ludzie szła. Lud dźwigać się począł.

Leżał Janosik Nędza Litmanowski z bandą swoją w szalasach pasterskich w lasach pod Babią Górą.

Trzy lata wojował on ze szlachtą i ustać ta wojna nie chciała, ani nie mogła, bo Janosik na szlachtę napadał, szlachta na Janosika polowała. Ale mu dorównać nie mogli. Na złotogłowiach Janosik po lasach sypiał, małmazję pijał i słodkie ciasta jadał i śmiał się. Wesoło mu było, bo zwyciężał.

Banda jego, z kilkudziesięciu ludzi złożona, ciągle nowymi siłami odświeżana, mogła była regularnemu wojsku cesarza za wzór służyć karności i sprawności.

Migiem Janosik wydawał rozkazy, a rozumiano je i spełniano.

To też setki ludzi liczące chorągwie pańskie i biskupie i wojsko kwarciane nic mu uczynić nie mogły, owszem pod bokiem żołnierzom łupił, palił i wieszał, nie gorszy szlachty wróg od kozaków, Rosjan i Szwedów.

Ale chłopci polscy go błogosławili.

Gdzie się pojawił, tam kończyła się krzywda, bezprawie i ucisk, a nawet nędza i głód. Bo Janosik złych panów tłumił, a biednym ludziom hojną ręką sypał srebro i złoto złupione. I szeroko rozślął po Małopolsce białorucy hetman zbójecki, w pasie o złotych klamrach i złoconej czapce.

Ale cofnął się Janosik w lasy górskie, albowiem zaęściło się od szwedzkiego żołnierza.

Przypadł w lasach i czekał,

*

Księdzu opatowi tynieckiemu brzmiały i grzmiały w uszach słowa Kostki: wstań! weź krzyż! pastorałem nową Polskę zbudź!...

I w celi swojej na Tyńcu, na śniegami pola przyprószone patrząc, rozmyślał on, coby dla Polski uczynić mógł. A w cudowną obronę Jasnej Góry patrząc, przeczucie miał, iż stamtąd zbawienie i ocalenie przyjdzie. I zrozumiał, że aby Rzeczpospolita się dźwignęła, głowy jej trza.

Głowa ta była na Śląsku, zagranicą, i sprowadzić ją trzeba było.

Lecz jak? Szlacheckie hufce jej nie zwiodą, bo ich nie stało.

I znowu przypomniała mu się mowa Kostki:

Na jedno słowo wasze, biskupi, na widok krzyża we waszych rękach — my zwyciężcie!...

Myślał ksiądz biskup Pstrokoński, że jeżeli kto króla ze Śląska do kraju powrócić może, to jeno chłopci, góralscy, że bez ich pomocy przez góry i wąwozy górskie nie przewiedzie go ze Śląska nikt.

I myślał ksiądz biskup Pstrokoński, że jeżeli głową Rzeczypospolitej jest król, ramionami magnaci i duchowieństwo, piersią szlachta rycerska, to brzuchem siłę członkom dającym i nogami, na których ciało Rzeczypospolitej stoi, są chłopci.

Dochodziły go wieści, że król pod wpływem cudownej obrony Jasnej Góry do kraju chce, że się doń rwie, że powiada, iż polegnie w ojczyźnie, ale jej więcej nie opuści.

Wielekroć biskup Pstrokoński rozmyślał, czy dobrze uczynił, pomocy swej synowi Władysława Czwartego, Leonowi Kostce odmawiając? Czy nie byłoby to zbawieniem dla kraju, gdyby król chłopski, jakim się być Kostka zapowiadał i głosił, na jego tronie zasiadł, czy nie byłoby to zbawieniem dla kraju, gdyby owa ciężka i pono jedna ze straszliwych w Europie niedola chłopstwa polskiego skończyła się była? To niewątpliwem było, że ogromne masy chłopskie, raz przeciw szlachcie zbuntowane i ruszone, mimo zbroic i waleczności zalałyby ją były, jak ją zalał Chmielnicki na Ukrainie. I to pewnem było, że za królem, któryby był ich dobrym ojcem i przeciw okropnemu uciskowi szlachty idący chłopcy byłiby nietylko Chmielnickiemu piędzi ziemi urwać z granic Rzeczypospolitej nie pozwolili, ale byłiby tych granic niezłomną ochroną się stali. Myślał ksiądz Pstrokoński, zali dobrze zrobił w on dzień wiosenny Kostki wysłuchać nie chcąc, zali nie było drogi połączyć posłuch dla Rzymu z nowatorstwem politycznym, niesłuchaniem, a jednak może dla Polski do gruntu, do podstaw zbawczem?... Zali może ów Kostka, ów nieprawy syn nieboszczyka króla, tyle chłopstwu przychylnego, nie był zesłańcem Opatrzności, któremu marnie szczeznąć dozwolono?

Cokolwiek bądź, królem polskim był Jan Kazimierz.

I szalona biskupowi myśl do głowy przyszła: oto Janosika Nędzę w Beskidzie odszukać i zeń wprowadziciela królewskiego do granic ziemi polskiej uczynić.

Za natchnienie Boże to sobie później biskup miał i myślał, że Szaweł stał się Pawłem i że przez łotrów dzieje się wola Boska, a nawet i dzieją się rzeczy święte.

I nie mieszkając, jakoby jasnowidzeniem jakimś ten mąż pobożny i nad niedolą ojczyzny splakany, iż łzy mu,

jako druga Wisła płynęły po licu, ujęty, do sanek pewnego grudniowego dnia zaprząc kazał, opactwo swoje na czas księdzu Silvie, Hiszpanowi, zdał i samotrzeć z pachołkiem woźnicą i strzelcem gajowym, rusznic od wilków, lub i ludzi do sań nabrawszy, ku Beskidowi ruszył.

Trudno się o Janosika dopytać było, jedno że on z lasów wychodził, ale gdzie w lasach przebywa, nikomu nie obwieszczał, drugie, że chłopci zdradzić jego pobytu nawet księdzu nie chcieli.

Podprowadził księdza Pstrokońskiego pod obozowisko Janosikowe leśny pana Zebrzydowskiego z Zawoi i ukazał kierunek, w którym się udać trza, aby do obozowiska Janosikowego na polanie dotrzeć.

— Niech was Bóg prowadzi, jegomość — rzekł — dojedziecie tą leśną drogą, małe pół mili stąd. Ale wy to gorzej wilkowi — djabłu w gardło lezicie!

— Za wolą Pana naszego Jonasz z wnętrzości wieloryba, a Daniel z lwiej jamy wyszedł — odpowiedział mu biskup Pstrokoński i kazał ruszyć w górę.

Droga była leśna, którądy chłopci nawóz z polany w zimie na saniach z osłonami zwozili, bo wozem przejechać byłoby niesposób. W jar wjechało, że często popod drzewo przezeń górą przewalone, jako pod „arcem triumphi“ przejeżdżać trzeba było.

Pachołek po lewej, gajowy po prawej ręce drogi przed saniami szli i śnieg kapcami deptali, bo konie na beztorze byłyby nie wyciągnęły, a w lic je, jeden przed drugim zaprzężono, aby zbyt bokami nie zapadały. Cugli trzymać nie było trzeba; jedna tylko droga była i konie za ludźmi szły, a biskup biczem śmigał i pokrzykiwał.

Straszny to las był i dziwował mu się biskup niepomiernie. Olbrzymie drzewa w nim rosły splecione gęstwą, igły z liśćmi, a najwięcej smreki z buczyną. To też nietylko tropy, ale i stada dzików i pojedyncze odyńce i wycinki

zgoła na bliskie oko jadący widzieli i nieraz konie spłoszone za uzdy łapać trzeba było. Wilki się ukazywały, ale je strzałami z pistoletów odganiano.

Zdawały się też znać mores przed ludźmi, co sobie biskup bliskością bandy Janosika, która pewnie nie żartowała z nimi, tłumaczył.

Niedźwiedzich śladów też moc wielką spotykali, ale te ślady na dawno nie kurzącym śniegu zastęgle były i uważali, że niedźwiedzie już spać pod wykrotami dawno musiały.

Godziny całe jechali już i już popołudnie nadeszło, biskup się uspakajał w duszy, że przecie takie pół mili i pięciu krakowskim milom wyrówna.

Wtem chłop mu zastąpił wysoki, barczysty, a śmigły, a za nim trzech innych, zbrojni wszyscy w ciupagi, noże pistolety i rusznice.

Ścierpł biskup, choć poto, aby się ze zbójami zobaczyć, jechał.

— A kaj to jadam? — zapytał wysoki chłop, przystępując zbliska.

Cóż za surowy widok! Włosy po ramiona, twarz od mrozów i wichrów zapiekła, dymem i żarem ognisk ogorziała, czapka na nim barankiem obszyta, z uszami, z suknianiem granatowem dnem, z kutasem czerwonym u góry, ze złotemi czterema galonami na sukno dna w gwiazdę od kutasa naszytemi, kozuch rozchylony, krótki, a pod tem widno pas klamrzysty — portki w kopcach z sukna białego do kostek, a powyżej ponad nie prześliczne granatowo i czerwono wyszywane z białego sukna również „pończochy“ się wydobywały. Rękawice też białe, o jednym palcu, wielkim kunsztem z wełny białej, czerwonej i granatowej plecione.

Wszystko to jasno, choć las był, od śniegu odbijało i biskupowi w oczy wpadło.

— Dokąd jadą?

— Do Janosika Nędzy.

Zdumiał się chłop, jakby źle słyszał.

— Dokąd?

— Do hetmana, Sobku, powiadają — ozwał się góral za przewodcą stojący.

— Do hetmana? Ależ tam nikt niemoże iść.

— Jam ksiądz, opat tyniecki, biskup — rzekł ksiądz Pstrokoński — i samotrzeć, jako widzicie, jadę, a nie puście mnie nazad, choćbym zaprzysiągł, że nie wydam, to wasza wola.

Pozdejmowali chłopci czapki, popatrzyli na siebie.

— A po co?

— Prośbę mam.

— Do nas tylko chłopci prośby mają.

— Mam ją i ja.

Popatrzyli chłopci znowu na siebie, podejrzliwie i nieufnie, ale ten, co się wpieryw odezwał, przemówił:

— Puśćmy ich jechać, Sobku, skoro tyle w las wjechali, a i pewnie skądś zdaleką jadą. Że to ich tylko trzech, a jaką prośbę mają i za biskupa się głosom.

— No, to jedźcie — rzekł Sobek.

— Idźże ty Kuba z nimi, coby wiedzieli na szafasie, że my się widzieliśmy.

Ruszył chłop owy przodem.

— Warta? — zapytał go gajowy biskupa.

— Hm — mruknał chłop. Pytać nie było poco.

— Wojskowy u nich moderunek — pomyślał biskup. — Grzeczna czata, że lepszejby i pan Jan Chryzostom Pasek z Gosławic nie sformował...

Rozwidniło się przed biskupem i dachy ujrzał.

— Tu to będzie — pomyślał i mimowolny dreszcz go przeszedł.

Niebawem też zobaczył szafasy i szopy wielkie; dym

bił nad dachy. Polana była szeroka, lasem dookoła otoczona.

Wysypali się chłopci naprzeciw w zdumieniu niezmiernem.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — pozdrowił ich biskup.

— Na wieki wieków! — odpowiedzieli. — Kuba, a to kto?

— Biskup.

Poodkrywali chłopci głowy, wraz też Janosik Nędza przed szałas bacowski wyszedł.

— Hej tam! Kto jedzie? — zapytał.

— Biskup.

— Biskup? Jaki? Skąd?

— Z Tyńca! — zawołał ksiądz Pstrokoński. — Opat benedyktyński, tyniecki!

— Witajcie! A czego szukają!

— Janosika Nędzy Litmanowskiego.

— Ja tu — rzekł Janosik.

Biskup podjechał już popod szałas.

— Proszę niech raczą. Tylko ostrożnie, bo próg wysoki, a ocap niski — zapraszał Janosik, pomagając biskupowi wysiąść. I do ludzi swoich wskazując konie i służących biskupich się zwrócił: — wziąć, jeść i pić, postawić w ciepło!

Wstąpił biskup do szałasu ponownie Pana Boga chwając, a z szałasu mu: „niechże będzie“ obsiedli koło ogniska chłopci odpowiedzieli.

— Proszę. Niech siędną — zapraszał Janosik, podając siedak samorodny, trójnożny.

Jeść i pić przed biskupem postawiono: mięsiwo, pieczeń jelenią i wino i miód, że lepszych i w Tenczynie za panów Tenczyńskich, co w złotych strzemionach jeździli, nie pijano.

— Z zacnych to piwnic zrabowane — pomyślał ksiądz Pstrokoński, smakując. Pił, jadł, gościnnie i godnie traktowany, i pozierał dokoła. Szałas zaopatrzone na zimę, mchem szpary utkano, a watra paliła się taka, że i w najcieńsze mrozy można się było przy niej zagrzać. Na ścianach wisiała broń, po domach porabowana szlacheckich, i makaty stamtąd poznoszone. Ludzie zaś, którzy księdza otaczali, dziwne na nim czynili wrażenie: dzicz z jakąś górnością malowała się w ich twardo rzeźbionych twarzach, a obejście ich miało cechę rodzimej dworności, u prostaków nie spotykanej.

Patrzył ksiądz opat Pstrokoński na Janosika, ten się go zaś delikatnie nie pytał, poco go widzieć chciał, aż sam mówić zacznie.

Aż ksiądz Pstrokoński nagle wstał, przeżegnał krzyżem ponad głowami obecnych i rzekł podniesionym głosem:

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen. Zbójcy wy jesteście!

Uczyliło się cicho w szałasie. Aż po chwili odparł Janosik, nie wstając z ławy pod ścianą, na której siedział, nogi wyciągnąwszy ku ogniu:

— Księżę biskupie, czyście poto przyjechali?

— Zbójcy jesteście — wołał w uniesieniu ksiądz Pstrokoński — rabusie, podpalacze i morderce!

Nie potoż przyjechał, sam się owładnąć nie mógł, uniosło go oburzenie na łotrów.

Janosik zaś rzekł:

— A panowie Cikowscy, Lanckoroński, Stadniccy, Bylina, Leszcz, co z chłopów żywcem pasy darli, batami zabijali i dobytek chłopski psami gończymi zażerali, byli co?

Zmieszał się i stropił biskup, bo wiedział, że Janosik prawdę mówił. Ów zaś wstał na całą wysokość swoją,

głową pod pułap sięgając, śniady na orlej twarzy i potężnym głosem przemówił:

— Ja se w Polanach, we wierchach siedział, a jakem zbójować szedł, to na Węgry. I ludziom biednym jeść dawał, bo zbójnik świat równa i nato go Pan Bóg stworzył i opiekuje go. Ja tu do Polski nie szedł. Ale przyszli ku mnie z płaczem i lamentem, przyszli chłopci tacy, jako i ja, i na panów o pomstę wołali. Ja tu chłopów przed panami bronić i na panach za chłopskie krzywdy mścić się przyszedł. Rąbusia, podpalacza i mordercę mi ksiądz biskup zadają — no to bierz krzyż i przed chłopami stań i broń ich! Haj!

Grzmotem słów nappełnił Janosik Litmanowski babcówkę zawojską.

Ksiądz Pstrokoński zaś wznosił ręce do góry i zawołał:

— A jako Szawła, w Pawła Pan zamienił, tak ja cię zbójceki herszcie, w króla obrońcę chcę zmienić!

Pojrzeli na siebie chłopci; nie rozumieli mowy.

Biskup Pstrokoński wołał:

— Pan nasz i ojciec, nas wszystkich, król Jan Kazimierz na Śląsk przed Szwedami uszedł. Najświętsza Panna Marja klasztor Jasnogórski ocaliła i duch w narodzie się dźwiga, otucha w zwątpiałe serce wstępuje. Już się miejscami nawet chłopci ubodzy, prostaczkowie, podnoszą, wrogów wdzięcznie z pobożności ku Najświętszej Pannie biją. Król Pan powrócić pragnie, na czele rewolucji przeciw najezdnikowi szwedzkiemu stanąć. Na Śląsku on cesarskim w Opolu siedzi, stąd niedaleko, za górami. Górale! I wyście chłopci! Króla do Polski przez wasze góry wprowadzić trza!

A na to Janosik, który był usiadł i nogi ku watrze wyciągnął, rzekł:

— A mnie do tego co?

— Jakto co!? — zawołał ksiądz Pstrokoński. —
Wszakżeś ty Polak, Polski Rzeczypospolitej syn!

— Ja jest Polak, a tam, za Tatrami, Luptacy i Węgrzy;
a dołu Lachy.

— Jakie Lachy?

— Ci, co ku Krakowu i w Krakowie mieszkają.

— To przecie właśnie Polacy! Bracia twoi!

— Moi bracia, góralscy, w kyrpcach chodzą. Lachy to
odmienny naród.

— Wszakże mowa ta sama!

— Kiedy to i ryby mają mowę tą samą, żadna nic ni-
jako inaczej jako druga nie powie, a pstrągowi głowacz to
brat? Albo łososiowi brzana?

— Ależ człowieku! Przecie król wspólny nad wszyst-
kimi!

— No to i niedźwiedź gazda Tatrom, a bez to kozica
z liszkom wraz wody pić nie chodzą.

— Nie kochacie króla naszego!

— Ja go nie widział.

— Nie chcecie potrzebującego pomocy wesprzeć?

— Kiedym ja z Polan zeszedł i cztery lata potrzebu-
jących pomocy wspieram.

W uniesieniu jął ksiądz biskup Pstrokoński o królu
opowiadać. Jak w Warszawie na zamku żył, jak władał
i panował, jak uciekać i tułać się musiał, aż Gadeja, który
w kącie na ławie leżał, ozwał się:

— Wygląda to tak, jakkieby gazdę z chałupy wy-
ścigali.

Na co rzekł Krzyś przez nos:

— Terażeście Tomasio mądrze powiedzieli. Wy macie
rozum!

Zaś Janosik, gazdowski syn, podniósł głowę i po-
wiedział:

— Gazdę nikt z chałupy wyścigać nieśmie.

Zwrócił się ksiądz Pstrokoński na ten Janosikowy ruch.

— No, ale tu właśnie tak, tu właśnie tak! — zawołał.

— Szwedzi króla z kraju, jako gazdę z gazdowstwa wygnali!

— To nie jest w porządku — rzekł Gadeja. — Król to król. Wyganiać go nikt nie powinien. Tu niema sprawiedliwości.

— Ani słychu o tem — dodał Krzyś sentencjonalnie.

— He! — ozwał się na to żywo Janosik. — Ja nie pozwolę! Zbójnik świat równa! Toby niemialo być.

— No widzisz, widzisz — zawołał biskup — a ono jest, jest! Widzisz!

— Gazdowi w takim nieszczęściu się godzi pomóc — rzekł Gadeja — nie dopieroż królowi.

— No — przytwierdził Mocarnego Wojtek, łupiąc ziemniak z łupy.

— Haj — przyświadczył Mateja po towarzysku.

Janosik spojrział po towarzyszach.

— Jakoż uważacie?

— Król to król — rzekł Gadeja.

— Polski — dodał Mocarny.

— Nasz — Mateja.

Janosik pomyślał chwilę i odezwał się:

— To rzecz. Gazdę wyścigował nie będziesz. Kieby się tu do mnie obrócił, jaby go bronił. Jastrząb be bronił jastrzęba, kiedy mu puhacz młode bierze. Chłop ku chłopu. Jakby na to, padło, jaby króla bronić szedł. I towarzysze za mną.

Rzucił się ku niemu biskup Pstrokoński i w objęcia go chwycił.

— Zbawionym ty jeszcze będziesz! — krzyknął. — I pamięć twoja nie zaginie! I król nagrodzi!

— Ja o nagrodę nie stoję — odpowiedział Janosik. — Mam swojego dość, jeszcze zwysze. Ba tu o inną rzecz

idzie. O prawo. Ja tu ze cztery lata chłopskiego prawa
broniał i królewskie prawo jest.

— U mnie krótko. Jutro ledwie świt, idziemy na
Szwedów. Niech ich będzie ile chce. A dziś, kiedy mamy
gościa, a i jeszcze ich biskupią miłość, niech tu będzie we-
soło! Dorzućcie na ogień!

A gdy watra płomieniem dachu sięgać jęła, a wino
złote, woniejące, z piwnicy pana Pongracza, pana na Miku-
łaszu Luptowskim, potokami ze srebrnych, w kryształe
rżniętych, złoconych i szczerozłotych szlacheckich puha-
rów popłynęła i ochota okrutna, jako zwykle przed wy-
prawą, jeszcze tak straszną i niezwykłą, ludzi ogarnęła,
poczęły się snuć opowieści jedna za drugą, osobliwie zaś
stary Sablik i Krzyś cuda prawili.

Tańczyli chłopci w jednym miejscu, bo miejsca skąpo
było, drepcąc i podskakując, a ksiądz Pstrokoński dziwił
się zarówno dzikiej monotonnej, zapamiętałej muzyce, jak
i równie dzikiemu, monotonnemu a zapamiętałemu tańcowi.

A gdy sen morzyć wszystkich począł i spać się jedni
porozchodzili po szopach, drudzy w szałasie poukładali,
ksiądz biskup szparą, którą dla dymu w ścianie szałas
między drzwiami zostawiono, odmawiając modlitwy, na
świat Boży jał patrzeć.

Zawinał się we futro. Jakże mu dziwnie było... W ob-
cym miejscu, w dziczy, pośrodku lasów ogromnych, wśród
nietylko obcych ludzi, ale zbójów, wilków i niedźwiedzi...
Groźne, potężne chłopcy chrapały pozawijane w kozuchy,
dery, futra porabowane i makaty wokoło niego. Dym
z watry gryzł w oczy, piekł żar w jeden bok, gdy w drugi
noc mroziła. Jakże daleko była wygodna cela klasztorna
w Tyńcu, gdzie chłopak służebny drew do pieca dokładał,
a łoże spokojne i wygodne było.

Ale oto jutro miał być dzień wielki... Miał król polski
przez chłopów być wprowadzony w granice swego kraju...

Ach! — myślał ksiądz biskup Pstrokoński w drzemotę zapadając. — Zali jeszcze kiedy chłopci polscy większego, niżli ten i srożej i przez większych nieprzyjaciół wygnanego z królestwa swego króla na rękach swoich nazad do kraju nie wniosą?

Zali nie przyjdzie czas, kiedy tak sroga opresja spadnie na Rzeczpospolitą, iż stan szlachecki nie starczy na jej obronę, ale ile rąk mocnych w niej, tylu do zbawienia swego potrzebować będzie? Zali w srogim terminie szlachta nie będzie szukała chłopskiego hetmana, aby ratował, bo Rzeczpospolita tonąć będzie w morzu klęsk?

A klęski te i upadek przepowiadał wielki kaznodzieja ojca Jana Kazimierza, ksiądz Piotr Skarga Pawęski...

ROZDZIAŁ XII.

Janosik, przy nagromadzonych łupach straż w lesie babiogórskim na polanie zostawiwszy, ruszył o świcie na czele bandy. W pośrodku, na sankach, ksiądz biskup Pstrokoński, jadąc i pacierze ranne odmawiając, a Boga o powodzenie imprezy prosząc, podziwiał siłę, zwinność, lekkość Janosikowych opryszków, w każdym ruchu wśród ciężkiej drogi się objawiającą.

Zabawiał Krzyś księdza biskupa, aż i droga się wywinęła, którędy ku Krakowu wracać było można. Opuścił ksiądz Pstrokoński bandzie Janosikowej grzechy i pobłogosławił, chłopci go w ręce całowali, a gdy się pożegnano, wziął się Janosik ku Spiżowi, którędy słuchy szły, iż król ma do Lubomli, do pana Jerzego Lubomirskiego, wielkiego marszałka koronnego, jechać, aby stamtąd akcję zaczepną przeciw Szwedom rozpocząć.

Ostrożnie postępował Janosik, szpiegów rozsyłając, aby królewskiego gazdę tem pewniej na gazdowstwo wawelskie wprowadzić. Im dalej ku Wschodowi, tem śniegi były mniejsze, a twardsze, tak, że co pod Babią Górą po kolana zapadać trzeba było, to poza wytok Jaworowej Doliny raczej trza było raki żelazne pod kapce przyprawić, bo się ślizgały. Gdy też Janosikowi Gadeja i Mateja wieści donieśli, iż Szwedzi, o przekradaniu się króla powiadomieni, w wąwozie nań pod Magórą Spiską czatować mieli, w mig Janosik plan walki powziął, a siła się już

chłopów ku niemu po drodze przyłączyła. Cicho, jak żbiki, szli szpiegowie Janosika za rajtarami i szwedzką piechotą, a nim Szwedzi do wąwozu dotarli, już po obu stronach jego w lesie kilkuset chłopów na śniegach leżało.

Głazy olbrzymie na rozkaz Janosika ze zmarzłego gruntu chłopci nadludzkimi swymi siłami powydobywali i czekali przy nich nad uboczami, prawie niepokrytymi śniegiem.

Czekali od rana, ale zimna nie czuli, tyle w nich było żądz tej okropnej, śmiertelnej, zbójcekiej psoty, jaką wyrządzić mieli. Każdy przy głazie leżał i patrzył pomiędzy drzewa wdół.

Wtem zabiły im serca: naprzód ze dwustu rajtarów z oficerami, potem paręset piechoty poczęło w wąwóz wkraczać.

Szli, niczego nie podejrzewając. I zaczęli się za zakrętem na króla, sparci w gromadę.

Co za piekielna uciecha! Zasadzka na tego, co sam zasadzkę urządza! Chłopi byliby rzeli z uciechy, gdyby Janosik najmniejszego hałasu pod gardłem nie zakazał i gdyby się sami zepsuć sobie uciechy nie obawiali.

W żelezie jechała rajterja, w kirysach szła piechota — ale to proci kamieniom nanic...

Aż i z przeciwnej strony widno było zgóry, jeźdźcy zdala ukazywać się poczęli.

Na przodzie zrazu jak majak jechał we futro odziany człowiek, za nim orszak nieduży, koło pięćdziesięciu ludzi liczący.

Jechali spokojnie, śnać niczego złego nie przypuszczając. Owszem, widać było, że jadą wesoło, jeździec na przodzie zwracał się często śnać z mową do jadących za nim towarzyszy. Król, król — szeptali górale.

Wjechali w wąwóz. Orszak wydłużył się dla wąskości

miejsca i posuwał powoli naprzód. Rajtarja i piechota szwedzka za zakrętem nasłuchiwać zaczęła.

Wtem wrzask straszliwy nappełnił góry, od którego konie spłoszone dęba stanęły i na zadach przysiadły.

Z obu stron wąwozu na Szwedów zaczęła się toczyć lawina głazów.

Uczyńiło się wśród nich okropne zamieszanie. Konie i ludzie miażdżeni przewalali się i z ciał i ścierv tworzyły się kłęby i zwały. Ze wszech stron leciały głazv. Przed siebie i za siebie jęli przerażeni do najwyższego stopnia Szwedzi uciekać, ale w tej chwili gruchnął na nich grad kul z samopałów, strzał z łuków, kamieni z proc, a wślad wynurzyły się z mroku leśnego postacie i z niesłychaną szybkością zbiegając jak grad na dół, z ciupagami na szukających ratunku natarły.

Na hełmach i pancerzach szwedzkich zadzwoniły siekiery. Szwedom wydało się, że djabły, i prawie bronić się nie śmieli, zresztą furja nacierających, zręczność, siła i dzikość łamały wszelki opór. Czego nie zgniotły głazy, rąbali chłopi. Zdała z za drzewa podziwiał Krzyś Janosika, Sobka Topora, Mateję, Gadeję i Mocarnego, którzy ciosami ciupag hełmy łupali, jak gonty, kiedyby się dach na domu palił. Ryk nie ludzki grzmiał w górach i szczęk jak w olbrzymiej kuźni.

Orszak królewski tak się tym nie ludzkim hałasem zastraszył i stropił i tak od niego osłupiał, że nawet do ucieczki się nie rzucił. Nuncjusz papieski i biskup krakowski Gębicki, którzy królowi towarzyszyli, krzyżem świętym przestrzeń przed sobą żegnać zaczęli. Dopiero gdy pierwsi Szwedzi w popłochu z poza zakrętu wypadli, król szpady dobył, za nim szlachty i żołnierzy kilkunastu, a inni do ucieczki się rwali.

Lecz widok ścigających Szwedów i spadających na nich górali do reszty orszak królewski zdumił i osłupił. W oczach

króla i towarzyszących mu panów i żołnierzy zarąbano rajtarów i piechotników szwedzkich. Gdy się zaś śmielsi z orszaku wraz z królem naprzód na to widowisko końmi poparli, ujrzeli chłopów bijących w kupę Szwedów prosto jako praczki kijami w kupę bielizny mokrej wałą.

— In nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti. Amen! — zawołał król.

— Co to jest?

I patrzył na rzeź zachwyconym wzrokiem. Jego to pogromców gromiono. Kto pardon wołał, nie darowano zdrowiem. W okrutnej zapamiętałości puszczeni na to górale kosili Szwedów, aż nuncjusz papieski oczy zakrył, a biskup krakowski wołać począł: Dosyć! Dosyć! Stójcie, chrześcijanie!

Ale dopóki ostatni stojący nie padł, ranny dobity nie został, straszna młóćba toporów nie ustawała; szalała dzicz o krwi bezlitosnej.

Król ujrzał przed sobą zagrodzoną drogę — ale trupami.

— Ludzie! Ktoście wy! — zawołał.

— Górale! — odpowiedziały zdyszane, ochryple głosy.

— Skąd? Kto was nawiódł?

— Janosik Nędza Litmanowski z Polan!

— Dawaj go sam! — krzyknął król.

A biskup Gębicki zawołał:

— Chłopi! Król przed wami stoi!

Naówczas poczęli górale odkrywać głowy z czap wełnianych, kołpaków baranich i kapeluszy sukiennych, które się od tłuszczu zakrzepłego nieświadomemu oku jako skórzane wydawały. Wielu w uniesieniu przypadło do rąk i butów królewskich.

— Gdzież wasz wódz? Gdzież ów Janosik? — pytał Jan Kazimierz.

Wystąpił Nędza naprzód. Cały krwawy, od czapy po kerpce; z czerwonej ciupagi po toporzysku krew mu ciekła.

— Aleś to widzę z jatki przyszedł, rzeźniku! — zawołał wesoło król, jako był prędko skory do śmiechów.

Janosik czapką króla pozdrowił, nazad ją na głowę wdział, wsparł się na ciupadze i ręką w bok i rzekł:

— Jedźcie, panie królu, na gazdowstwo wasze!

— Człeku! Czapę ze łba! Do króla mówisz! — krzyknął biskup krakowski.

A któryś ze szlachty z orszaku wzburzonym głosem wrzasnął:

— Na kolana! Cham!

Z piorunami gniewu w oczach zwrócił się Jan Kazimierz za siebie, ale nim usta otworzyć zdołał, pogardliwie, a wyniośle Janosik odpowiedział:

— My oba do siebie i w capkach możemy mówić, bo my na przodku. A klękać to mie tylko przed Panem Bogiem uczyli w kościele.

Nie śmiał się nikt nic ozwać na gniew królewski, na twarzy Janowi Kazimierzowi widny, ksiądz biskup Gębicki zaś, aby zło zażegnać rzekł:

— Nim w Krakowie na Wawelu „Te Deum“ zaśpiewamy, tu „Ciebie Panie chwalimy“ zaśpiewajmy, a wy, chłopi, ziemskiemu swemu panu drogę przez trupy szwedzkie rozgroźcie!

Wzięli się chłopi do roboty, Jan Kazimierz zaś Janosika pytał:

— Jakiej nagrody chcesz?

Janosik myślał chwilę, śnać namyślał się, potem rzekł:

— Wytnijcie, królu, tego, co mi klękać przed wami kazał, w pysk.

— Może i to być! — zawołał wybuchając nieopatrzonym śmiechem król. — A więcęj czego chcesz?

— Nic — odpowiedział Janosik. — Ja wam pomógł jak gazda*) gaździe. Wracajcie się na gazdowstwo swoje. Śmiał się król.

— Jakby ci trza było, Janosiku, z Krakowa z choągwiami pancernemi pod Tatry przyjadę!

— Mnie tam nietrza będzie. Ja se zawsze radę dam sam.

— Szpetnie nam przymówił — zwrócił się król do orszaku. — No, Janosiku, czem mogę, to ci dziękuję, w podróży!

I kiesę złota z za pasa wyciągnawszy, pod nogi Janosikowi rzucił. Za przykładem tym poszli biskupi, panowie i szlachta, towarzysząca królowi. Złoto potoczyło się na śnieg.

— Bierzcie, chłopcy, jak wam wola — ozwał się Janosik do górali, którym na widok sakiewek dusze i ręce trząść się poczęły, a którzy i Szwedów na gwałt obdzierali — a wy, panie królu, przyjmcie zaś ode mnie to!

I ciupagę swoją krwawą ku królowi wyciągnął.

— Bierz! — zawołał Jan Kazimierz na rękodajnego, który siedział na koniu w podle. — Bierz! Bo oto przez chłopską siekierę do królestwa mego wracam!

I ruszywszy koniem ku Janosikowi, za głowę go uścisnął i przez torowaną pomiędzy trupy rajtarskie drogę konia naprzód pchnął, a za nim posunął się orszak z głośnem śpiewaniem pieśni „Ciebie Panie chwalimy“, którą i poblíž kościołów mieszkający chłopci za biskupami i rycerzami śpiewali, otoczywszy orszak, aby go w razie ponownej napaści bronić i osłonić.

*) gospodarz.

ROZDZIAŁ XIII.

Po latach wojny i strasliwym spustoszeniu szwedzkiem wybuchł głód. Gdy Janosik z towarzyszami do domu rodzicielskiego, w Polany, powrócił, zastał dokoła nędzę po wsiach. Trzymali się, a nawet nie czuli niedostatku bogaci gazdowie, Kojsowie w Chochołowie, Walczaki i Jarzabki w Zakopanem, Nowobilscy sołtysia na Białce, nie czuł go także Janosików ojciec, ale ogół górali głodem przymierał. Gdy Janosik powrócił do domu, po latach czterech bojów ze szlachtą i zwycięstwem nad Szwedami pod Spiską Magorą, łupy wioząc bogate, jał on ludzi ubogich wspomagać własnym dobytkiem i z pieniędzmi sanie po żywność na Węgry słał. Ale ku końcu stycznia przywalały świat śniegi tak straszne, iż dachy chałup pokrywały i ludzie tunele i lochy kopać musieli. Prostu zginęła ziemia pod śniegiem. Dzień po dniu i noc po nocy dął wichur i płatami olbrzymimi śniegu z poza Tatr od Zachodu rzucał. Czeladź Janosika i domowi na zmiany dzień i noc pracowali, aby przejścia od izb do stajni, chlewów i stodoły utrzymać. Jedzenia nie brakowało, bo bydła hrubego i drobnego statku, owiec, baranów, świń było dość, było też czem zimować żywinę, a i drew na opał za czasu czeladź narąbała i nawiozła z lasu. Trzy tygodnie, aż do lutego dęły te śniegi, że i matka Janosika już wątpiła, czy ustaną kiedy i śmierć przewidywała w całunie.

Aż pewnego rana rozwidniło się niebo, jasny, szklisty

pokazał się błękit, rażący oczy lśnieniem nieporównanem i nieprzetrzymanem i mróz okropny ściał świat, tak, iż zwały śniegowe stęgły w żelazo. Po drabinie wydrapał się Janosik od podwórza na dach i po drugiej jego stronie ujrzał białą równię.

Jak oko sięgnąć zdołało, nie było nic, tylko biała płaszczyna, drzewa tylko koło domów wzdłuż potoków z Gubałówki płynących rosnące, jawory, jesiony, lipy sterczały ponad śnieg i lasy smrekowe białe i w lód ścięte. Jednego dachu nie było widać. Na Nędzowym Groniku, u Staników, u Czajków, u Staszłów, u Fakłów, Tyrałów i Pitoniów, Gadejów, Mocarnych, Matejów dookoła jednego szczytu dachu znać nie było.

Wyginieni — pomyślał Janosik z okropnem uczuciem.

Ale tu i owdzie dojrzało jego oko nad śniegami, lub lasem dym błękitny — tu i owdzie więc byli żywi pod zawałą.

I długie znów tygodnie biegły tego jednostajnego, śmiertelnego mrozu. Niebo iskrzyło się w dzień słońcem rażącym, w nocy gwiazdami, których moc ogromna zdawała się przybyć na stropie, a które tak świeciły, jak płomienie. Ludzie poczęli na nartach i karplach suwać się po skorupie otchłannego śniegu, a wilki nad dachami się ukazywały i bywały wypadki, że zgłodniałe rzucały się z nad dachów na podwórza wewnętrzne obejść domowych bez pamięci. Tam walczyć z nimi musiano, bo ich wygnąć nie było któredy. Straszno było pojrzeć w nocy, gdy nad głową dookoła widziało się iskrzące się ślepie pośród gwiazd złowrogich i słychać było nad głową warczenie, lub wycia zajadłe. Taka sucha, druzgocąca mrozem zima trwała aż do końca marca. Kto umarł, to wykopywano jamę w kupie śniegu na dziedzińcu i tam go grzebano.

Wszystko wydawało się zaumarte. Cisza była w powietrzu nieprzegarniona i ani jeden ptak nie przelatywał

przez czyste przestwory. Wyginęły od śniegów i zimna, lub uleciały niżej, gdzie może nie tak twardo było. Raz jeden spostrzegł Janosik o fioletowym zmroku puhacza, wysoko, lecącego gdzieś ku Południowi, za Tatry.

Wtem przyszedł halny wiatr, tak ciepły, że cieplejszy w czerwcu nie bywał i dał półtora dnia, a potem lić gwałtowna, ulewa przerażająca. Jak w styczniu wiało śniegiem, tak teraz deszcz ustać nie chciał. Wzięły śniegi topnieć po dolinach. Ciepłe wiatry dęły i nawoziły chmur od Wschodu. Rozpływały się śniegi, topniały w oczach, nikły. Deszcze przeświecały piorunujące słońca, o gwałtowności i sile orkanu promieni. Zwały śniegowe zsuwały się podmokłe wdół z grzmiotem i hukami dech zapierającemi. Wydobyły się nawierzch odmarzłe wody. Uczyniła się powódź, choć na Tatrach leżał jeszcze śnieg, który do lipca w nadmiernej nasypany grubości trwać wróżył.

Jakże straszne były widoki...

W niektórych chałupach znaleziono ludzi z głodu pomarłych, całe rodziny, indziej uduszonych pod zawałą śniegową. Toż zwierzęta domowe, konie, krowy, owce, psy, świnie zdechłe i uduszone. Znajdowano ślady przerażających walk z wilkami, gdzie czasem wilki zażarły całe rody góralskie, lub też we wspólnej z napadniętymi pozostały mogile śródśnieżnej. Znajdowano domy zgniecione nawałą śniegu, zmiążdżone chałupy, stodoły, stajnie, a pod tem trupy i ścierwa Bóg wie odkąd, od miesięcy całych leżące. Tak zginęła cała rodzina Jana Fakli w Polanach, tak dwie familje Zychów w Witowie, Sieczka Stanisław z rodem swoim w Zakopanem i wielu, wielu innych. Na setki zmiążdżonych śniegiem liczyć było można.

Wilki bandami teraz grasować zaczęły, zeszyły z gór i niedźwiedzie, obudzone już, a nic sobie w lasach znaleźć nie mogące. W biały dzień rzucał się zwierz leśny na ludzi i napadał wprost domy. Niedźwiedzie po trzy, cztery, pięć

i więcej w stadzie rozwalaly stajnie, atakowały chałupy, lub na dachy po węglach uciekały przed goniacemi je hordami wilków.

I walki krew mrozące widywali ludzie dzikich bestyj, które się zażerały między sobą u progów i u ścian ludzkich.

Śniegi stopione gwałtownie wzdeły rzeki, powódź spłynęła na Podhale. Piekło się wściekło — mówił lud.

Teraz wybuchł głód w całej pełni potwornej, choroby niesłyszane, nędza przerażająca i śmiertelna.

U Walosów w Brzegach rodzice dzieci zabili i zjedli, w Szaflarach Król żonę własną z grobu wykopał na cmentarzu, zabrał do domu, gotował i jadł, aż w boleściach umarł.

Mnóstwo szalonych poczęło się snuć po dolinach. Przychodziły dzikie poczwary od Gorców i z Zagórza, kretyny wolowate, a ze wsi podhalańskich rozbiegali się w świat obłąkańcy, z pianą na wargach i gryźli się po polach z psami wściekłymi, lub ginęli szarpani przez wilki na sztuki.

Całe pasma wściekłych wilków włóczyły się, siejąc postrach, grozę, przerażenie nie do wypowiedzenia. Powietrze zaś napełniło się chmurami kruków, wron, jastrzębi, sępów i orłów, spadających stadami na ścierwa i zwłoki gnijące.

Kłęska była niesłychana i niepamiętna. Wyległy też z gór potwory, wilkołaki, strzygi, martwce, latawce, dziwożony, topielce. Widywali je ludzie rozognionemi od głodu i przerażenia oczyma. Okropne upiory jeździły na niedźwiedzicach i uganiały na wilkach z chychotem i piekielnym śmiechem. Wśród stad ptaków drapieżnych zlatywały gryfy i biły się z orłami i sępami. Wrzask, skwir nieraz słyszeli ludzie w powietrzu nieznany i ptaki spadały porzucane, z poprzebijanemi kośćmi barkowemi na ziemię.

Widziano karły w siwych czapach baranich i portkach miejskich szerokich od kierpcy obutych i rzemieniami po

wierzchu okręconych, jak siano pod lasami i w lasach grzyby trujące.

Mord jał się szerzyć. Zabijano się o kawałek placka owsianego, o kwartę mąki. Lada kłótnia, lada spór krew wytaczały, a dawne zemsty wiały jak wichur. Ludzie się mścili na sobie, jakby lękając się, że umrą i nie zdążą.

Ginęło Podhale.

Na to giniecie zaś patrzyły spokojnie Tatry.

A na Tatry patrzył Janosik Nędza Litmanowski.

W niemej głuchej zapamiętałości siedzieli wieczorem przed chałupą pod jaworem oboje rodzice Janosika i ponurzy Gadeja, Mateja i Mocarny Stopkowie.

Im jeść nie chybiało, bo na Węgry po zbójcu chodzili, ale trapiło ich powszechne utrapienie góralskie. Siedzieli na ławie koło jaworów, popodpierali brody na rękach i kolanach i myśleli.

Pod domem zaś na ławie, wyciągnawszy bosc nogi przed siebie, choć dopiero kwiecień był, i założywszy ręce za przypory u portek, siedział Janosik, obok Sablik stary na ławie, siedząc pogwizdywał.

Obaj patrzyli przed siebie w górę na Tatry, gdzie słońce zachodziło, czerwono-fioletowe i chmurne.

Gdy oczy ich tam w przestrzeni, nad wierzchami zeszy się i dusze zrozumiały — wydobył stary Sablik z rękawa od czuchy gęśliki i grać począł.

Grał stare odwieczne nuty, jakie strzelcy i zbójnicy niegdyś tam, w praczasie grywali.

A gdy jedna i druga godzina minęła i na niebie już wśród chmur gwiazdy świecić zaczęły, ozwał się Janosik do towarzyszy:

— Chłopczy, pójdziemy na wojnę...

ROZDZIAŁ XIV.

Już się ku wiosnie brało, śnieg w dolinach tatrzańskich ginał, w cieniu trwał jeszcze, a w słońcu w błoto się przestoczył. Dziką i pustą doliną szedł stary Sablik z rusznicą przez prawe, łukiem przez lewe ramię, z ciupagą w rękę i nożem za pasem.

Rusznicę Sablik wziął, ale prochu tylko na kilka nabić w rogu, bo go koło domu wypsuł, łuk niechybny starodawny przez schylone wiekiem barki przewiesił i ruszył w góry, orzeł stary na łowy.

Szedł ku dzikiej, pustej dolinie Kościelisk. Ledwo minął las, co ją zasłaniał i drogę nad Dunajcem, kędy owce na hale, na Smytnią, w Ornak, w Tomanową, do Smreczyn, na Pyszną szły, kędy z hal siano i nawóz zwożono, a za królów Zygmuntów górniczy do kopalni srebra i żelaza trakt był, pośród odcisniętych na śniegu tropów sarn, jeleni, lisów, kun, wiewiórek, wyder i wilków ujrzał ślad przechodniego dzika, który snąc złamaną od kuli lewą nogę zadnią powłóczył i ślady czterech niedźwiedzi, dwa wielkie, zwłaszcza jeden ogromny, i dwa mniejsze, z tych jeden większy.

Popatrzył i ozwał się sam do siebie:

— Dwa stare, niedźwiedzica z młodym i piastun.

Przypatrzył się baczniej odciskom największych łap na wilgotnym śniegu.

— On!

Poznał go Sablik. Ta sama pięta, te same palce, te same pazdury. Przyłożył do śniegu ciupagę, gdzie miał naznaczony znak długości i szerokości tych łap zdłużyć i syrzc. On był!

He, Boże, dajże się z nim zejść!

Dziką pustą doliną Kościelisk nad wodą, aż ku źródłu, gdzie się woda w dwie strony dzieli, Sablik, tropem niedźwiedzim postępował, a trop to był z nocy. Ale nieopodał za źródłem tropy się dzieliły: niedźwiedzica z młodem poszła wgórze na prawo, w ubocz, on poszedł samotnie dalej doliną. I Sablik poszedł za nim.

Niedźwiedź skręcił na Smytnią, na lewo przeszedł tuż koło pustych jeszcze szop juhaskich, wstąpił na ubocze lesiste i drąc się między wykroty, przełaząc przez skały sterczące ze śniegów i w śniegi zapadając, przebrał się ku wieczorowi już do Doliny Kamiennej pod Czerwone Wierchy. Sablik zmiarkował, że człowieka zaczął i ucieka przed nim.

Uradował się jego duch i miał to sobie za dobrą przeprawę.

W Kamiennej Dolinie trzeba było nocować.

Sablik wynalazł kamień wielki z małym wydrążeniem na wierzchu, ułożył chróstu i drzewa kosodrzewinowego na ognisko, skrzesał ogień i w płonącą watrę włożył skalkę, do dolka zaś w głazie nalał wody i nasypał mąki, której odrobinę z domu wziął do woreczka, a gdy się skalka rozpałała, wsunął ją we wodę. I była kluska, którą gorzałką popił.

O sól nie pytał.

Potem watrę nabił tęgą, kosodrzewiny naciął na zapas na noc i legł przy ogniu na mchu.

Nad nim zapaliła się noc tysiącem gwiazd i sierpem miesiąca, co z za turni się dobył. Wokoło zaś były olbrzymie kamienne ściany, korytarze i zakręty, nad którymi się

piętrzyły pod niebo mury, podobne do twierdz i baszt wapiennych turni. Myśl Sablikowa mimowiednie błąkała się po tych korytarzach, przepaściach, grotach odsłoniętych i pieczarach bez sklepienia niezmiernej wielkości, gdzie mogły spoczywać od prawieków żyły złota i srebra, lub skarby, zakopane przez zbójników. A gdy go wśród cichego szumu nocy górskiej i grzmiącego od czasu do czasu huku urwanych głazów i spadających lawin śnieżnych kędyś we wysokościach naszedł sen: śniło mu się, iż ze skrzydłami u ramion wędruje po Kamiennej Dolinie i ciupagą skały rąbiąc złoto z nich wyrąbuje i pod nogi sobie zgarnia.

Gdy się obudził, jeszcze ciemno było, lecz po zimnie poznał, iż ku dniowi się zmienia. Dorzucił patyków i gałęzi kosodrzewinowych na wiatrę i ręce zabijać zaczął, by się ogrzać.

A już olbrzymie ciemno-modro-fioletowe cienie zaczęły się słać po skałach i mrok nocny tając zaczął, tak, iż gwiazdy zwolna w oczach gasły, a niebo szarzało.

Napił się Sablik gorzałki i świsnął lekko przez zęby.

Warzyć jeść czasu nie było, co zostało z wczorajszej kluski na zimno zjadł, proch pod krzemień podsypał i z pierwszym brzaskiem ruszył z legowiska.

Wiedział on, że niedźwiedź w dolinie nie nocował, ale śnieg nie prószył i oślady nie zakurzył, łatwo ją znalazł.

Het popod turnie Małołączniaka drzeć się Sablik nad przepaściami wisząc po śniegach musiał, ale sobie powtarzał: kiedy nie urwał się on, nie urwiem się i ja, dy je cięższy, a kie się jemu w głowie nie zawracało, to się i mnie nie musi — i koło południa za niedźwiedziem, który znowu na południe ku Węgrom wykręcił, między Małołączniakiem a Kopą Kondracką przez Jaworową Dolinę do Wierchcichej zszedł.

Tu otoczył go tak ogromny las, że niebo ponad nim zniknęło.

Ale dzień był słoneczny, gorący prawie i wiatr ciepły od Liptowa wiał, tak, iż las pachnąc już zaczął, a i śniegu mało w nim było. Rozszerzały się Sablikowe płuca radośnie, że znowu po długich miesiącach na węgierskiej stronie Tatr się znalazł, na tej stronie pięknej do miodu podobnej.

Głód był, dało się jednak strzałą śmigłą jarząbka ze smreka strącić, Sablik obdarł pierze i surowo piersi zjadł i barki i udka obgryzł — nie było czasu piec. Albowiem niedźwiedź w las się wszył i Sablik czuł, że nie jest daleko i że poza dolinę nie wyszedł.

Rysim więc chodem za ośladem popod konary często na brzuchu się sunąc nagle zatrzymał się. O jakie pięćdziesiąt kroków w kotlinie niedźwiedź na zadnich łapach wspięty stał i jarzębinę zesztoroczną zmarzniętą łapami do kupy z gałęzi zgarniał.

Sablik patrzył chwilę z gęstwiny.

Potwornego ogromu, czarny, wyciągnięty prosto zwierz wydawał się jak drzewo. Zasłonił sobą kęs przestrzeni, bo kotlinka była nie zabita smrekami, lecz wolna nieco od lasu. Tram tylko ją przewalił napoprzek spróchniały.

Niedźwiedź nie czuł człowieka; stał poniżej Sablika i wiatr od niego ku Sablikowi zaciągał.

Sablik odwiódł pocichu kurek, proch świeży podsypał na panewkę i kolbę do twarzy przycisnął, pod łopatkę na komorę wymierzywszy.

Ale nie strzelał. Wiedział on, że drugi raz w życiu tej rozkoszy mieć już nie będzie, jak nie miał jej nigdy dotąd, pół wieku życia przepolowawszy. Rozśpiewała się w nim dusza hymnem mordy, zwycięstwa, triumfu, potęgi. Z lufą wymierzoną przed siebie pod nawałą konarów do ziemi obrosłego smreka leżąc, przez muszkę na lufie patrzył i był jakoby pijany widokiem niedźwiedzia i świadomością prochu, pakułów i kuli w rusznicy.

Starość od niego odeszła.

Wtem niedźwiedź zwrócił ku niemu głowę. Małe jego skośne ślepia zamigotały, przestał jarzębinę zgarniać i łapy zatrzymał w ruchu na gałęziach — w tej chwili Sablik za cyngiel pociągnął.

Niedźwiedź wzdrygnął się, beknął i na przednie łapy spadł.

— Dostał, bo zbecał — przemknęło przez głowę Sablika.

W tym momencie zasłonił mu się przed oczyma świat — olbrzymia czarna masa waliła się ku niemu, łamiąc konary. Ale Sablik z lekkością ptaka z pod gęstwy się wysunął i gałęzi sąsiedniego smreka dłońmi się uchwyciwszy, w susie między nie się dźwignął i wspinać zaczął. Z rykiem niedźwiedź dęba stanął, lecz go już nie pochwycił. Rzucił się więc na pień i sapiąc włązić zaczął.

Sablik wspinał się coraz wyżej, myśląc: zanim się ty ta wygramolisz, to ja już będę na wierzchu...

A duszę jego przenikała radość walki.

Gdy niedźwiedź w połowie drzewa był, trzasnął pod nim konar i zwierz runął na trawę.

Jak wściekły obiegał drzewo, wspinał się na zadnie łapy, ryczał i pianę z krwią z pyska toczył. Sablik miarkował, że go niedobrze, choć ciężko trafił. Mógł długo żyć.

Rusznicę Sablik zostawił w gąszczu, ciupagę pod drzewem. Ale zdjął łuk z ramienia, strzałę z pod boku ze skórzanej pochwy wyciągnął i wymierzywszy w kark niedźwiedzia ugodził.

Raz po raz z piętnastu strzał, które wziął z domu, trzynaście w cielsku niedźwiedzia utopił, dwie sobie zostawiając, aż wreszcie zwierz, czy raną zmożony, czy pragnieniem spieczony, czy od bólu od strzał z pod drzewa odstąpił i w las zapadł.

Sablik natychmiast zsuwać się ze smreka zaczął.

— Poczkej weredo — mrucał — wlaźbyś mi ka, zdechł byś i zgnił... Nie nato my sie pół wieku szukali...

Chwycił naprzód ciupagę, poczekał chwilę, poczem rzucił się ku rusznicy i nabijając ją począł.

— Na niedźwiedzia kula gaździna — mrucał przybijając ją lekko stemplem. — Na niedźwiedzia niemasz nad kule...

I odnalazłszy farbę, jął kroczyć za nią.

Szedł ostrożnie, raczej skradał się, czujny na każdy szmer, na każde drgnienie gałązek, pomiędzy którymi się przeciskał, z oczyma w ziemię wbitemi, by farby nie stracić. Śmierć była koło niego, bo niedźwiedź mógł w każdym miejscu zapaść w gęstwie, z każdego miejsca dźwignąć się z rykiem na zadnie łapy i zwalić się nań, jak piorun. Więc stawał, nasłuchiwał, wietrzył ostremi wiatr chwytającymi nozdrzami. Kilkakroć kolbę już ku piersiom schylił, niosąc strzelbę przed sobą oburącz, lufą do góry kurkiem blisko pachy. Wtem zobaczył niedźwiedzia.

Przy wodzie, poniżej w jarze stał i ranę broczącą ziemią z mchem darta zaciskał. Lecz gdy Sablika ujrzał, ryknął straszliwie i przed siebie się rzucił. Odskoczył Sablik wtył. Nie strzelał zgóry, bo w pędzie bał się nie trafić w krzyż, albo w mały u niedźwiedzi mózg, po którego czerepie kula ześlizgnąć się mogła.

Staął i czekał, aż niedźwiedź wzniesie się przed nim na zadnie łapy.

— Teraz abo ty mój, abo ja twój — myślał, przyłożywszy strzelbę ku żuchwom.

Jak kiedy płomień podczas pożaru dach przeżre i z kłębem czarnego dymu z wichrem ponadeń wybuchnie, tak z czerwonym błyskającym biało-krwawemi kłami pyskiem, z jęzorem krwawo-spienionym i ślepiami lśniącemi wypadł ów czarny niedźwiedź na brzeg, rwąc z pod łap kamienie

i widząc strzelca przed sobą, na tylne nogi się wspiął; a w tej chwili z rury Sablikowej rusznicy prysnął ogień i dym i w grzmocie strzału bestja zwała się na piersi i jęzor wysunawszy, rozszerzyła łapy bezwładnie.

Krew buchnęła z paszczęki, posoka spiekła — — ko-
nać poczał.

Naówczas Sablik, o kilkanaście kroków stojąc, oparł rusznicę o smreka, ciupagę na konarze zawiesił, wyjął z rękawa czuchy gęśle, kołki zawilgłe popłuł i zębami przykręcił, smykiem i palcem popróbował i o bok lewy niżej ramienia oparłszy, grać niedźwiedziowi poczał.

Napełnił się cichy, nieprzejrzany, samotny las chrapaniem konającego zwierza i Sablikowem graniem. Dzikie, rwane, zgrzypiące, ostre tony drgały i plątały się z sobą ponad głową zwalzonego potwora. Huczała w wąwozie rzeka po głazach, jakoby tło do tej muzyki poddająca.

Zwierz chrapał i charczał okropnie, krew z pyska wylewając, Sablik zaś grał. Oczy jego utopiły się w kudłatym łbie zwierza, jako mgliste gwiazdy w jesień toną w czarnym stawie tatrzańskim.

Idzie se Sablicek, drózeckom sie wiedzie,
budzie sie prugował z luptoskim niedźwiedzie,
z luptoskim niedźwiedziem, z śpiskom niedźwiedzicom,
w lesie pod Furkotem, popod Krzesanicom.
Niedźwiedzica śpiska swe młode ucyła:
waruj sie Sablika, on gorsy jak stryła!
Co ja sie nahodziéł, potoków nabrodziéł,
za kielak niedźwiedzia na serce ugodziéł.
Co ja sie nahodziéł i tom i tom stronom,
zakiel my sie zešli w ciasném miejscu oba.
Hucala dolina, dygotał wirsycek,
kie poseł za pasy z niedźwiedziem Sablicek.
Słońce sie pytało, w doline patrzyło,
cy sie hafi za pasy biere skała z skałom?
Hmury sie pytały, niebe uciekały,
bo sie im widziało: świat sie wali cały!
Pan Jezus sie patrzy — pre Boha żyweho!
Sablik to poluje, chroniem go od złego!...

Lekcej się niedźwiedziowi konało.

Zapamiętał się Sablik w swej grze. Jakoby duchy wszystkich pomordowanych przez siebie niedźwiedzi zwoływał na pogrzeb króla Tatr, z nowotarskich Gorców, od Babiej Góry, z śpiskiej Kralowej Hali i przepastnego lip-towskiego Dziumbiru o leśnych szczytach, gdzie polował. Z pod Rohaczów i Wołowca, z Jarzabczej, z Pysznej, z Tomanowy Polskiej, ze Strążysk i dalej z lasów Roztoki, z Pięciu Stawów, z Koprowej, z Ciemnych Smreczyn, z Pod Wysokiej, zewsząd z Tatr wołał duchy pobitych przez się potworów. I otoczyły kołem swego brata, straszne, groźne, posępne.

Przybywały jeden po drugim, bo Sablik wierzył, że duchy ich tam pozostają i krążą po pustkach, kędy śmierć im zadano. Przybywały i wieńcem otaczały ostatniego, który do nich przybywał. Piąty, dziesiąty, piętnasty i dwudziesty, dwadzieścia jeden widm z czerwonymi ranami w piersiach, na łbach, na grzbietach i w brzuchach poczwarnych.

Witają go — myślał Sablik.

I żegna go las...

Wtem niedźwiedziowi pysk posunął się po ziemi.

Naówczas Sablik wyprostował się, schował gęśle do rękawa, poczekał chwilę, a potem duży kamień podjąwszy, w łeb nim niedźwiedziowi gruchnął.

Zwierz nie drgnął.

Więc ciupagę z gałęzi Sablik zdjął i młodego smreczka ściąwszy i okzesawszy, śmiało przystąpił i z niesłychanym trudem tyle olbrzyma podważył, aby mu nożem brzuch spruć i parę z cielska wypuścić. Poczem szybko watrę złożył, ognia skrzesał i wyciąwszy z boku sztukę, na patyk ją nadział i piec nad ogniem poczał, podstawiając kapelusz, by doń sadło kapało. A gdy się naskwarzyło pełno, sadło wypił i jeść nożem przy ustach urzynając mięso poczał.

Poczem tęgi płat mięsa skórę obdzierając, nożem i palcami i zębami ją przytrzymując, iż koszulę i pas krwią ubroczył, z pod grzbietu wyciął i do torby wrzucił, olbrzymie zaś niedźwiedzie ścierwo łamanym i ciętym chróstem, gałęziami, mchem przykrył, aby go ni strzelcy, ni żaden zwierz dziki nie znalazł. Urosła nad zwierzem mogiła. Do wsi się Sablik z powrotem zabrał, by z Tyrałami i Bukowskim powrócić i poćwiartowane mięso, oraz skórę zabrać.

Aby jednak ślady zmylić i strzelcom innym drogi do niedźwiedzia nie wskazać, głazami potoku z pod śniegów i z lodów skalnych płynącego iść począł, kierując się ku przełęczy Goryczkowej, co Polskę od Węgier dzieliła doliną Cichą od Hali Kondratowej i Kalatowej, w przełęczy wyniosłą między trawiastymi kopicami i szczytami położoną, kędy świstki kopały gniazda i gdzie się lubił pasać jelen z lasów węgierskich, lub z pustek z pod Giewontu i Kopy Magóry wyszły.

Długi czas potokiem, z głazu na głaz skacząc, z kawałem niedźwiedziny we worku szedł, aż się w las wkroczyć zdecydował.

Wychynał już z lasu w ubocze, a wówczas obejrzał się za się.

Samotny był.

Nieprzemierzona pustynia powietrza w twarz starą, bruzdami pożłobioną, wiatrem mu uderzyła.

I zwrócił się ku przełęczy w ubocz, do góry, dobywszy gęśliki z rękawa czuchy i nućąc nad opartemi pod ramię:

Sablik se zaśpiewał,
Krywań mu odpędził,
bo o jego sprawie
nik iny nie wiedział...

ROZDZIAŁ XV.

Tymczasem Sieniawski ze wstydu i złości, iż go chłopci pobili do Włoch pojechał i tam w Rzymie wśród panów italskich i dam żył, błyszcząc urodą, wzrostem i złotem. Po długim czasie dopiero wrócił i w węzeł małżeński wstąpić postanowił. Ku kasztelance wójnickiej, znakomitego w Rzeczypospolitej domu, Agnieszce Rzeszowskiej afekt obróciwszy, wzajemność jej nietyle zdobył ile ofiarowaną sobie przyjął i zrękowiny odbyły się na wiosnę, a ślub do lata dla ogromnych przygotowań odłożono.

Maryna z Hrubego dowiedziawszy się o tem postanowieniu Sieniawskiego, którego nadzwyczaj kochała, nie czekała. Na koń, jak uprzednio, gdy do Zaborni jechać miała, siadłszy, ruszyła nad San, ku zamkowi panów Rzeszowskich. Przeszkodzić chciała ślubowi wojewodzica. Serce jej pełne było tylko miłości, tęsknoty, żalu i wściekłości.

Po tygodniu blisko jazdy ujrzała zamek, który z opowiadania Marduły poznała, iż był zamkiem panów Rzeszowskich.

Było to pod wieczór, na pustym gościńcu. Maryna zsiadła z konia, zdjęła zeń uździennicę i siodło, odniosła nieco w gąszcz, a konia poklepawszy po karku, puściła wolno. Zaraz zaczął się paść.

Sama zaś legła w gęstwinie i do rana czekała.

Nazajutrz rano, siekiereę pozostawiwszy, do zamku prosto poszła, a gdy ją odźwierny w bramie zatrzymał, opowiedziała się za biedną sierotę z domu przez macochę wygnaną, która służby szuka. Wpuszczona obejmowała nogi gospodyni i po kolanach ją całowała, aby jej rondle myć, krowy doić, lub choćby świniom jeść nosić pozwolono. Jej wspaniała mocna budowa, uroda i bystra przytomność umysłu ułatwiły jej przyjęcie — dano ją do kuchni.

Widowała pannę Rzeszowską i starała jej się na oczy wejść. Panna Agnieszka, łagodna i ludzka z natury, a sama wiele w domu czyniąca, zauważyła ją i widząc zręczność i urodę z kuchni do kredensu przeniosła. Zaczem i do swojej osoby wziąć ją chciała, ale Maryna wymówiła się, obawiając się wejść na oczy wojewodzicowi, którego przyjazdu wrychle się spodziewano.

W zamku zaś czyniono do ślubu przygotowania, nad miarę świetne.

I nadszedł on czas nieszczęsny dla Maryny.

Widziała z okna kredensu, jak w złoconej poszóstnej karocy w siwe jabłkowite konie tureckie, z grzywami do piersi i ogonami do ziemi, zajechał wojewodzie Sieniawski z poślącanymi hajdukami z węgierska na koźle i za karocą. Widziała go przez szybę kryształową i jak wysiadał świetny i piękny, w bramowanej sobolami delji aksamitnej granatowej, kapiącej złotem.

Trzystu ludzi przyjechało za nim w orszaku. Jechali husarze nadworni i kozacy, koniuszowie i masztalerze, hajduki, pajuki, rękodajni i marszałkowie jego dworu, sokolnicy z cudnemi sokołami i wiedzione smycze chartów wspaniałych. Nawet wielbłądy dwa przysły złotoszytami kapami okryte.

Obóz poza zamkiem rozbiła drużyna Sieniawskiego, bo jej w zamku pomieścić nie było. Ale choć tak licznym otoczony był dworem, taką potęgą oblubieniec, przecie

większą potęgą nad jego oblubienicą czuła się Maryna z Hrubego.

Zjechała gości moc wielka, panów i dygnitarzy koronnych, krewnych pana młodego i panny młodej, zjechało też i pomniejszej, mniej znacznej, ale zacnej szlachty wiele, obu domom powinowatej, i zaroilo się w zamku i w miasteczku pod nim, jakoby wielki jarmark się odbywał.

A wśród tej ciżby chodziła panna Arnieszka Rzeszowska jasna jak gwiazda od szczęścia.

Zabawy Maryna widziała z okna kredensu: ścigali się młodzi kawalerowie do pierścienia, kopiami z siodeł wysadzali na improwizowanych turniejach, szczuto psami chowane niedźwiedzie i w pole kawalkaty wyjeżdżały z psami i sokołami, oblubieńcy pośrodku.

Maryna kryła się, aby Sieniawski jej nie ujrzał.

A gdy wszyscy pojechali do kościoła w miasteczku ślubnym orszakem i zamek opustoszał, chwyciła Maryna nóż długi i śpiczasty i wybiegła z nim na schody, niedostrzeżona przez nikogo, i przez komnaty popędziła aż do tej świetlicy, gdzie łoże oblubieńcze nowożeńcom pod baldachimem z błękitnego w gwiazdy złote tkanego jedwabiu przygotowane stało.

Wielkie ciężkie kotary osłaniały to łoże, grube i fałdziste, ku samej ziemi opadłe. Szybkim ruchem znalazła się Maryna za kotarą przy ścianie, ukryta tak, że chybaby umyślnie ktoś jej szukać tam szedł, aby mógł odkryć.

Decyzję powzięła jedną: zamordować oboje.

Długo głusza wielka zalegała zamek, aż przez okna uchylone usłyszała Maryna trzask z batów, strzelanie z moździerzy, okrzyki; śnać powrócono od ślubu.

I długo, długo w noc grzmiał zamek od palby z moździerzy i armatek, od śpiewów i rozgwaru weselnego, a jaskrawe blaski wpadały do ciemnej komnaty małżeńskiej, bo już wieczór nastał i noc nastąpiła. Wtem weszło dwóch

hajduków z zaświeconemi kandelabrami, a za nimi wojewodzie Sieniawski z oblubienicą i rodzice panny młodej i orszak cały weselny.

Piekło wrzało w Marynie. Oddech tłumiąc i nóż ściskając przytłaczała się do ściany za kotarą.

Ogniem żywym palił jej się mózg i paliło serce. Wydawało jej się, że rozsadza ją, rozerwie w sztuki uczucie, którego nazwy nie znała. Wsłuchiwała się. Zda się, jakoby brała w siebie żar, piekło całe. Czuła się podobną do dział podczas oblężenia Czorsztyna, w które im więcej prochu nasuto, tem straszliwszy wyrzucały pocisk.

I nagle jęk przedarł powietrze.

Zerwał się Sieniawski.

— Co to!? — krzyknął. — Zali przywidzenie?

— O nie! O nie! — wołała młoda pani. — Słuchaj! Tam ktoś jest! Jezu! Czy czart!?

I z głośnym przeraźliwym wrzaskiem runąć chciała we drzwi, by uciekać, ale ją Sieniawski przytrzymał za rękę.

— Stój Czekaj!

I karabełę przy łożu złożoną z pochwy wydarł i ku kotarze przystąpił.

Rozchylił lewicą fałdy kotary, w prawicy gotową do sztychu broń trzymając.

Jasny pełny księżyc padał w okno i świecił w komnatę: Sieniawski ujrzał postać kobiecą.

Cofnął się przerażony tym widokiem niespodzianym.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! Kto tu!? Wdziadło!? A kysz!

Lecz gdy między fałdy ręką pchnął, żywe ciało natrafił. Uchwycił wtedy niżej łokcia postać stojącą i wyrwał silnie ku sobie, a wówczas przy miesiącu poznał Marynę.

Nóż wbity tkwił jej nad gorsetem w piersiach po lewej stronie.

— Chryste Przenajświętszy! — krzyknął Sieniawski.
— Co to!?

— Ja — rzekła głucho Maryna.

— Maryna!? Ty przebita!?

Poznała ją młoda pani i z wybuchem przypadła.

— Marynka!?

— Znasz ją? — zapytał mąż.

— Znam. Służyła u nas.

— Ty przebita!?

— Jakim sposobem!?! — krzyknął Sieniawski.

— Ja ciebie zabić przyszłam — rzekła Maryna.

— Mnie!?

— I ją!

Wskazała głową młodą panią.

— Warjatka!?! — krzyknął Sieniawski ze zgrozą.

— Nie! tylko kochała.

— Skądże ten nóż w twych piersiach? Na Boga!

— Jam go sama wbiła.

Skłoniła się. Pochwycił ją Sieniawski i posadził na fotelu przy łożu stojącym, nieopodal okna.

— Agnuś! — zawołał. — Biegnij, każ zawołać medyka mego, Franconiego!

Ale Maryna przytrzymała Sieniawską, mówiąc:

— Stójcie, pani. Mnie żadnego Frankonika nie trza. Żadnych medyków. Dla mnie tylko jeden medyk — śmierć.

— Wynijdź pani z pokoju — odpowiedziała Maryna — nie patrz... krew... Wynijdź i ty, jak chcesz, panie młody. Umrę sama — ja sprostą dziewczką góralską, mnie tylko do śmierci nikogo nietrza... Jeno mi tę łaskę zróbcie! nie wołajcie medyków. Ja nie chcę żyć, ani już nie mogę — ja to czuję... To tylko chwila.

Maryny oddech stawał się coraz krótszy, bardziej zduszony, rwany, głowa zwisała jej ku ramieniu.

— Czegóż ty chciała? Mów! — szepnął Sieniawski.

— Ja was chciała zabić, bo cię zanadto kochała.

Głowa jej opadła.

— Jezu! Kona! — zawołał Sieniawski. Sięgnął ręką ku twarzy Maryny — już była martwa.

W tej chwili ze światłem wpadli goście weselni, kto trzeźwy o tyle, o ile jeszcze był, i służba wystraszona.

— Mości kasztelanie! — rzekł Sieniawski do kasztelana Rzeszowskiego, ojca Agnieszki. — Gromnice z zakrystji każ przynieść, księży wołać i modlitwy za umarłych odmawiać. A na zwłoki tej dziewczki, tej chłopki Maryny z Hrubego, cztery deski dębowe zbić daj, do Brzeżan ją powiozę i w złoconej trumnie pochować każę. Na obchód pogrzebowy wszystkich waszmościów z sobą zapraszam!

ROZDZIAŁ XVI.

Ledwo parę tygodni statek był po Zielonych Świątkach na halach, gdy nad doliną Nowotarską niebywale licznymi stadami białe rybitwy o długich wąskich skrzydłach nad wodami krążyć poczęły. Przylatywały one zawsze, gdy wiosenna świętojańska powódź okolicę podgórską nawiedzić miała, nie widywano ich jednak w takiej gromadzie. Miarkowali z tego chłopi, że powódź będzie sroga, sroższa, niż zazwyczaj, bo te weredy czują wodę. Ale zadrżała również nowotarska.

Dwa dni z tygodnia przed świętym Janem deszcz się wzmógł, a dnia trzeciego ulewy całe niebo od strony orawskich Tater pokryło się po południu koło godziny trzeciej chmurą czarną. Zagrzmiało kilka razy i chmura oberwała się na ziemię. Deszcz nie lunął, ale runął z wysokości. W jednej chwili wody poczęły tak pęcznieć, jak źmije, gdy się najedzą. W Ludzimierzu wezbrały oba koryta Dunajca, to, które idzie pod kościół, i to, które idzie pod brzeg, gdzie siedzieli Gapka i Wietrzny Kuba, rybak.

Między temi korytami, bocznem pod brzegiem i głównem pod kościołem, rozciąga się szeroka rówień, kamieńcem zwana, trawą w znacznej części porośła, pastwisko gminne, któredy i z dalszych pastwisk, z Zardzawicy i skądinąd bydło powraca i wbród główne koryto rzeki pod samą wsią przechodzi. Na Maruszyńskie i Rogażnickie Wierchy stamtąd widno i na łańcuch Tatr w jedną stronę,

w drugą na Gorce, Kluczki, Babią Górę i Orawskie wzgórze.

Dzieci nieletnie w Ludzimierzu pasaly, z wodą obeznane dobrze, od wilków w lecie spokojne, zwłaszcza, że lasu w pobliżu kamieńca i pastwisk między rzeką nie było. Deszcze ich nie trwożyły, ale gdy woda wartko i bystro od Krauszowa, Długopola i Czarnego Dunajca z Kościelskiej i Chochołowskiej Doliny się tocząca, nagle wzbierała zaczęła, tak nagle, iż w oczach rosła i dźwigała się ku krańdom pobrzeży, w popłochu gnały bydło ku rzece, póki jeszcze zbrodzić ją można.

Lecz napór wód był tak gwałtowny, że bydło mu się oprzeć nie mogło i wegnane pierwsze krowy co słabsze fala obaliła i toczyć po męcie zaczęła. Na który widok inne z rykiem z wody i od wody się cofnęły, pasterze jęli krzyczeć i płakać i zgromadzone już na przeciwnym brzegu kobiety również krzyczeć i płakać jęły.

Wieś poczęła się na brzeg zbiegać. Chłopi z pobliża po konie poskoczyli, a konie mieli rosłe, bo zdawna po wino na Węgry i po sól do Wieliczki jeździli, i wpław na ratunek w rzekę wjechali. Ale choć kilku śmielszych na najlepszych koniach na drugą stronę dobiło, nie wszystkie dzieci, na koń je biorąc, ratować mogli. Więc te, które zostawały, z rozpaczy się im portek i końskich ogonów chwytaly, lecz kilkoro czy z trwogi, czy też nie miał ich kto już zabrać, zostało na wyspie. Chłopi batami krowy w rzekę gnali, sądząc, że między konie je wzięwszy, przegnają. Ale krowy nagnać się nie dały, a woda rosła. Więc z powrotem puścili się chłopi z samemi dziećmi; mały Jaś Cajków, co przy ognie Byrnasowego siwego ogiera wisiał, odpadł w prądzie i woda go uniosła.

Niedługo rzeka wystąpiła z koryta; z dwu stron poczęły się rozlewać wezbrane odmęty, a wyspę, na której

stało kilkadziesiąt sztuk bydła i kilkoro dzieci, poczęły otaczać wody powodzi.

Już ryk krów i lament dzieci woda głuszyć zaczynała.

Wtem nadbiegł Jędrrek Fit z głośnem wołaniem:

— Ka Zosia!? Ka moja siostra Zosia!?

Rąbał on drzewo opodal w lesie, w Grełu, i porzucawszy siekiereę pędził na ratunek, bo wiedział, że Zosia z krowami za wodę poszła i że woda stać się groźną już musi.

— Hań — wskazał mu ręką wójt Sopiarcz za Dunajec, bo Zosi nie miał kto na konia zabrać.

Więc Jędrrek w wodę skoczył. Silny, młody chłop do pół koryta ramionami i grzbietem wystając z tonią walczył, lecz go zniosło. Rękę w górę wznosił i pochylił się, rzucił się naprzód, lecz sile fali oprzeć się nie mógł, zatoczył się, padł i płynął przewracany prądem.

Na ten widok matka ich, wdowa po Michale Ficie, przysiężnym, która niemo nad brzegiem stała, niemo wtył padła. Nikt się nie popatrzał, czy żyje, czy umarła. Nie było głowy nato.

Nastąpił mrok taki, jakoby się słońce zaćmiło. Woda nie rosła już, ale piętrzyła się; od brzegu cofać się musiano. Zachód słońca zaledwie znać było w nawale chmur, które tylko bladły w tej stronie. Dunajec wylał na gościniec, mętny i brudny zalał ogrody Bartłomieja Fita, Kruźłów, Szymczyków, organisty. Rzucono się do chałup bliżej wody stojących na ratunek rzeczy, dobytku domowego, niemowląt, starców i chorych. Na falach już toczyły się pnie z tam powyższych i drzewa powyżej powyrywane.

Ciemności potężniały i ulewa nie ustawała w potędze. Za wodą już tylko jakoby kępę w cieniu, gromadę krów i kilkoro dzieci wtłoczonych między nie odróżniano. Ludzie przed powodzią musieli się cofać coraz dalej od brzegów. Pod wieczór na gościńcu już koniom nad brzuch woda się-

gała. Z dachów nawoływano ku krowom i pastuszkom, jak gdyby im to co pomóc mogło.

Łodzi we wsi nie było, woda na to zawsze była o wiele za płytka; o żadnej tratwie myśleć nie można było, rzeka by ją była rozbiła, rozniosła i porwała za sobą. Nikt zresztą w całej wsi nad płótką górską wodą pojęcia o pływaniu nie miał.

W pola, w stronę lasu, wynosili się chłopci nad wodą mieszkający.

Gdy wieczór zapadł, kto miał dziecko za rzeką, powtarzał: czy je też zobaczy jutro rano? Matki i siostry wyły w lamencie.

Noc rozpętanych żywiołów, powodzi, deszczu, huraganu i ciemności czarnych pomnożyła rozpacz, a gdy błądy dzień zaświtał, przed oczyma górali ludzimierskich widniało ryczące morze, na którego wścieklej spienionej glinianej barwy fali płynęły domy zniesione z wyższa, które druzgotało w ich oczach i porywało domy ich własne i które pochłonęło bez śladu dzieci ich wraz z bydłem. Nie było widać nic, tylko toń ryczącą, niezmiernie rozlaną.

Na myśl, jak woda zbliżać się musiała w nocy, jak rykiem trwożyła śmiertelnie, a stopy podmywała coraz wyżej; jak dzieci chlupotały w wodzie, jak im sięgnęła kolan, brzuchów, jak je obaliła i porwała wraz z krowami i poniosła gdzieś, naprzód, na głębie pod Sypką, pod nowotarskim brzegiem, gdzie je topielce chwytaly, skąd ich już nie uratuje nikt nigdy, ani nie ujrzy; na myśl, jak te dzieci płakać i wołać o ratunek musiały, nim tonąć zaczęły: matki dostawały obłędu.

Cała dolina nowotarska zatoneła w klęsce powodzi; nawet w wysokich wsiach podhalańskich, gdzie zwykle potoki z hukiem wdół spadały, poginęli ludzie, bydło, poobały się domy. Lamentem napełnił się świat dookoła. Trzy

dni woda gazdowała niszczącą potęgą, niczem nie odparta, niczemu nie podległa.

Z Nędzowego Gronika w Kościeliskach, z wysokości nadwodnej patrzył na to Janosik i słuchał, pozberkując obuszkiem ciupagi po kamieniach przed domem.

Głód jął się szerzyć od północy Tatr polskich i przybierać rozmiary straszne, ciągnąc za sobą śmierć, co się jaze potem zalewała od prace.

Janosik Nędza Litmanowski rozdawał, co miał. Dawał z gestem króla, wspaniale, chciał, aby wiedziano, że biorą i od kogo. Rzucił skarby z miną wielkiego pana, którego żadna klęska ziemską dosięć nie może, który nie obawia się niczego i od niczego nie jest zależnym. Ale choć było tego mnogo, była to kropla w morzu nędzy i wyczerpało się wkońcu.

Wówczas Janosik począł myśleć. Począł myśleć więcej i głębiej nad tem, co mu jeszcze w zimie w głowie błyskać jęło.

I pewnego popołudnia poszedł ku izbom, gdzie mieszkały nieopodal jego domostwa siostry jego stryjeczne, Krystka i Jadwiga Nędzówna, z bratem młodszym Wojtkiem.

Zastał je w czarnej izbie na warsztacie przędące, a Wojtuś pod oknem kozikiem łyżnik strugał.

— Niech będzie pochwalony! Co ta u was słychać, dziewczęta? — zapytał Janosik.

— E, nic ta takiego, bracie. A tobie jak lepiej? — odpowiedziały dziewczki.

— Bieda na ludzi przyszła — rzekł Janosik.

— Ej bieda, bracie, bieda — powtórzyła Krystka.

— O, bo bieda — dodała Jadwiga.

Westchnęły znowu obie.

— Dziewczęta — ozwał się po chwili Janosik. — Zaśpiewajcie o zbójnikowi, o Janosikowi.

— E, bracie, ani sie śpiewać niechce — rzekła Krystka.

— No to tylko cokolwiek, niegłośno.

Wojtuś podniósł oczy na Janosika. Słyszał on nieraz, bo to wszyscy gadali, że gdy Janosik, strywny brat, hetman zbójcecki, chce myśleć, każe sobie o zbójnikowi, o Janosikowi jakimśi, tegoż imienia, co przed latami, kiedyś bywał, śpiewać, a gdy co namyśli, „ziem sie trzęsie“.

Zabrzmiała cicho pieśń, a Janosik oczy w sosrąb na powale wlepił i słuchał, a gdy prześpiewali koniec o szubienicy, gdy zbójnik mówi:

Kieby jo bęł dawno wiedział,
ze jo budziem na niej wisiał,
dąbyk jo jom odmalować,
śrybłem, złotem wyobijać.
Ode spodu talarkami
a od wiérhu dukatami,
a na wiérhu złotu kawku,
gdzie położem swoje hławku!...

Janosik wstał, końcem kierpca kota odsunął i rzekł:

— Bądźcie zdrowi wszyscy! Dobra noc.

— Dobra noc, bracie!

Janosik wyszedł przed dom stryków i szedł ku swoim izbom, a gdy był przy nich, włożył dwa palce w usta i gwizdnął.

Rozdarło się powietrze i psy tu i owdzie zaszczekały strwożone.

Niedługo z lasu, skąd dym snać nad chałupą widać było, wynurzył się wysoki chłop i zbliżać ku Nędzowemu domostwu począł.

Przyszedł potem drugi towarzysz Janosikowy i trzeci— Gadeja, Mateja i Mocarny Stopkowie, Janosikowi towarzysia zbójcecy. Stanęli w milczeniu, gotowi słuchać, co powie.

— Chłopczy — rzekł Janosik — ja wam już radził kiedyś, że pójdziemy na wojnę.

— No — odpowiedział Gadeja — radziłeś.

— Uważamy — powiedzieli drudzy.

— No. Straszne biedy na lud przyszły. Ludzie marli od biedy w zimie, potem powodzie, mrą zaś znowu w jesieni i tak już widzimy dalej będzie. Takie czasy nastać obiecują. Chłopcy idźcie pomiędzy ludzi: Kto chce ze mną na wojnę iść, po wszystkie dobro, na chleb, na mięso, na wino, na złoto: niech tu przyjdzie. Do trzech dni ludzie tu mają być. Na Nędzowym Groniku.

— I gdzie pójdziemy? — zapytał Mocarny.

— Na chleb, na mięso, na wino, na złoto.

— Do Polski?

— Na chleb, na wino, na mięso, na złoto — powtórzył Janosik.

I siadł przed izbami na ławie, nogi przed się wyciągnąwszy i palce w przypory u portek wsunąwszy.

Maciuś wrócił z chałupy ze skrzypcami i zaraz grać począł. Czasem mu Janosik nutę zcicha przygwizdnął. Czasem zcicha przyśpiewał:

Nie bój się Janicku, nie bój się tego nic,
Orawskiego Zamku, luptoskik siubienic!
Nie bój się Janicku, nie bój się nie zginies,
wyjdziesz do wirsycka, siekiéreckom zwines!

Noc szła i gwiazdy w nów miesiąca załśniły sklep ciemnych niebiosów. Lekki wiatr, który w nocy zwykle przychodzi, podmuchiwał od turni Czerwonych Wierchów.

*

Szli pełni ochoty, nadziei i wiary ku Janosikowi Nędzy Litmanowskiemu na Nędzów Gronik, Krzyś, Marduła i Gałajda, spotykając po drodze innych dążących tam uzbrojonych chłopów, a z nimi moc bab, które im towarzyszyły, „zbroje“ i pożywienie niosąc, gwarliwe i mowne na potęgę.

Zaszli ku Janosikowi wraz, tamże już sporo luda zastając.

Stał Janosik przed chałupą, do wojny już przybrany,

od rynsztunku, blach, klamer błyszczący, a chłopci i baby, co go pierwszy raz widzieli, szeptali:

— Widzisz, taki je ten, hetman zbójceki, złotem malowany...

Koło Janosika zaś stał sztab: Mateja, Gadeja i Mocarny Stopkowie i Sablik stary z gęslami w rękawie, a nieopodal, tuż przy nich, ustawili się mały Krzyś ze skrzypcami pod pachą, wystrojony i uzbrojony, Marduła i potwornej wielkości, Gałajda, któremu najwyższe chłopcy po ramiona były.

Dalej, przed drzwiami domostwa stanęli Janosikowi rodzice, ojciec i matka, starzy, poważni i dostojni, majątkiem i dobytkiem nad klęski i biedy' wszystkim groźne wyżsi; Maciuś celadniczek i dwie siostry, stryjeczne Janosika, urodziwe Nędzówny, Jadwiga z Krystką Zubkosowe i brat ich Wojtuś.

Gdy się chłopci i baby grupowali, a gwar nie ustawał, nagle Janosik z za pasa dwóch pistoletów dobył, tego nabitych i w powietrze nad głowy huknął.

Uciszyło się, jakby makiem zasiał, on zaś na pniak skamieniały, na którym drwa rąbywano, wstąpił, i powiódłszy dookoła oczyma, ozwał się głosem szerokim:

— Ludzie!

Biedy wam dokuczają, złe was gnębi, czysto-pięknie wyginać chcecie. Głód, mór, powódzie, nieurodzaj, wszelkie nieszczęścia was trapią, co sie widzi, iż się z was tylko strzępki ostaną.

Mnie ta nic. Samemu. Ojcowizna i macierzyzna moja nie takie czasy przetrzyma, a ja sam chociaż moje złoto i srebro hudobnym ludziom ozdał, kiedy będę chciał, to go jeszcze tyle przyniesiemy, co go ten oto wielki Gałajda, choć on konia na grzbiet bierze, nie udźwignie.

Od Żelaznych Bram na Dunaju, przez Żelazne Wrota i Kamienistą Przełęcz w Tatrach, my czterej tu z Gadeją, z Mateją i Mocarnym Wojtkiem dukaty przynosili i jak

padnie, przyniesiemy. Ale na was, ludzie, bieda. Choć to i który wyskoczy za bucki, to tylko zbabrze. Wstydu narobi, zbójnikiem, jak się patrzy bądź kto nie będzie, tak jako i wrona orłem. Mnie samemu tego nie trza, ale sie mi was sytkich żal stało.

Dziadkowie nasi i pradziadkowie tam za Tatry pozierali. Bo tam chleb, zboze, wino, złoto i ciepło. Doliny do cudu, rzeki rybne, po górach zwierzyny nie tak, jak u nas, co się mało gdzie zając, albo sarna trafi, ba tylko wilk i ryś; ptaków moc, a u nas tylko orzeł straszny na niebie. A kiedy wiosna przyjdzie, to u nas dziwaśka drozd, a tam az drzewa śpiewają i z lasu ci się wyjść nie chce, ba ci tak jak złotemi niciami ptaszkanie śpiewający nogi płaczą. Jest tam życie! Co wysiejesz, to ci zejdzie i ulewa ci tyle nie zgnoi, ani wiatery nie weźmie. Tam radość! Słońce świeci i grzeje, wesoły świat. Smreki konarami obite do ziemi stoją, nie takie, jak u nas wiatrem osieczone; jabłka, gruszki, śliwy, wiśnie same na ziemi, od dojrzałości spadają. Świnie możesz chować, bo dębowych i bukowych żołędzi tyle godnie, co sie same przez lato po lesie wypasą, nie trza karmić. Krowy jedna jak trzy nasze, woły siwe okrutne, konie, jak srebro! Tam ziem! Dziadkowie i pradziadkowie nasi za Tatry pozierali, a babki i prababki nasze śpiewywały:

Janicku, Janicku, bęby s tobie zbójnik,
kiebyś se wyrubał do Luptowa hodnik!

Bo sie im w tej twardej naszej, zimnej, biednej, skalnej ziemi góralskiej, tamten bogaty świat śnił i nocami gwarzyli o nim, a biadali w lata głodów, moru, powodzi: e czemuż my też nie tam, za Tatrami, kiedy my pono przed wiekami na polską stronę przyśli? Tak se gwarzyli sami do siebie, abo pomiędzy sobą uradzali!

Tam ziemia bogata! Chłopi! W Luptów, na Uhry, za Tatry was powieść chcę, ja Janosik Nędza Litmanowski,

hetman zbójcki, co po Uhrach zbójował, na ślachcie polskiej za chłopską krzywdę się mścił i króla polskiego na jego gazdowstwo po szwedzkich trupach wywiódł! Idziecie ze mną?

Długa chwila milczenia zapanowała pośród obecnych, gdy nagle zachwycony Marduła i olśniony Krzyś na gardła razem zawiedli:

Janosik, Janosik, twoje bite ruce
budom otwierały kupieckie truchlice!
Kupieckie truchlice i królewskie składy
budzies se otwierał Janosicku młady!...

a po nich chłopci, baby, tysiące głów powtórzyło:

Kupieckie truchlice i królewskie składy
budzies se otwierał Janosicku młady!...

Las zahuczał i góry zahuczały. Chwycił Sablik gęśle z rękawa guni, Krzyś skrzypce z pod pazuchy, toż Maciuś celadniczek Janosikowy po skrzypce na wyzkę, nad izby skoczył. A że ten i ów chłop fujarę, gęsiołki, kobzę, piszczałkę na wojnę z domu zabrał, żeby mu drogami iść było weselej, zabrzmiał las od muzyki i zabrzmiały góry lesiste w Polanach.

Lecz Janosik jeszcze mówić chciał i z dwóch drugich pistoletów, bo ich miał cztery za pasem, wystrzelił.

Ucichło, on zaś powiódł dookoła po ludziach oczyma i ozwał się głosem szerokim:

— Chcecie iść, to was powiodę! Panów luptowskich, grafów i baronów, na gałęziach powiesimy, zamki rozbijemy, hajduków pańskich i biskupich, żołnierzy i żupanów madziarskich pobijemy, wojaków rozbroimy! Ja sam z towarzyszymi, z tymi tu trzema: Gadeją, Mateją i Mocarnym Wojtkiem, za regiment wojska obстоję!

— Idziemy — ryknęli chłopci.

Naówczas gęśle, skrzypce, fujary, kobzy, piszczałki zabrzmiały, aż się niebo wzdrygło.

Janosik ojca i matkę w ręce zmarszczone pocałować przystąpił, a oni go w lico pocałowali, objęli go za szyję siostry stryjeczne Krystka i Jadwiga Zubkosowe, celadniczek Maciuś w rękaw go od koszuli pobośkał i Janosik na czoło. wyszedłszy, strzałem z rusznicy dał znak gotowości.

W Kościeliską Dolinę Janosik ruszył i chłopów prowadził, a baby z nimi ogromną hałaśliwą bandą ku odprowadzeniu postępowały.

Było po południu, dzień mglisty i wilgotny. W las wstąpili olbrzymi, co zaraz nad Nędzowym Gronikiem się zaczynał. Przez Kamienistą Przełęcz popod Bystrą Janosik chłopów przewieść chciał, poddowództwo między trzech swoich towarzyszy, Sobka Topora, dwóch Nowobilskich z Białki i dwóch sołtysów od Nowego Targu rozdzieliwszy.

W noce bez spania on sobie Liptów dla polskich górali zdobyć umyślił. Niejedną noc na tem bezsennie strawił i niejedną raz sobie o Janosikowi o zbójnikowi śpiewać kazał, aż mu plan w głowie śmiałej dojrzał. Ziemi na Liptowi i południowym Spiżu i dalej w gemerskim, trenczyńskim komitacie i ku Koszycom było dość — mieli się gdzie podziac i słowaccy i polscy górale, a Słowacy za wolność z pod straszliwego ucisku madziarskich panów z otwartemi rękami pobratymców z za Tatr powitają.

W niespane noce śnił Janosik rzeczy wielkie i cudowne. Śnił krainę szczęścia, sytości powszechnej i dostatku, a by ludzie nie rdzewieli i duch w nich nie upadał, śnił wyprawy dalsze już nie za Tatry, ale za Nitrę, za Niżnie Tatry, za Fatrę, Matrę, Hegyalję, na Morawy, na Śląsk, do Austrii, na równie węgierskie pod Komarno i Budę. Śnił się i marzył Janosik hetmanem chłopskim jeszcze nie takim, jako teraz... I śniła mu się wdzięczność ludzka, miłość, sława, hyr po świecie...

W wąwóz Kościeliski wkroczone i bramę nad Dunajcem minięto. Na polanie, gdzie chłopci miętusiańcy siano koso-

wali, rozkazał Janosik babom odstąpić i do domów powrócić. Z płaczem, ale i radością, że zdobyć bogaty kraj idą, kobiety chłopów żegnały i gromadą zawodząc do domów poszły. Wysoko brzmiało po lesie: Janosik, Janosik, twoje białe ręce...

Drogą żelazną, górniczą, pomiędzy olbrzymi stary las kroczył pochód ku źródłu w dwie strony płynącemu, ku wodzie tajemniczo z pod skały wytryskającej, pod straszny ów zapadły w turnie żleb, kędy woda w ulewy męty przelewała przez głązy, gdzie smoki, strachy i dziwotwory mieszkają i gdzie nikt bez zgrozy i niepokoju nie wstąpił na ślizgie kamienie popod wilgotne prostopadłe ściany wapienne.

— Tam — mówił Sablik — Mnich mieszka. Kiedy powódź ma być, wychodzi z kagańcem w ręce, tam on dziewczęta porywa, pasterki, abo te co na jagody idą. Tam zginęła Salka Pakusarczowa z Miętustwa, Kasia od Komperdy z Czarnego Dunajca. I dziwożony tam siadają i smoki okrutne, poczwary straszne, z trzema głowami, jedna barania, druga wilcza, a trzecia człowiecza, albo sowy. Ciało ma wilcze z rybiemi skrzelami. Z jam wyzierają, a kogo chyca, to ich. Ani sie niedźwiedź nie wybroni. Był śmiały polować Marduła. Byka kiedy za jeden róg dopadł, to na ziem ich prasnął. Na niedźwiedzie hadzał z procą, a kiedy ubił, to sam na plecach do wsi przyniósł. Bywają niedźwiedzie, co i do dziewięciu centnarów ważą. Haj!

Razu jednego stracił się mu niedźwiedź, co przed nim uciekał. Przez przełęczkę z Hohołowskiej Doliny. Ale jemu ta niedźwiedź pilno nie uciókł. Noc była ciemna. Marduła był chłop śmiały, ale nie mógł za nim iść po ciemku. Złożył watre na plasiencie na kraju i siadł. Co się działo, to niewypowiedziane rzeczy. Całą noc barany beczały, wilki wyły, sowy hukwały, a i głosy ludzkie słyhać było. Coś

w żlebie cud robiło! Marduła nietylko nie usnął, ale ani nie legł, ba siedział tylko i ciupagę w garści trzymał. Widziała sie mu ta noc za pięć nocy. Ledwie zaczęło świtać, Marduła wstał, ciupagę przy sobie i procę tylko miał nago-towioną i idzie. Nalazł kości z niedźwiedzia. Ja tak uważem, ze go hań nie miały zjeść wilki, ani liszki ogryźć. I on ta też tego nie radził potem do ludzi, że Marduła. Po-wiadał, że tam nawet mało znać było, coby sie niedźwiedź bronił komu, abo czemu. Taki potwór z trzema głowami musiał go wej przysiednonć, tożto prędko nieżywy był. Ono jyno potem sie ich musiało więcej zleciec i o mięso się wadziły, abo może i były między sobą. Temu tylo hałasu było. Ale po nich śladu niemasz, bo to duchy. Do samej śmierci to Marduła opowiadał. Haj.

— Słyszeliście? — wyrwał się z szydercza któryś dow-cipniś z dalszych wsi, z nizin, gdzie im te rzeczy obce były.

— Słyszałem, prosię kwiczące — odpowiedział Sablik mgliste, sępie, stalowe oczy zwracając na śmiałka.

— Dostałeś, siedź cicho! — ozwały się głosy i dało się słyszeć kilka klapnięć po kapeluszu. Mędrsi chłopci wie-dzieli: kto Sablik.

Patrzył wgórę Janosik ległszy przy watrze i zwolna szerokim głosem zaśpiewał pieśń starą, którą rad w górach wysokich śpiewywał.

*

Zachodziła powoli noc. Niebo ciemniało, z niebiesko-szafirowego stawało się ciemno-granatowe, prawie czarne. Wiatr rozdał mgły i napośród nieba zawisł w bezdni szczy-tom i mgłom niedosięgly miesięczny sierp, biało-srebrny, lśniący błyszczący, z różową osmużką, ostrym brzegiem na niebie wycięty. Orły i jastrzębie ogniskami pobudzone odzywały się pociągłym piskiem z turni, a zwolna las na-pełnił się rykiem, bekiem i jakoby fujar olbrzymich prze-

rażliwym głosem: to jelenie odprawowały po polankach leśnych rykowisko.

Po kosodrzewinie, poniżej po lesie i dookoła po upłazach szumiał wiatr. I jakby jedną myślą z tysiąca piersi dobyty, zagrzmiął w pustynie skalne krótki śpiew, westchnienie zbójeckie:

Świeć miesiącku świeć mi wysoko, nie nisko,
bo ja ide na zbój daleko, nie blisko!..
Ej na tej polskiej stronie, ej daj nam Boze zdrowie,
na węgierskiej ceście daj nam Boze szczęście!..

Powoli cichła gwara ludzka. Jednych począł morzyć sen, a drudzy myśleli o tem, dokąd idą, poco i czy wrócą jeszcze? Niedola ich na wojnę gnała, na zdobycie ziemi..

Koło Janosika towarzysze już spali, nawet Sablik marmotał przez sen, choć on nieraz noc całą przeszeptał sam do siebie, we watrę szyszki i gałązki rzucając.

Zasnął i on, jeden tylko jeszcze Krzyś jedno oko miał otwarte i nucił coś pod nosem.

Ale Janosik nie spał.

Waligóra z Wyrwidębem, Pętorzek z Wódpuscem, Łamiskała z Walilasem wielcy Toporowie, co Hrube wykarczowali, i potężny przodek Janosika, Jano z Gronia, który sam jeden hałę Miętusianów napadał, bacę i juhasów pobił i siedm sto dojek uwiódł, miętuskich gazdów zniszczywszy, że potem wołali: nędza! nędza! — a stąd mu nazwisko Nędzy nadano — przyszli mu na pamięć.

Ogromny wiekuisty pyszniański las szumiał i kołysał mu ich wielkie nieśmiertelnej chwały postacie, kołysał szumem o sławie przodków.

Lecz większą on sławę osiąść mógł lud cały z biedy, nędzy, ubóstwa, w krainę dostatku prowadząc. On jako by królem nad narodem mógł stanąć, świat mu na nowo stwarzając. Odmienne życie, życie szczęścia chciał Janosik góralom swoim stworzyć. A wówczas w da-

lekie wieki szumieć będą wsze lasy tatrzańskie jego imię: zbójnika nad zbójniki, mężnego nad mężne, hetmana nad hetmany. Błogosławieństwo polskie i groza węgierska imię jego wieńczyć będą, jako świerki zielone wieńczą strzelistą turnię w Białem pod Giewontem.

I zdjął Janosika sen.

A gdy się ocknął i spojrzął na siebie, już na bielejącem niebie gdzie niegdzie tylko migotały gwiazdy. Nadchodził świt.

Wówczas powstał on i gwizdnął.

Świst ten, jak tysiące strzał, roztrysnął się dokoła i las sobą napełnił.

Porwali się na znak hetmański Mateja, Gadeja, Mocarny Stopkowie, siadł na trawie stary Sablik i dłońmi po wilgotnej trawie pociągnawszy, twarz sobie i oczy rosą przetarł; pobudzili się chłopci. Marduła trzykrotnie wgórze wysoko na ochotę podskoczył i palcami obu rąk mocno się trzykrotnie po skórzanych piętach od kierpców trzasnął.

I zaraz cokolwiek, co jeszcze kto miał, zjadłszy, w pochód dalszy, na Kamienistą Przełęcz ruszono. Bielał świt, gdy po czerwonych piargach i żółkłej jesiennej trawie, zimnym szronem pokrytej, w chłód po uboczy wspinali się chłopci, a gdy ostatni wspiął się na siodło i przepad stromy, świecił się w zorzy porannej świat.

Jasno-różowo błyszczało niebo z poza Krywania i blask złocisty padał na ciemno-zielone Niżnie Tatry Liptowskie, a dolina u stóp jeszcze leżała w mroku. A gdy powoli światło stopiło mrok, ukazały się mgławice szare nad ziemią, nieruchome.

Ale zwolna poczęły rzednąć i przedzierać się mgły, ukazały się białe dziedziny, wsie i miasta i zasrebrzył się bystroprądy Wag.

Prybilina, Królewska Lehota, Poręba, Hradek, Mikulasz — liptowskie wsie i miasta, gdzie bogate sklepy

i dwory, gdzie się pszenica rodzi i wino, gdzie pod chleb siwemi wołmi orają...

Gadeja, Mateja i Mocarny Stopkowie, towarzysze Janosikowi, zawiedli na ten widok chórem co zawsze, gdy Tatry z hetmanem przestąpili, śpiewali:

Na dole, na dole, siubienicek troje —
wybiéraj se śuhaj wtore bedom twoje?..

Janosik patrzył na dolinę przed sobą i mężne, bohaterskie serce wzbierało mu w piersiach. Czuł się jako orzeł nad światem. Ziemia leżała nisko, drzemiąc jeszcze o poranku, on zaś jako wiatr halny kłębił się w górach, wewnątrz Tatr, jako tuman chmur z za skał i wierchów się dobywał, by runąć na nią i zagarnąć w panowanie.

— Hej haaa! — zahuczał nad ziemią, podobnie jak się wiały halny głosi hukiem w turniach, nim spadnie na nizinę.

Na tej przełęczy kamiennej ważyły się losy tysięcy i jego. Stał na granicy, prawą nogą przy ciupadze na polskiej, lewą po węgierskiej stronie.

— Hej haaa! — powtórzył, a echo poleciało skałami.
I ruszył naprzód.

A za nim ruszyli chłopci.

Podalej zaś coraz spokojniej, coraz jaśniej rozwierała się liptowska równina. Jakoby sen na niej leżał różany i złoty. Spokojnie oddychała piersią.

Wtem Janosik Nędza Litmanowski gwizdnął przeraźliwie i zazberczał ponad nią zdobioną w mosiężne obrączki wzniesioną nad orle pióro na głowie stalową ciupagą.

Janosik chłopów w lasy popod Krzywaniem zwiódł i w górę ku Krzywaniowi patrzył.

Krzywań zgóry na Liptów spozierał.

Wysoko w słońcu świecił jego łeb skalny, jak złoty.

On, jako sęp z rozszerzonymi skrzydłami ku Polsce się obrócił, grożąc jej krzywym dzióbem, jakoby zakroczył sobą Liptów i Orawę od Polski.

Piersią skalną spadł prostopadle ku dolinie Niefcyrke, Hrudy Wierch go zastawił, jak mur.

Groźno, straszno jego łeb złoty, nad lasy widny, słońcem uwieńczony, ku Janosikowi pozierał.

Tak się Janosikowi Nędzy Litmanowskiemu z Nędzowego Gronika w Kościeliskach wydało, jakoby moc lip-towskiego ojca Krywania wyzywał.

Dał Janosik odpoczynek chłopom przed wyprawą w lasach pod Krzywaniem. Do wieczora mieli wypoczywać. Z łuków zwierzyny nastrzelano i było co jeść, ale surowe mięso ze solą chłopci musieli pożywać, bo Janosik ognia kłaść bronił, aby dymy nie zdradziły, choć lasy były nie-przejrzone naokół.

Wiadomo, że djabeł nigdy nie śpi, a jak nie ma co robić, to pazury o kopyta brusi.

Poszli sobie Marduła, Gałajda i Krzyś do lasu.

Szli dalej, nagle zatrzymał ich dojmujący widok. Na perci leśnej nad kotlinką młody niedźwiadek, piastun, ale już spory i tęgi, wyszczerzył na nich zęby i usiłował podnieść się na zadnie nogi z groźnym gwałtownym mrużeniem; za lewą tylną nogę był on chwycony w żelazną paść, w oklepiec.

— Jezus Maryja! — krzyknął przerażony Krzyś i wtył się cofnął. Marduła w jednej chwili wznosił ciupagę do góry, ale Bartek Gałajda przytrzymał go za rękę, mówiąc spokojnie:

— Dajcie pokój, to młode i w oklepcu.

Żelazna paść zastawiona była na ścieżce, którądy woły na halę pędzono, a nad nią, jakie jest prawo myśliwskie, wbita była żerdka z deseczką poprzeczną w krzyż u górnego końca dla ostrzeżenia przechodniów.

Dwie półobręcze z długimi i wielkimi śpiczastymi zębami, rozłożone szeroko w mchu, zwały się, gdy niedźwiadek nastąpił na sprężynę, przyczepiony zaś na gru-

bym łańcuchu ciężki kłat drzewa nie pozwolił mu uciekać z miejsca.

Niedźwiadek był wściekły i w śmiertelnym zarazem strachu; raz wyszczerzał ku góralom kielce i usiłował grozić im przednimi łapami, to znowu próbował cofać się i umknąć, ale żelazne obręcze i kłat na łańcuchu hamowały go w miejscu.

Szarpał się i jęczał z bólu.

— Zastrzel go! — rzekł Krzyś do Marduła.

— Dobrze! — odpowiedział Marduła i strzelbę zdjął z ramienia.

Ale Gałajda się ozwał:

— Dajcie mu pokój! To młode. Co wam złego zrobiło?

— Niedźwiedź — rzekł Krzyś.

— No to cóż? I on chce żyć — odparł Gałajda.

— Bartek, aleś głupi — ozwał się Marduła. — Zabić go nie chcesz dać, a ostawisz go w oklepcu, co by się męczył, z głodu zdechł, albo co by go wilki zjadły?

— Ja go w oklepcu ostawić nie chcę — rzekł Gałajda.

— No to mu go zdejm — rozśmiał się Marduła.

Gałajda mówił jakby do siebie.

— Niewola straszna rzecz... A i ból straszna rzecz...

— Cóż to robisz? — zapytał zdziwiony Krzyś.

Albowiem Gałajda począł zdejmować swój ogromny serdak barani. Gałajda nie odpowiedział, tylko z szeroko rozpostartym serdakiem, odrzuciwszy ciupagę, postąpił ku niedźwiadkowi, który podskoczył ku niemu z rozwartą paszczą.

— Bartek! — wrzasnął Marduła.

Ale Gałajda zarzucił swój serdak na łeb niedźwiedzia, zawinał go, pochylił się i objął ramionami niedźwiedzie łapy i w jednym mgnieniu oka on, niedźwiedź, żelazny okle-

piec, kłat z łańcuchem, stoczyli się na dół z brzękiem i łoskotem w kotlinkę.

— Ohop! — krzyknął Krzyś z rozpaczną rezygnacją.

Marduła wyrwał nóż z za pasa i ścisnął ciupagę, gdy nim zbiegł na dół, ozwał się przerywany głos Gałajdy:

— Franek — — zleż — — rozewres — — żelaza — — toporzyskiem...

Marduła zdumiał się i skoczył przed siebie.

Tam Gałajda w potwornych swoich ramionach trzymał zawiniętego łbem i przednimi łapami w kozuch niedźwiadka, który się szarpał jak wściekły.

— Pilno — mówił — bo wereda — — mocna — — jak koń...

Marduła wbił toporzysko od ciupagi między zęby oklepca poza łapą niedźwiedzia, rozważył żelazo i wtył odskończył. W ten sposób uwolnili niedźwiadka.

— Ej, Bartek, aleś tys chłopski chłop! — rzekł Krzyś.

— Ani ci nie podziękował! — zaśmiał się Marduła.

— On mi podziękował, po swojemu — odpowiedział Gałajda.

— A gdyby cię był skaleczył? — rzekł Krzyś.

— No to, jako chciało. Dy on nie wiedział, po co ku niemu idę.

— Ja już myślał, Bartek, żeś ty rozum stracił.

— E, on ta i stracił. Jeszcze się to nie wydarzyło, coby kto niedźwiedzia z oklepca ratował — rzekł Marduła.

— Żal mi się go stało, tak jako i Kretowi tego dziewczęcia, u Toporów u Jasiców — powiedział wolno Gałajda.

— A siłę miał? — zapytał Krzyś.

— Malučko, a jaby go był nie dotrzymał — odparł Gałajda. — Krowę by ten już zabił, jeśliby na upartego szło!

— No, wiesz! Toby i ciebie mógł być zabić!

— Może — odrzekł Gałajda.

Krzyś rozdziawił na niego oczy i poszli dalej.

Było już słońce wysoko na niebie, gdy się z lasu wysunęli.

Szli prosto ku Prybilinie nad rzeką Belą.

Spostrzegli za małym przylaskiem karczmę, do której wstąpili i tak się tam „wesoło“ zabawili..., że ich aresztowano i w więzieniu osadzono.

Oprzytomniawszy nazajutrz, popadli w taką rozpacz, że postanowili za wszelką cenę wydostać się z tego więzienia. A że Gałajda chłop był najsilniejszy, wziął się on do wyłamania okna zakratowanego. Podczas tej roboty tak mocno głową się o kraty żelazne uderzył, że upadł, zemdlął i skonał na miejscu. Towarzysze zaś jego Krzyś i Marduła przez wyłamane okno uciekli, zamierzając wrócić do Janosika.

Trzy tygodnie minęło, gdy Marduła i Krzyś powrócili na Olczę. Zabłądzili uciekwszy z Hradku, po lasach się błąkali, głodni i spragnieni.

Janosik tymczasem dowiedział się o tem całym zajściu i o śmierci Gałajdy od kogo innego.

ROZDZIAŁ XVII.

Siadł Janosik Nędza Litmanowski, ręce za przypory od portek założywszy i nogi przed się wyciągnąwszy w zamku hradczańskim w wyłoczonej kasztelańskiej sali na szkarłatem obitym fotelu, a za nim stanęli jego towarzysze: Mateja, Gadeja i Wojtek Mocarnego Stopkowie i siwy stary Sablik ze sępiemi oczyma, pospierani na ciupagach. Przed nim zaś stał blady wylękły kasztelan, Iwo Szalany baron, z rękami w bezwładnym przestraczu opuszczonemi po żupanie.

— Proszę ich miłości wielmożnego pana hrabiego, klucze od kasy — rzekł Janosik grzecznie do kasztelana.

— Kasa cesarska.

— Ja tu teraz pan! Piszcie do cesarza: Janosik Nędza Litmanowski z Polski, z Nędzowego Gronika w Polanach, był i kasę wziął.

— Tomek! — zwrócił się do Gadei. — Bierz chłopów i idźcie za panem hrabią, kasę cesarską wybrać.

I wyciągnąwszy przed się rękę, palcem wskazał posłuszeństwo baronowi.

Zkolei zwrócił się do siedzącego pod ścianą ponsowego z gniewu kanonika, zamkowego proboszcza.

— Proszę ich miłość duchowną, Gałajdzie temu, coście go we więzieniu zanim ja tu z chłopami przyszedł i Hradek zajął, niezwywego znaleźli, co byście mu taki pogrzeb sprawili, jak gdyby generał cesarski umarł.

Zachnął się zuchwały ksiądz nie posiadając z oburzenia.
— Szalejesz, chamie!?

Ale Janosik ze szkarłatem obitego fotela wstał, ku księdzu postąpił, pistolet z za pasa dobył i pod nos go kanonikowi podsuwając, pocałował go w rękaw i rzekł spokojnie:

— Tedy, jako chcecie, jegomość. Ja was przemocą namawiał nie będę. Ale będzie?

I przybliżył lufę pistoletu pod nos księdzu.

— No jakoż? — pytał Janosik.

Ksiądz zaklął po madziarsku, porwał się z miejsca i wrzasnął:

— Zbóju!

— E ta o to nic — odpowiedział Janosik spokojnie i stałą lufy końca nosa księżego dotknął.

— Będzie?

— Będzie! — ryknął trzęsąc się z furji ksiądz.

Janosik ujął go powtórnie za rękaw, pocałował i rzekł:

— I coby prędko było, jegomość, duchem, bo też czasu nie mamy tu siedzieć. A co my się trochę teraz pokłócili, to nic. Gniewu o to między nami nie będzie.

Bierz chłopów, Mateja, i idź z jegomością pogrzeb Gałajdzie jeneralski sprawić. Ja tam przyjdę.

A setnicy i dziesiętnicy niech pilnują; kupców, żydów, panów rabować wolno, siedlakom, chłopom, a biedakom, szewcom, krawcom, rzemieślnikom nie brać nic, ba jeszcze, jak bieda nań, to mu rzucić. Zbójnik świat równa.

— No wiecie, ojcie chrzestny — zwrócił się do Sablika — z Gałajdy, z tyłego chłopca trup!

— No!

— Szkoda chłopca. Chciałem go cesarzowi, gdy się będę z nim w Peszcie ziemiami dzielił, pokazać. Chciałem się nim pochwalić — jakie to w Polsce chłopcy bywają...

Tak nagle, tak niespodziewanie Janosik z tysiącem chłopów Hradek podszedł, że go wziął. Zajął Hradek i myślał co dalej uczynić.

Potem siadł Janosik na stolicy na środku rynku na znak władzy swej odprawować sądy. Po mieście i poza miasto wołać kazał, że kto ma jaką skargę, niech przyjdzie, a sprawiedliwość znajdzie.

Szli więc chłopci słowaccy z narzekaniem na madziarskich panów, a Janosik słuchał i w pamięci karbował karby, kto się zaś na nędzę żalił, sypać mu pieniądze zrabowane kazał.

A gdy się chłopci zgromadzili, zwycięstwem upojeni i od walki gorący, rozkazał Janosik, siedząc na głazie, jodłę ściąć i ogromne ognisko na małej polance leśnej zapalić. Buchnął ogień i wzniósł się dym ze smolnych gałęzi. Poczęto jeść i pić, szumieć i huczeć. Dziko się stało niewypowiedzianie.

*

A zaś Janosika ciągnęła myśl, gdzie niegdyś przed laty, młodym chłopcem będąc, ze strykiem Wawrzkiem Nędzą (któremu nos złamał niedźwiedź) i z Jaśkiem Jarząbką, jego przyjacielem, (któremu nos złamała Kunda Harendzka trąciwszy go weń ramieniem przy zwyracie w tańcu, iż tak mówili obaj, że nikt ich nie rozumiał, a oni się wzajem rozumieli) wielkimi myśliwymi był chodził. Żyje li leśniczanka Weronka, po której mu tylko pozostała pieśń marzeń i natchnień wojennych.

Żyje li jeszcze w leśniczówce pod Batyżowiecką Doliną, ona i jej siostry Irma i Juczi, i jej brat Andrysz kulawy, co na harmonji grał?

A że chłopci byli zmęczeni, dał im Janosik w Hradku spoczynek, sam zaś z towarzyszymi Gadeją, Mateją, Mocarnego Wojtkiem lasami popod Tatry, do leśniczówki pod Batyżowiecką Doliną ruszył.

Nad wieczorem było i już gwiazdy pierwsze wschodziły,

gdy pod polanką w lesie, na której pobudowaną była leśniczówka, stanął. Potok szumiał, a ten szum poznał Janosik — wstrzymał krok, przymknął oczy i posłuchał chwilę. Tak jakby od tego szumu do szumu całe długie lata nie ubiegły...

— Ostańcie tu — rzekł do towarzyszy — bo by myśleli, że ich zazbójować idziemy i przelękli by się. I broje wam oddam, tylko ciupagę od psów wezmę.

Więc legli trzej towarzysze w gęstwinie, a Janosik szedł ku leśniczówce. Stanął u płotu przy furcie, gdy wysoka smukła kobieta właśnie psy podwórzowe z łańcucha spuszczać miała.

— Hej! — zawołał Janosik od furty.

— Kto? — zapytała.

— Swój!

— Kto?

— Z Polski. Ja tu na polowaniu był, będzie dziesięć lat temu.

Smukła kobieta się zastanowiła i odjęła rękę od łańcucha. Zadrżał jej głos, gdy pytała:

— Kto taki?

Poznał Janosik i szepnął głośno:

— Janosik.

Smukła kobieta postąpiła szybko ku furcie.

— Wyście to, Janosik? Z Polski?

— Ja — — Weronko — — —

Poznał zaraz Janosik, że jeszcze przez lasy wieść o napadzie na Hradek nie doszła, ni też że Weronka nie wie, iż ów straszny Janosik Nędzka Litmanowski, hetman zbójcecki, to on sam.

— Gdzie idziecie?

— Na robotę. Do Pesztu. Do hut żelaznych!

Otwarła Weronka furkę.

— Wejdźcie — rzekła. — Głodniście?

— Nie. Tylko bym rad pogwarzyć z wami.

— Potoście przyszli?

— Poto.

Weronka zatrzymała się.

— Janosik — rzekła —dziesięć lat — —

— Samo tak pachnie ten las i potok szumi — odpowiedział. — Ja kiedyś nad nim stanąłem, to się mi widziało, że od niego nie odchodził nigdy.

— A nie słyszeliście go dziesięć lat — —

Usiedli pod izbą na ławie, w pomroce.

— Weronka — zaczął Janosik — ja sobie waszą pieśń śpiewać kazałem. Pamiętacie ją?

I zagwizdał z cicha nutę swych natchnień wojennych.

— Pamiętam — odpowiedziała Weronka.

Taka była noc, kiedy poślubiliśmy sobie nawzajem serca nasze.

I szła cicha noc, a oni siedzieli na ławie pod izbą, w śródlesiu bezgranicznem, tajemnym, wysoko nad światem, dalecy życiu. I mówili.

Oparła mu Weronka na ramię lico, szepcząc tak cicho, jak gdyby ćma przefrunęła.

— A ty chcesz iść?

— Gdzie?

— Na grób?

— Jaki grób?

— O Janosik! W dolinę, wysoko, w Dolinę Batorywiecką...

— A ktoś tam leży?

— Kto?

Podniosła go ręką i powstali i przeszli ku bocznej bramce za domem, wprost w las, skąd się leśna perć rozpoczynała.

Weronka szła naprzód.

Wolno szli w oćmie nocnej, pod górę, bystro, a gdy

minęli smrekowy ślepy las, i w kosodrzewinę wstąpili, gwiazdy stały nad ich głowami. Gdzie niegdzie stała samotna wyniosła limba, jak cień.

Przebyli kosodrzewiny ogromne, gałązkami perć grodzące, świtać już miało, gdy w progi głązów wstąpili.

— Batyżowiecka dolina — rzekła Weronka.

— Spady — odpowiedział Janosik.

Z głązu na głąz, progami się posuwali w górę, a skały nad nimi stały zaćmione, ciemne, gwiazdami tu i owdzie podziergane u szczytów i grani i wiatr chłodny szumiał, poranny.

— Jam cię tu choć raz chciała przywieść — szepnęła Weronka.

— W tę dolinę?

— Tu — rzekła Weronka.

Ujrzał Janosik kopczyk mały, z kamieni usypany.

— Cóż to? — zapytał.

Weronka ukłękła bez słowa z rękami opuszczonemi.

Patrzył Janosik na szary kopczyk kamienny, nad którym skały mglily się w mroku i brzasku, jakby ruchome, a nieruchome wieczyście.

Weronka przeżegnała mogiłkę i wstała, mówiąc:

— Janosik, tu twój syn.

Janosik drgnął.

— Tum go pochowała. Żył tylko dzień. Nie dałam go ludziom, ani robakom ziemnym. Tu w trumience drzewianej, limbowej, gdzie nic do niego nie przyjdzie, leży w głązach i pod głązami, a za matkę mu wiatr...

— Ja nie wiedziałem — ozwał się Janosik.

— Wyniosłam go tu sama. Tu leży nasz syn... Aniś go nie widział nigdy.

— Ulżyło się sercu memu, gdym ci go pokazała. I on ojca poznał. W nocy się mi pytać chodził: jaki mój ojciec? skąd? On z Polski — —

Janosik przystanął dumnie na głazie, wznosił głowę i rzekł:

— Janosik Nędza Litmanowski, hetman zbójceki.

— Jezus Maryja! — krzyknęła przeraźliwie Weronka, cofając się z przestachem.

Ale Janosik ujął ją za rękę i powiedział:

— Nie bój się. Moją będziesz i nad Luptowem panią. W zamku siedzieć będziemy, a tu stanie złoty krzyż.

— Tyś po Luptowie zbójował!? Na ciebie płakano i przeklinano cię!? Na twoją głowę pieniądze naznaczono!? — wołała Weronka.

— Ale ja nigdy biednemu nie wziął, lecz tam, gdzie była kupa. Ja świat równa! Bo mnie samemu nie trza było. A i wesoły byłem! I śmiały! Dziad zbójnikiem nie będzie, tylko chłop! Ja się rad był światem ucieszyć i ze światem spróbować: Kto lepszy? Ja się tą ciupagą od Dunajca po Dunaj przerąbał! Haj!

I wznosił ciupagę do góry.

— Strasznyś! — rzekła Weronka.

— Ale sławny, władny i bogaty!

— Jak król — rzekła z pomimowolną pokorą.

— Jako król!

Wybielała spiska równi na dole, słońce strzeliło za Tatrami, a na czarne szczyty i granie Gerlachowskiej Wysockiej wybiegło różowo złociste światło i zapłonęło na nich, na zrębach i w załomach błękitnych, jak wstęga kwiatów.

— Dziecko niech śpi — rzekł Janosik, odwracając poza się głowę ku jezioru. — Jemu tu dobrze. Tu spokój. Nie przyjdzie ku niemu nikt, nie maćci koło niego. Tu cicho. Turnie go ogrodziły, jak mury. Tak se leży, jako na zamku królewski syn. Bądź zdrowa, Weronko. Ja tu prosto dołu zlecę, za wolem i perciami i przez las.

— Dokądże idziesz?

— Mnie czeka wojna.

— Z kim?

— Z panami...

— Janosik! Zginiesz!

— Albo ja, albo oni. Ktoś zginąć musi. Jakby się nieprzyjaciele bali, toby wojen nie było. Bądź zdrowa! I wyzieraaj mnie!

Objął Weronkę w szerokie ramiona, przygarnął ku sobie, ucałował w lico i oddalać się począł.

Gdy znikł wśród złomów, zbercząc ciupagą, rozpaczliwie krzyknęła Weronka:

— Janosik!

*

Biegł Janosik wdół samotny w pustce. Zbiegł, jak strumień wezbrany, do swych towarzyszy i ździwił się, albowiem zdala ujrzał nie trzech chłopów, ale czterech, pod drzewami leżących przy obozowisku.

— Któż tam? — zawołał zdaleka.

— Bafija — odpowiedzieli. Głos ich brzmiał, że Janosika niepokój przeniknął; w kilku susach ogromnych zgóry na dół był przy nich.

— Co chce?

— Już wszystkiemu koniec — rzekł Bafija.

— Jaktol!? — krzyknął Janosik.

— Wszystkiemu koniec. W nocy wojacy cesarscy skądś przyszli, Hradek wzięli.

— A chlōpi?

— Kto nie zginął, to uciekł.

Janosik zatoczył się i oparł o drzewo.

— Wszyscy uciekli!?

— Wszyscy, tylko ci nie, co ich zabili, lub pochwytali w niewolę. Za pośrednie ziebro wisieć będą. A wyście gdzie byli, hetmanie zbójecki!?

Śmignął Janosik obuch toporka w górę, ale go zatrzymał nad sobą — tylko straszne oczy padły w twarz Bafiji, tak, że ten zbierał i z ust Janosika grzmotnęło jedno słowo:

— Idź!...

Bafija się zwrócił i odchodzić począł, niktąc.

— Co gadał? — zapytał.

— To co i tobie — odparł Gadeja. — Przyszło w nocy wojsko, obstało zamek, chłopci się bronili, bo ich zniénacka nie zaszli, Sablik strzegł i warty poustawiał, ale mieli armaty, moc ich była, chłopci wzięli uciekać. A Bafija uciekał i tu zalecał.

— Sablik zginął?

— Nie. Wywiódł chłopów.

— Moc zginęło?

Gadeja nic nie odpowiedział.

— Sablik się oprzytomnił wnet — rzekł Mateja — Uciekł i któryś za nim.

— Może połowa — rzekł Gadeja.

— Żebyś ty tam był... rzekł Mocarny.

— Chwała Bogu, co go nie było! — odparł Gadeja. — Bobby był zginął i ani komu uciec nie dał.

— Nie byłbyś poradził nic — powiedział Mateja.

— Żołnierzy było ze dwa tysiące i armaty mieli.

— Tak i Bafija gadał — rzekł Gadeja —: chwała Bogu, co Janosika nie było! Bobby był ludzi do ostatniego wytracił! Tam się nie było co bić, tylko uciekać. Jeszcze niektórzy chłopci z pieniędzmi śmigli. Nejedna baba za swoim chłopem zapłacze. Jedni mieli czas, drudzy nie. Bafija nam tu wszystko opowiedział. Nie było cię długo.

— Prosto powiedzieć: nie mają ludzie na ciebie kłać — rzekł Gadeja. — Każdy wie, coś dobrze ludziom zrobić chciał. A nie dało się, no toś ty nie Pan Bóg. Nie wróci się ich moc, prawda. No to zaraz wiedzieli, że nie na wesele idą. Nie prosił ich ta za Tatry w Luptów nikt pod bukiętami, ba pod zbroją bić się.

— Musiało być tak, abo tak — rzekł Mocarny.

— Bóg strzegł, coś sie tam w tej leśniarce zabawił — rzekł Mateja — bo sam wiesz, jakiś jest. Z tobą niema żartów, zanadtoś śmiały. I tybyś był zginął i my trzej by my byli zginęli wszyscy do nogi. Aniby świadka nie zostało. Nie dało się, no to cóż radzić?

— Bóg strzegł! — powtórzyli Gadeja z Mocarnym.

— Tak jakby cię umyślnie odesłał — mówił Mateja.

— Panu Bogu przez rozum nie przejdiesz — rzekł Gadeja po chwili. — Któż wie, co On jeszcze od ciebie chce? Może cię jeszcze na to nawiedzie, cobyś Mu kościół z zbójnickich pieniędzy postawił, tak, jako kiedyś w Nowym Targu zbójnicy Świętą Annę ufundowali. Woli Boskiej nie zbadasz, nie, a do dzieła Boskiego sie nie przyczynisz, ani mu nie umalisz.

Tak mówili, patrząc na Janosika, któremu po licu biel czerwona chodziła, a po oczach cień i złysk.

Słuchał on jakby nie słysząc.

— Pójdźcie, chłopcy, tu stąd wyżej. Jest tam równinka między kosodrzewiną, podalej.

— Poczóż tam pójdziemy? Trza uciekać za Tatry. Popod Końcystą przez Żelazne Wrota — powiedział Mocarny.

Rozśmiał się Janosik.

— Przez Żelazne Wrota? Którędy my się od Żelaznej Bramy na Dunaju w Polskę ze złotem i srebrem wracali? Tamtędy?

— No, że tam najbliżej — odpowiedział Mocarny.

— Będziesz miał czas uciekać, nie bój się.

— A ono by trza. Bo nas szukać pójda — rzekł Mateja.

— Ucieczes i ty! Jeszcze czas.

— Janosik — zaczął Gadeja, ale dalej nie mówił.

Szli wgórę, którądy Janosik na dół był zbiegł. Wydo-stali się nad las i wstąpili na rówieneczkę wśród kosodrze-

winy, gęsto i zbiecie otoczoną krzami, wysokimi nad człowieka.

— Chłopcy! — rzekł Janosik. — Dajcie mi zbroje moją.

Odebrał z ich rąk rusznicę, pistolety i noże zbójeckie.

— A teraz posłuchajcie mnie!

— Co chcesz robić? — zapytał Gadeja niespokojnie.

— Podpalcie kosodrzewinę z trzech stron.

— Na co?

— Będziecie widzieć. Migem!

— Znak chcesz dać dymem? Komu? Chyba wojakom, że my tu jesteśmy.

— Macie czas uciekać, zanimby przyszli.

— A ty co?

— Zobaczycie. Migem podpalajcie! Dokoła!

Trzej towarzysze Janosika skrzęsali ogień i podpalili kosodrzewinę, on zaś stał między krzakami w pośrodku.

— Janosik, bo cię ogień ogarnie! — rzekł Gadeja.

Ale Janosik odpowiedział:

— Jeszcze czas! Pomału gore, dajcie mi ręce.

Dali mu ręce swoje i ździwieni i nierozumiejący stali chłopci, aż Gadeja, patrząc w lico Janosika, ozwał się powoli:

— Jezus Maryja, Janosik! Coś ty zamyślił? Śmierć se chcesz zrobić!?

— Cofnijcie się od ognia — rzekł Janosik. — Z równienki...

Chłopci się cofnęli, on zaś mówił:

— Wy mnie słuchać musicie do końca! Zaprzysięgliście. Póki ja żyw, ja herszt, a wyście sprości towarzysze. Pójdźcie tu!

— Janosik! — ozwał się Gałajda błagalnie, w sercu niewiedzącem przeszyty.

Ale Janosik mówił:

— Chłopcy! To nie mogło być, coby ja się dał pobić.

Jednej śmierci, haj, ale więcej na caluśkim świecie nikomu. Ani księdzu, ani grafowi, ani biskupowi, ani królowi. Jabym się miał do domu wrócić, coby się pomiędzy ludzi hańbił iść, coby mi baby do oczu skakały z zębami: a gdzież pójdziemy do Luptowa siedzieć? Chłopów żeś wytracił po próżnicy. O mnieby sie kto przechwalać miał, iżę ja przed nim uciekł? Ja, Janosik Nędza Litmanowski, hetman zbójcki, co o mnie po wszystkich dziedzinach na sto mil wkoło rozgłos szedł? Jabym żyć miał, kiedym nie dokonał, com postanowił? Kiedym dobrych ludzi powybijając dał i sam z nimi nie zginął wraz!? U mnie jedno słowo, tak, jako piorun kiedy grzmi, to grzmi! Bądźcie zdrowi! Szkoda, że Sablika niema, boby mi zagrał! Na ostatek! Mnie nie żal umierać. Ja tu nie będę sam. Jest tam wyżej przy stawie, mojego syna kopiec w skałach...

Niemi patrzyli towarzysze Janosikowi na to, co się staowało. Z oczu siwych i bystrych łzy im spływały na twarde twarze, ale się mu sprzeciwiać nie śmieli. Jego władza robiła, co chciała. Nie dorósł go nikt i przed jego oczami każdy cofał się. On zawsze rozkazywał!

Dym wzbijał się i ogień wznosił, ogarniając Janosika — rozumieli, że tak umrzeć chciał i że mu nato ręce podali. Okrutna zgroza i żałość ścisnęły im serca, ale go porwać z ognia nie śmieli. On zaś oćmiał od dymu w ich oczach i prawie znikł, na ciupadze wsparty.

— Janosik, zgorzesz! — zawołał Gadeja, z rozpaczą łamiąc ręce.

Nagle Mateja i Mocarny jakby porwać się chcieli, rzucić w ogień — ale z dymu krzyknął Janosik:

— Ja se śmierć zrobić muszę! Zginie, kto przystąpi! Inaczej nie może być!... Ja was Bogu oddaję i ofiaruję, bracia mili! Inaczej nie może być!...

W osłupieniu stali opodal ognia trzech towarzysze Janosikowi; płomień piętrzył się, wzmagął się, dym bił w górę

i zaćmił Janosika. Groza ich przejęła, trzęśli się i płakali — ale niemoc ich owładła. Zakłęcie głosu Janosikowego postawiło ich w miejscu. Aż gdy jęk usłyszeli w trzasku ogromnych krzów kosodrzewiny, w kurzawie ognia, który nagle buchnął płachtami czerwonymi, odwrócili się z krzykiem i popadali prawie na twarze, a potem zdjęci lękiem kość mrozącym biec poczęli przed siebie, z włosami spiętrzonymi do góry, jak capy oszalałe piorunem. Długo biegli, nim się uspokoili i nim, posiadłszy zdyszani daleko gdzieś w lasach przepastnych nieznanym, mówić mogli.

— Tak był powinien umrzeć — rzekł Gadeja. — Ja to pojąłem.

Klękli w ciemności gąszczu, wśród czarnych smreków konarami obitych do ziemi i głazów leśnych i modlili się, jak umieli, aż Gadeja, najstarszy wiekiem, rzekł:

— Pójdźmy, chłopcy, do Polski. Co tu robić dłużej? Janosik zginął.

— Na zawsze.

— Skończył się.

— Amen.

Ruszyli przed się i prosto szli, nieba nad głowami szukając. Aż gdy w nocy z lasu się wydobyli i w obcej jakiejś stronie wolnem powietrzem odetchnęli i skały prostopadłe gwiazdami poiskrzzone ujrzeni, w żałości, pamięci i uwielbieniu zawiedli:

Janosik, Janosik, twoje bite ruce
budom otwierały kupieckie truchlice,
kupieckie truchlice i królewskie składy,
budzies se otwierał Janosicku młady!

I szli w górę bez chleba i wody, prac się w skały mimo noc wyżej i wyżej, gnani okropną myślą, która bryzgała w ścianach zsuwistych, złomach ruchomych śmierć kołysających i zawisach urwanych, pod którymi gromadziła się czarna noc, chwytająca widne w świetle gwiazd stopy,

zamknięta oczom przerażonym martwą, skrzesaną w niezmierzoną głąb głuszą.

*

Mgły zawały świat. Mgły jesienne, grube, ponure, w których najbliższe drzewa, najbliższe domy nikły niewidzialne. Góry i dolina utonęły w pomroku, słońce zczezło w nim, zda się na wieczność.

Wrota od obory okolicznej skrzypnęły, psy wszczęły hałas, ale ucichły.

— Jakiś znajomy chłop idzie — rzekł stary Nędza do żony, która koszulę męską cienką igłą ślicznie haftowała.

Trzej towarzysze Janosikowi, Gadeja, Mateja i Mocarny, czarni od trudu skał, stanęli u progu sieni, u drzwi pół uchylonych, jak to u gazdy, gdzie czeladzi wiele i ten i ów ze sprawą przychodzi.

— Idź ty pierwszy — rzekli Mateja i Mocarny do Gadei, którego Janosik najwięcej lubił i cenił i którego starzy Nędzowie najwięcej pośród nich radzi widzieli.

Wstąpił Gadeja pierwszy w sień, wysoki próg przekraczając i głowę pod ocapem chyląc, otworzył drzwi od białej izby świetlanej i wchodząc rzekł:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Niechże będzie. Witajcie! — odpowiedzieli starzy Nędzowie.

Trzej chłopci weszli i stanęli rzędem przed drzwiami za sobą zawartemi.

Popatrzyli na nich Nędzowie.

— Trzech was — rzekł stary Nędza.

— Trzech.

Grdyki towarzyszom Janosikowym zadrgały; milczenie zapadło.

Wszyscy chłopci opuścili głowy, tylko stara Nędzowa nie przestawała cienką igłą ślicznego haftu na koszuli wyszywać.

— Gdzie Janosik? — zapytała Gadei.

— Został.

— Gdzie?

— W Batyżowskiej Dolinie.

— Kiedy przyjdzie?

— Nie przyjdzie nigdy.

Umilkła stara Nędzowa i rzekła po chwili:

— Przynieście go.

— Popiół.

Porwała się Nędzowa z ławy, rzuciła koszulę na stół i krzyknęła:

— Jakto!?

A stary Nędza rzekł zduszonym głosem:

— Jam wiedział. Duch sie mi pokazał. Gadajcie.

Ale wszyscy trzej towarzysze Janosikowi zaczęli płakać; zaszlochał z nimi i stary Nędza, choć jeszcze nie wiedział o nieszczęściu. Stara zaś Nędzowa stała wsparta o stół dłonią na koszuli. I rzekła, jakby do siebie:

— Ja mu ją haftowała żywemu, ja mu ją haftowała umarłemu — — popiół, popiół — — popiół...

Cicho, ostrożnie, wsunęły się do izby Zubkosowe dziewczyny z Wojtusiem. Widziały one od siebie idących trzech towarzyszy Janosikowych. Zaraz płakać jęli wszystko troje.

Długo, długo płakali, aż stary Nędza się ozwał:

— Gadajcie! Jakto było?

Gadeja odpowiedział:

— On tak zginął, jak orzeł, kiedy weń piorun strzeli.

Wysoko w Tatrach.

— Strzałą go Pan Bóg zabił? — zapytał Nędza.

— Nie.

I Gadeja opowiedział śmierć Janosikową i rzecz chłopów, której świadkowie jeszcze śnać byli nie popowracali do domów.

Słuchali Nędzowie ponurej opowieści dzień po dniu, godzina po godzinie, jako zwykle się było prawić, gdy Janosik ze zbójnickiego chodu powrócił, wino złociło się od kagańca w puharkach, dukaty błyskały na stole, a miłe ciepło otulało radzących w dobrze zamkniętej izbie.

Gadeja skończył i twarz na rękę oparł.

Stara Nędzowa, której łzy z oczu nie ciekły, rozdarła napoły koszulę haftowaną, wyszła z izby i siadła na ławie przed domem.

— Tu stąd się Janosik ruszał — tu stąd się ruszył po raz ostatni. Popiół, popiół, popiół...

Zaś stary Nędza długo płakał, czoło dłońmi obejmując, aż się zwładał i rzekł:

— Wielu było chłopów pod Halami, wielu było w naszym rodzie, był Waligóra i Wyrwidąb, Pętorzek i Wódpusc, byli Łamiskała i Walilas, Toporowie z Hrubego, byli i w naszym rodzie Jano z Gronia, co Miętusianom siedmset owiec wziął i na nędze ich przywiódł i Juro Siumny pradziadek, i inni, bo to i dziadek i ojciec i ich bracia i zaś moi i ja byliśmy chłopcy, jak się patrzy, nie płone, ale takiego, jak to moje dziecko, nie było.

— Ani nie będzie — rzekł Mateja.

— Co dobre, biorą bogi, dawno ludzie mówili... Przeminał, jak mgła — — jak czyste rano od wschodu słońca... Darmo.

— Wieki przejdą — rzekł Gadeja — zanim się taki znajdzie, co on to światu opowie.

— Jaki Janosik był — rzekł Mateja.

— I jak się skończył — rzekł Mocarny.

— Hej, hej, hej — zawiódł stary Nędza — Bóg dał, Bóg wziął. Co robić?

Popiół ostał... W Batyżowskiej Dolinie... Daleko... Ani go wej wiatr może tu nie przyniesie przez wierchy... Nigdy... W popiół się mi syn obrócił... Pięknie uchowany...

A gdy dziewczki Zubkosowe wyszły przed izby, ku strynie, zastały ją nieruchomo siedzącą na ławie, opartą plecami i głową o ścianę, wpatrzoną zamarłemi oczyma we mgły, poza którymi stały Czerwone Wierchy, gdzie Janosik lubił w ciepłe dni poglądać, leżąc pod świerkami na trawie, lub na ławie siedząc, z palcami za przypory portek założonymi i nogami wyciągniętymi przed siebie.

Nie śmiały się ku niej zbliżyć i odeszły.

Spotkał je Maciek, który ze stajni szedł.

— Wiesz, Janosik brat sie kazał spalić w Batyżowskiej Dolinie — powiedziała mu Krystka.

Maciek zbladł i stanął.

— Rany Boskie! Prawdę gadasz?

— Prawdę. Towarzysze w izbie.

— Cemuż ja z nim nie był, choć jeszcze jeden raz!

— Maciek — rzekła Krystka — weźże skrzypce, zagraj Janosikową nutę stryjkowi i strynie.

Więc poszedł Maciek cicho na nad górkę izbami, zniósł skrzypce, siadł za domem i we mgły grube grać począł Janosikową nutę.

Grał długo, do obiadu, na którym trzej towarzysze Janosikowi zostali. Słuchali wszyscy, w milczeniu. Dusza Janosikowa głosiła się do nich. Przyszła z za wierchów, z za Tatr i słuchała swojej nuty tanecznej. A tak się zdało, że chwila, a usłyszą wszyscy jego głos:

Nie bój się Janicku, nie bój się nie zginiesz!...

A gdy poobiadowano, na wszystkich starczyło, legli starzy Nędzowie bólem, żalem i wiekiem zmęczeni na posćciel spać, trzej towarzysze Janosikowi do domów swoich odeszli. Wojtuś w chałupie został kozikiem strugający z brzostowego drzewa, Krystka zaś i Jadwiga wyszły z Maćkiem od stryjków i powracały do siebie.

Koniec.



BIBLIOTEKA UCZELNI
Podhalańska Państwowa Wyższa
Szkoła Zawodowa w Nowym Targu



10019114